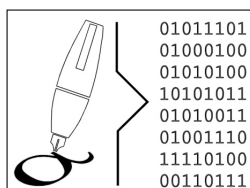


Ursula Le Guin

Opowiadanie świata

Przekład Maciejka Mazan



Pierwszy błąd popełniłem w dniu moich narodzin
I od tej chwili ową drogą szukałem mądrości

Mahabharata

1

Kiedy Satti wracała na Ziemię w dzień, zawsze widziała wieś. Kiedy wracała w nocy, była to Enklawa. Żółcień trawy, żółcień kurkumy i ryżu z szafranem, pomarańczowy nagietków, przydymiona pomarańczowa mgielka zachodzącego słońca nad polami, czerwień henny, czerwień męczennicy, czerwień zeschniętej krwi, czerwień błota, wszystkie kolory słonecznego światła. Wiatr niosący tchnienie asafetydy. Trajkotanie ciotki, plotkującej na werandzie z matką Motiego. Leżąca nieruchomo na białej kartce smagła dłoń wujka Hurree. Przyjazne świńskie oczka Ganesa. Trzask zapalanej zapalki i gęsty szary kłęb wonnego dymu kadzidła: oszałamiający, intensywny, ulotny. Zapachy, migotania, echa odzywające się krótko lub dźwięczące w jej pamięci, kiedy szła ulicą, jadła albo odpoczywała po sensorycznym ataku progreali, w których musiała uczestniczyć — zawsze za dnia, pod innym słońcem.

Ale noc wygląda tak samo w każdym ze światów. Brak światła jest niezmienny. A w ciemnościach wracała do Enklawy. Nie, nie we śnie, to nigdy nie był sen. Zawsze była przytomna, tuż przed zaśnięciem lub gdy się budziła, niespokojna i zeszywniała, nie mogąc znowu zapaść w sen. Wówczas te sceny ponownie stawały jej przed oczami, nie w słodkich, jasnych mgnieniach, lecz z pełną świadomością miejsca i czasu; a kiedy zaczynały się wspomnienia, nie potrafiła ich przerwać. Musiała przeżyć je od początku do końca, dopiero wtedy odchodziły. Może to była kara, taka jak w piekle Dantego, kiedy kochankowie musieli wspominać swoje szczęście. Ale oni cierpieli mniej, bo wspominali je wspólnie.

Deszcz. Pierwsza zima w deszczu Vancouverze. Niebo jak ołowiany sufit nad dachami budynków, wsparte ciężko na szczytach czarnych gór za miastem. Na południe szare wody Cieśniny, pod którymi spało stare Vancouver, dawno temu zatopione przez przybierające morze. Czarna wilgoć na lśniących asfaltowych ulicach. Wiatr, ten wiatr, pod którego smagnięciami popiskiwała jak szczenię, kuliła się i drżała z przerażenia, tak był dziki i szalony, ten zimny wiatr prosto z Arktyki, lodowaty oddech białego niedźwiedzia. Przeszywał na wylot jej wytarte palto; za to buty miała ciepłe, brzydkie, czarne plastikowe buciory, pod którymi rozbryzgiwała się woda w rynsztokach, tak, dzięki nim

zaraz będzie w domu. Przez to zimno, przesywające zimno można było się czuć bezpiecznie. Ludzie szli pospiesznie w swoją stronę, nie zwracając uwagi na nikogo, jakby ich nienawiść i namiętność zamarzyły. Północ była dobra i zimno także, i deszcz, i to piękne ponure miasto.

Ciocia wydawała się tu malutka, malutka i krucha jak motylek. Czerwonopomarańczowe bawełniane sari, cienkie mosiężne bransoletki na owadzich przegubach. W okolicy było mnóstwo Hindusów i Hindokanadyjczyków, wielu mieszkało w sąsiedztwie, ale ciocia nawet między nimi wydawała się mała i zagubiona, całkiem nie na swoim miejscu. Miała obcy, przepaszający uśmiech. Musiała ciągle nosić buty i pończochy. Jej stopy pojawiały się dopiero tuż przed snem, małe smagłe stopki pełne wyrazu, które w wiosce pozostawały na widoku, tak samo jak jej oczy i dłonie. Tutaj zimno spłoszyło je, okaleczyło, kazało się im ukryć. Ciocia przestała chodzić, nie biegała po domu, nie krzątała się w kuchni. Siedziała w dużym pokoju przy grzejniku, owinięta spłowiałym i wystrzępionym włóczkowym kocem — motyl na powrót w kokonie. I stopniowo odchodziła, daleko, coraz dalej, choć nie ruszała się z miejsca.

Satti odkryła, że łatwiej jej rozmawiać z rodzicami, których od piętnastu lat prawie nie widywała, niż z ciocią, choć to w jej ramionach zawsze szukała ucieczki. Z radością poznała na nowo matkę, dobrotliwie dowcipną i inteligentną, doznała nieśmiałych i niezręcznych wysiłków ojca, który pragnął jej okazać uczucie. Rozmawiać z nimi jak dorosły z dorosłym, wiedząc jednocześnie, że kochają ją bezwarunkowo — o, to było wspaniałe. Mówili o wszystkim, uczyli się siebie nawzajem. A ciocia kurczyła się, schła, wycofywała się ukradkiem do wioski, na grób wujka, choć na pozór wydawało się, że nigdzie nie odchodzi.

Nadeszła wiosna, a z nią strach. Tutejsze słońce było blade i srebrnawe. Małe różowe śliwy tonęły w kwieciu po obu stronach ulicy. Ojcowie oznajmili, że Układ Pekiński zaprzecza Doktrynie Jedyne-go Przeznaczenia, więc należy go znieść. Należy otworzyć Enklawy, powiedzieli, aby ich populacja przyjęła Święte Światło, szkoły oczyściły się z niewiary, wyzbyły się obcych błędów i deprawacji. Ci, którzy będą trwać w grzechu, zostaną reedukowani.

Matka codziennie szła do urzędów. Wracała późno i w złym humorze. To już ostatni cios, powiedziała. Jeśli się stanie, nie będziemy mieli się gdzie podziać. Chyba w podziemiach.

Pod koniec marca eskadra samolotów z Bożych Zastępów wystartowała z Kolorado do Waszyngtonu, gdzie zbombardowała tamtejszą bibliotekę — samolot za samolotem, cztery godziny wybuchów, które obróciły w nicość setki lat historii i miliony książek. Waszyngton nie był Enklawą, ale ten piękny stary budynek, choć często zamykany i obstawiony strażnikami, nigdy nie padł ofiarą ataku. Przetrwał wszystkie lata zamętu i wojny, załamania i rewolucji... aż do tej chwili. Czas Oczyszczenia. Głównodowodzą-

cy Bożych Zastępów ogłosił, że trwające właśnie bombardowanie jest akcją edukacyjną. Istnieje tylko jedno Słowo, tylko jedna Księga. Wszystkie inne słowa i książki są mrokiem, błędem. Brudem. „Niech Pan zabłyśnie!”, krzyczeli piloci w białych mundurach i maskach z lustrzanego szkła, kiedy już wrócili do kościoła w bazie Kolorado, patrzyli w kamery twarzami bez rysów i śpiewali wraz z ekstatycznym tłumem. „Zmieciemy plugastwo, niech Pan zabłyśnie!”

Ale Dalzul, nowy Poseł, który w zeszłym roku przybył z Hain, odbył z Ojcami rozmowę. Zezwolili mu wejść do Sanktuarium. W Internecie i „Bożym Słowie” pojawiły się jego progreale, hologramy i zwykłe dwuwymiarowe programy. Okazało się, że to nie Ojcowie przekazali Głównodowodzącemu rozkazy zniszczenia waszyngtońskiej biblioteki. On sam także nie popełnił błędu. Ojcowie nigdy się nie mylili, każdy to wiedział. Akcja pilotów była całkowicie samowolna i wynikała z nadmiaru zapału. Z Sanktuarium padł wyrok: piloci mieli otrzymać karę. Więc ukarano ich: w obecności dostojników, gapiów i kamer odebrano im broń i białe mundury. Zdarto kaptury, obnażono twarze. Zhańbieni, zostali skierowani na reedukację.

Wszystko to można było obejrzyć w Internecie, choć Satti nie musiała uczestniczyć; ojciec odłączył wideoceptory. Także w „Bożym Słowie” o niczym innym się nie mówiło. Z wyjątkiem nowego Posła. Dalzul był Terraninem. Urodzony na Bożej Ziemi, jak mawiano.

Człowiek, który rozumiał ziemski ród jak żaden obcy. Człowiek z gwiazd, który przybył, by uklęknąć przed Ojcami i przystąpić do rozmów o pokojowych zamiarach Świętej Inkwizycji i Ekumenu.

— Przystojny — zauważyła matka, rzucając na niego okiem. — Biały?

— Wyjątkowo — odparł ojciec.

— Skąd pochodzi?

Tego nie wiedział nikt. Islandia, Irlandia, Syberia... każdy miał inne wiadomości. Opuścił Terrę, by studiować na Hain, tu się zgadzali. Bardzo szybko zrobił kwalifikację jako Obserwator, potem Mobil, wreszcie został odesłany do domu, pierwszy terrański Poseł na Terrę.

— Wyjechał dobre sto lat temu — powiedziała matka. — Zanim Unici przejęli Azję Wschodnią i Europę. Nawet zanim tak się rozprzestrzenili w Azji Zachodniej. Pewnie się nie spodziewał, że jego świat tak się zmieni.

Szczęściarz, pomyślała Satti. O, jakież z niego szczęściarz! Uciekł, schronił się na Hain, uczył się w Szkole na Ve, był tam, gdzie istnieje coś poza Bogiem i nienawiścią, gdzie mają historię liczącą milion lat i wszyscy ją rozumieją!

Tego samego wieczora powiadomiła rodziców, że chciałaby wstąpić na Studium, a potem zdawać do Kolegium Ekumenicznego. Powiedziała to bardzo nieśmiało; nie spodziewała się, że przyjmą to tak spokojnie, nawet bez zdziwienia.

— W dzisiejszych czasach to całkiem dobry pomysł — uznała matka. Byli tak zadowoleni, że pomyślała: czy nie rozumieją, że jeśli zdam i zostanę wysłana do innych światów, nigdy mnie już nie zobaczą? Pięćdziesiąt lat, sto, paręset — rzadko trafiały się krótsze trasy, często nawet dłuższe. Czy nic ich nie obchodzi?

Ale dopiero później, kiedy przy stole przyglądała się ojcu, jego pełnym wargom, orlemu nosowi, siwiejącym już włosom, poważnej i subtelnej twarzy, dotarło do niej, że jeśli zostanie wysłana do innego świata, ona także ich więcej nie zobaczy. Pomyśleli o tym, zanim jej to przyszło do głowy. Krótka znajomość, długa nieobecność — to wszystko, co między nimi było. Wykorzystali to do maksimum.

— Jedz, ciociu — powiedziała matka, ale ciocia tylko dotknęła swojej porcji naana palcami przypominającymi owadzie czułki.

— Z takiej mąki nie może być dobrego chleba — odezwała się, rozgrzeszając piekarza.

— Rozpuściłaś się na tej wsi — zażartowała matka. — W całej Kanadzie nie znajdziesz nic lepszego. Pierwszorzędna sieczka i gips.

— Tak, rozpuściłam się — przyznała ciocia i uśmiechnęła się jakby z dalekiego kraju.

Starsze slogany wykuto na fasadach budynków: „NAPRZÓD KU PRZYSZŁOŚCI”. „PRODUCENCI — KONSUMENCI AKI SIĘGAJĄ GWIAZD”. Nowsze biegły przez budynki jaskrawymi elektronicznymi wstążkami: „REAKCYJNA MYŚL TO TWÓJ WRÓG”. Niektóre, zepsute, stały się zaszyfrowanymi wiadomościami: „OD TO NA”. Najnowsze, hologramy, unosiły się nad ulicami: „CZYSTA NAUKA USUWA ZEPSUCIE”. „WYŻEJ DALEJ LEPIEJ”. Towarzyszyła im muzyka, bardzo rytmiczna i wielogłosowa. „Dalej, dalej, aż do gwiazd”, wyśpiewywał niewidzialny chór nad skrzyżowaniem, na którym stała w korku robotaksówka. Satti włączyła w niej dźwięk, żeby zagłuszyć odgłosy z zewnątrz.

— Przesąd to gnijące ścierwo — odezwał się miły, głęboki męski głos. — Przesądne praktyki deprawują młode umysły. Obowiązkiem każdego obywatela, dorosłego bądź uczącego się jest informowanie władz o reakcyjnych naukach oraz nauczycielach, którzy dopuszczają do buntu lub szerzą przesąd i zabobon. W świetle Czystej Nauki wiemy, że gorliwa współpraca nas wszystkich jest pierwszym warunkiem... — Satti ściszyła dźwięk do oporu. Zza okna buchnął chór: „Do gwiazd! Do gwiazd!”, a robotaksówka ruszyła z szarpnięciem i zaraz stanęła. Jeszcze dwa takie ruchy i przedrą się przez skrzyżowanie.

Przetrzęsnęła kieszenie kurtki w poszukiwaniu spożywki, ale nie znalazła już ani jednej. Bolał ją żołądek. Kiepskie żarcie, za długo się nim napycha, bardzo przetworzona karma nafaszerowana proteinami, przyprawami, stymulantami. I za długo stoi w kor-

kach, głupich niepotrzebnych korkach, a to wszystko przez te głupie tandetne samochody, które się ciągle rozwalają, i ten hałas na okrągło, slogany, pieśni, postęp, ludzie postępowo ładujący się w każdy błąd znany ludzkości... Żle.

Nie oceniać. Nie poddawać się frustracji, która mąci myśli i ogląd sytuacji. Nie pozwalać sobie na uprzedzenia. Patrz, słuchaj, dostrzegaj; obserwuj. Na tym polegało jej zadanie. To nie jej świat.

Ale jak miała go obserwować, skoro nie mogła się z niego wycofać? Musiała pogodzić się z hiperstymulacją progreali i ulicznym zgiełkiem. Nie potrafiła uciec przed wszechobecnym atakiem propagandy — wyjąwszy mieszkanie, gdzie mogła odciąć się od świata, który przybyła obserwować.

Musiała spojrzeć prawdzie w oczy: nie nadawała się na Obserwatora tutejszego środowiska. Innymi słowy, nie wykonała swojego pierwszego zadania. Poseł wezwał ją na rozmowę, z pewnością po to, by jej to powiedzieć.

Była już prawie spóźniona. Robotaksówka poruszała się gwałtownymi zrywami i stała. Głośniki ryknęły ogłuszająco; było to jedno z obwieszczeń Korporacji, pokonujących nawet najbardziej przykręcone regulatory.

— Ogłoszenie Biura Astronautyki! — zapowiedział energiczny, pewny siebie kobiecy głos. Satti zatkała uszy.

— Zamknij się!

— Drzwi pojazdu są zamknięte — odezwała się robotaksówka martwym blaszanym głosem, typowym dla mechanizmów reagujących na werbalne polecenia. Satti dostrzegła dowcip sytuacji, ale nie potrafiła się roześmiać. Ogłoszenie ciągnęło się bez przeszkód, a przenikliwe głosy na zewnątrz zawodziły: „Zawsze wyżej, zawsze lepiej, marsz do gwiazd!”

Poseł Ekumenu, gołębiooki Chiffewariańczyk Tong Ov spóźnił się jeszcze bardziej niż ona; ze śmiechem opowiedział, że zatrzymała go awaria czytnika ZIL.

— Błędnie zinterpretowałem mikronagranie, które chciałem ci dać — wyjaśnił, szperając w dokumentach. — Zakodowałem je, ponieważ oczywiście grzebią mi w aktach, a system nie mógł odczytać kodu. Ale wiem, że to gdzieś tu jest... No, na razie opowiedz, jak ci poszło.

— Tak... — zaczęła i zamilkła. Od miesięcy mówiła i myślała po dowzańsku. Przez chwilę musiała przeszukać własne akta: hindu nie, angielski nie, hainisz tak. — Miałam przygotować raport o współczesnym języku i literaturze, ale podczas mojego tranzytu zaszły tu pewne zmiany... To znaczy... teraz prawo zakazuje mówić czy uczyć się innego języka niż dowzański lub hainisz. Nie mogę pracować nad pozostałymi, jeśli nadal istnieją. Co do dowzańskiego, Pierwsi Obserwatorzy poczynili bardzo szczegółowe studia lingwistyczne. Mogę dodać tylko drobiazgi i słownik.

— A literatura?

— Zniszczono wszystko, co powstało w starych językach. A jeśli coś ocalało, nie mam pojęcia, co to jest, ponieważ ministerstwo nie dało mi dostępu. Mogłam badać tylko współczesną literaturę auralną. Wszystko jest spisane zgodnie w wymogami Korporacji. Bardzo... standardowe.

Zerknęła, żeby sprawdzić, czy Tong Ov jest już znudzony tym narzekaniem, ale on, choć ciągle szukał zaginionego dokumentu, słuchał jej z żywym zainteresowaniem.

— Ach, auralna?

— Wyjawszy Instrukcje Korporacji, nie drukuje się już prawie niczego. Tylko ulotki dla niesłyszących, elementarze dla początkujących... Kampania przeciwko dawnym ideogramom była bardzo intensywna. A może ludzie nie chcieli używać alfabetu hainisz? Albo po prostu wolą hałas... to znaczy dźwięk. Więc wszystko, co udało mi się znaleźć, to nagrania dźwiękowe i progreali. Wydane przez Światowe Ministerstwo Informacji oraz Centralne Ministerstwo Poezji i Sztuki. Większość z tych pozycji to głównie materiały informacyjne lub edukacyjne, a nie... hm, literatura, tak jak ją rozumiem. Wiele progreali to problemy praktyczne lub etyczne wraz z rozwiązaniami, przedstawione w formie dramatu... — Bardzo się starała nie oceniać, mówić bez uprzedzeń, głosem pozbawionym osobistego tonu.

— Nuda — rzucił Tong, ciągle ryjąc w dokumentach.

— Na mnie ta estetyka nie działa. Jest tak dosadnie i...i... i otwarcie polityczna. Oczywiście sztuka jest zawsze zaangażowana politycznie, ale kiedy bez reszty służy celom dydaktycznym, cała jest podporządkowana ideologii, nie mogę znieść... to znaczy, nie czuję jej wpływu... choć bardzo się staram. Muszę być na nią otwarta, lecz ona na mnie nie działa. Może dlatego, że ta bardzo niedawna rewolucja społeczna i kulturalna kompletnie wymazała ich historię... oczywiście, kiedy mnie tu wysyłano, nie można było tego przewidzieć... ale sądzę, że w tym wypadku wytypowanie kogoś z Terry nie było najlepszym wyborem. My, Terranie, znamy przyszłość ludzi, którzy przekreślili własną tradycję. Żyjemy w niej.

Zamilkła raptownie, przerażona własnymi słowami. Tong obejrzał się na nią, nie wzruszony.

— Nie dziwi mnie to przekonanie, że twoje zadanie jest niewykonalne. Potrzebowałam twojej opinii, więc ta misja była dla mnie warta wysiłku. Ale ciebie znużyła. Zaleca się zmianę. — W ciemnych oczach pojawił się błysk. — Co powiesz na podróż do źródeł? — Jakich źródeł?

— To znaczy „do początku”, prawda? Ale tak naprawdę chodziło mi o źródła Erehy.

Przypomniała sobie, że przez miasto przepływała duża rzeka, częściowo zasłonięta chodnikami i tak ukryta pomiędzy budynkami i brzegami, że widziała ją tylko na mapie.

— Czyli... mam wyjechać z miasta?

— Tak! — Tong się rozpromienił. — Za miasto! Bez przewodnika! Po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat! — Był zachwycony jak dziecko, które odkryło ukryty prezent, cudowną niespodziankę. — Jestem tu od dwóch lat i złożyłem osiemdziesiąt jeden podań o zezwolenie na wysłanie pracownika gdzieś poza Dowzę, Kangnegne albo Ert. Wszystkie zostały grzecznie odrzucone. Proponowali mi kolejną wycieczkę z przewodnikiem na piękne Wschodnie Wyspy. Składałem te podania z nawyku, odruchowo. I nagle sukces! Tak! „Zezwala się waszemu pracownikowi spędzić miesiąc w Okzat-Ozkat”. Albo Okzat-Okzat. To małe miasto, w górach, w pobliżu źródeł rzeki. Ereha ma początek w Okręgu Wysokich Źródeł. Prosiłem o ten rejon, Rangma, nie spodziewając się, że coś wskóram, a tu proszę! — Promieniał z zachwytu.

— Dlaczego akurat tam?

— Bo tam podobno można spotkać ciekawych ludzi.

— Etniczna populacja? — spytała z nadzieją. W początkach swego pobytu, kiedy po raz pierwszy spotkała Tonga Ov i dwóch innych Obserwatorów miasta Dowza, dyskutowali o wyjątkowej jednorodności kulturalnej Aki, przynajmniej w największych miastach, jedynych, w których pozwalano mieszkać nielicznym pozaświatowcom. Wówczas byli przekonani, że akańskie społeczeństwo musi mieć regionalne odmiany i byli zirytowani, że nie mogą ich poznać.

— Raczej sekta. Jakiś kult. Być może żyjący w ukryciu wyznawcy zakazanej religii.

— Ach — mruknęła, usiłując nadal wyglądać na zainteresowaną. Tong wrócił do przetrząsania dokumentów.

— Szukam tych ochłapów, które udało mi się pozbiierać. Większość podebranych zresztą z państwowych dokumentów. Biuro Kulturalno-Społeczne donosi, że gdzieś zachował się zbrodniczy antynaukowy kult... A także parę plotek i historii o tajnych rytuałach, chodzeniu na wietrze, cudownych lekach, przewidywaniu przyszłości. Norma.

Jeśli jest się spadkobiercą tradycji liczącej trzy miliony lat, niewiele jest rzeczy na niebie i ziemi, które wydają się niezwykle. Hainiszowie traktowali to lekko, ale musieli czuć ciężar świadomości, że wymyślenie czegoś nowego jest dla nich wyjątkowo trudne, nawet całkiem niemożliwe.

— Czy materiały, które pierwsi Obserwatorzy wysłali na Terrę, nie zawierały czegoś na temat religii? — spytał Tang.

— Ponieważ ocalał tylko raport lingwistyczny, wszystkie informacje dotyczyły jedynie korzystania ze słownika.

— Wszystkie doniesienia tych nielicznych, którym dano nieograniczony dostęp do Aki, stracone przez awarię systemu! — Tong porzucił poszukiwania i powierzył je funkcji. — Straszny pech. Czy to naprawdę była awaria?

Jak wszyscy Chiffewarianie, był całkowicie bezwłosy — w slangu Valparaiso „chihu-ahua”. Aby zminimalizować wrażenie obcości na planecie, gdzie brak włosów wydawał

się tak szokujący, nosił kapelusz. Lecz Akanie rzadko wkładali nakrycia głowy, więc w efekcie wydawał się jeszcze bardziej pozaświatowy. Był dobrze wychowany, bezpośredni, szczery. Satti czuła się przy nim tak swobodnie, jak to było możliwe w jej przypadku. Ale Tong, tak dyskretny, nie dawał ciepła. Sam także wymagał dystansu. To jej odpowiadało. A jego pytanie wydało się jej obłudne. Musiał wiedzieć, że utrata transmisji nie była przypadkowa. Niby dlaczego miała mu to wyjaśniać? Dała mu już do zrozumienia, że podróżuje bez bagażu, tak jak to mają w zwyczaju Obserwatorzy i Mobile. Nie odpowiadała za planetę, która została sześćdziesiąt lat świetlnych za nią. Nie odpowiadała za Terrę i jej świątobliwy terrorizm.

Ale milczenie trwało, więc wreszcie powiedziała:

— Nadajnik Pekinu padł ofiarą sabotażu.

— Sabotażu? Kiwnęła głową.

— Unici?

— Pod koniec reżimu atakowano większość instalacji ekumenicznych i obszarów Enklaw.

— Jak wiele zniszczono?

Chciał ją skłonić do mówienia. Gardło ścisnęło się jej z wściekłości. Wściekłość, palący gniew. Nie odezwała się, ponieważ nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Znaczące milczenie.

— Więc nie mamy nic prócz języka — odezwał się Tong.

— Prawie nic.

— Potworny pech! — kontynuował z ożywieniem. — Pierwsi Obserwatorzy byli Terranami, więc zamiast na Hain wysłali raporty na Terrę. Nic dziwnego, ale to pech. A jeszcze gorsze jest, że wszystkie transmisje z Terry przeszły bez problemu. Wszystkie informacje techniczne, o które prosili Akanie, dotarły bez ograniczeń. Dlaczego, dlaczego Pierwsi Obserwatorzy zgodzili się na tak rozległą interwencję kulturalną?

— Może się nie zgodzili. Może te informacje przysłali Unici.

— Po co Unici chcieliby wysłać Akę w marsz ku gwiazdom? Wzruszyła ramionami.

— Może żeby ich nawrócić.

— Czyli przekonać do swojej wiary? Czy postęp technologiczny był elementem religii Unitów?

Powstrzymała się przed kolejnym wzruszeniem ramionami.

— Więc w okresie, gdy Unici nie zgodzili się na kontakt ze Stabilami, zajmowali się... nawracaniem Akan? Myślisz, że przysłali im... jak wy ich nazywacie... misjonarzy?

— Nie wiem.

Nie osaczał jej, nie chciał wciągnąć w pułapkę. Zastanawiał się tylko i usiłował wydusić z niej wyjaśnienie czynów i pobudek Terran. Ale nie mogła wypowiadać się w imieniu Unitów.

Zrozumiał to i rzucił pospiesznie:

— Tak, tak, przepraszam. Oczywiście, że nie byłaś dopuszczona do spraw Unitów! Ale tak mi przyszło to głowy... jeśli naprawdę przysłali misjonarzy i w jakiś sposób naruszyli akańską kulturę... rozumiesz? To by tłumaczyło Limitację. — Miał na myśli niespodziewane zarządzenie wprowadzone przed pięćdziesięciu laty i od tej pory pozostające w mocy. Mówiło ono, że na planecie może przebywać jednocześnie tylko czterech pozaświatowców, i to jedynie w miastach. — 1 zakaz religijnych praktyk parę lat później! — Rozpromienił się, zachwycony. — Nie słyszałaś, żeby przysłano z Terry jeszcze drugą grupę? — spytał niemal prosząco.

— Nie.

Westchnął i zapadł w zamyślenie. Po chwili machnął ręką.

— Jesteśmy tu od siedemdziesięciu lat, a mamy tylko słownik.

Odetchnęła. Wrócili z Terry. Była bezpieczna. Kiedy się odezwała, ostrożnie dobierała słowa, lecz w jej głosie dało się słyszeć ulgę.

— Kiedy byłam na ostatnim roku szkolenia, zrekonstruowano fragmenty uszkodzonych nagrań. Obrazy, parę ustępów książek. Wydawały się wskazywać na niezwykle spójną kulturę z paroma centralnymi tematami, dającymi się zaklasyfikować jako religijne. To samo dotyczyło słowników. Ale oczywiście, biorąc pod uwagę istniejącą sytuację, nie dowiedziałam się niczego o instytucjach stojących nad Korporacją Państw. Nie wiem nawet, dlaczego zakazano religii. Chyba jakieś czterdzieści lat temu, prawda? — Miała fałszywy, wymuszony ton głosu. Źle.

Tong pokiwał głową.

— Trzydzieści lat po pierwszym kontakcie z Ekumenem Korporacja wydała pierwszy dekret zakazujący praktyk i nauk religijnych. Po paru latach zaczęli stosować okropne kary... lecz to, co mnie zdziwiło, co mi nasunęło myśl, że inspiracja mogła pochodzić ze świata zewnętrznego, to fakt, iż słowo „religia” we wszystkich dekretach było zapożyczone z języka hainisz. Czyżby nie mieli własnego? Znasz je?

— Nie — przyznała, przypomniawszy sobie nie tylko dowzański, ale parę innych języków tej planety, których uczyła się w Valparaiso. — Nie znam.

Oczywiście obecnie język dowzański zapożyczył wiele obcych słów wraz z nowoczesnymi technologiami, ale czy to normalne, że sięga się do innego języka, żeby zakazać czegoś, co wyrosło na gruncie rodzimego kraju? To rzeczywiście było dziwne. A ona powinna to zauważyć. I zauważyłaby, gdyby nie zagłuszała tego słowa, myśli, tematu za każdym razem, kiedy się jej nasuwał. Źle. Błąd.

Tong stracił zainteresowanie rozmową; wreszcie znalazł dokumenty i włączył funkcję dekodującą. To musiało trochę potrwać.

— Akański system pozostawia sporo do życzenia — mruknął, wciskając ostatni klawisz.

— Wszystko psuje się zgodnie z planem — odparła. — Jedyne akański dowcip. Szkoda tylko, że to prawda.

— Ale zauważ, jak wiele osiągnęli przez siedemdziesiąt lat! — Poseł usiadł wygodnie, już uspokojony, gotowy do dyskusji, w kapeluszu lekko zsuniętym na bakier. — Słusznie czy niesłusznie, przekazano im plany G86. — W żargonie historyków z Hain było to społeczeństwo o przyspieszonym postępie technologii przemysłowej. — I przyswoili całą wiedzę za jednym zamachem. Przetworzyli swoją kulturę, ustanowili Korporację Państw Świata, wysłali statek kosmiczny na Hain — a wszystko w czasie jednego ludzkiego życia! Naprawdę są zadziwiający. Niesłychana dyscyplina!

Satti zgodziła się posłusznie.

— Ale chyba musieli się spotykać z jakimś oporem. Ta antyreligijna obsesja... Nawet jeśli to myją im wszczepiliśmy wraz z ekspansją technologiczną...

Okazywał wielką uprzejmość, mówiąc „my”, jakby to Ekumen był odpowiedzialny za terrańską interwencję na Akę. Charakterystyczny dla Hain sposób myślenia: brać odpowiedzialność.

— Mechanizmy kontroli — ciągnął — są tak skuteczne i radykalne, że musiały być ustanowione z myślą o czymś groźnym, nie sądzisz? Na przykład o religii sprzeciwiającej się Korporacji Państw... Tak, rozpowszechnionej w całym kraju, dobrze zakorzenionej religii. Stąd gwałtowny zakaz praktyk religijnych. A także wprowadzenie Narodowego Teizmu jako elementu zastępczego. Bóg jako Rozum. Młot Czystej Nauki. W imię którego burzono świątynie i wypędzono kaznodziejów. Co ty na to?

— To zrozumiałe.

Chyba nie takiej odpowiedzi się spodziewał. Przez chwilę milczał.

— Stare pisma, ideogramy... — odezwał się znowu. — Potrafisz je płynnie czytać?

— Tylko tego mogłam się nauczyć podczas szkolenia. Siedemdziesiąt lat temu to były jedyne zabytki akańskiej literatury.

— Oczywiście — rzucił pospiesznie z rozbijającym chiffewariańskim gestem, oznaczającym „wybacz biednemu idiotcie”. — Ja przybywam z dystansu zaledwie dwunastu lat, więc nauczyłem się tylko współczesnego pisma.

— Byłoby śmiesznie, gdybym jako jedyna osoba na tej planecie potrafiła odczytać ideogramy. Czasami się zastanawiam, czy tak nie jest. Chyba nie...

— Z pewnością nie, choć Dowzanie są bardzo systematyczni. Tak bardzo, że zakazawszy starego pisma, systematycznie zniszczyli wszystkie jego zabytki, wiersze, sztuki, dzieła historyczne, filozoficzne... wszystko? Jak myślisz?

Przypomniała sobie własne zdumienie z pierwszych tygodni w Dowza City, niedowierzenie na widok skąpych zasobów tak zwanych bibliotek, niepowodzenie, z jakim spotkały się jej próby prowadzenia badań, kiedy nadal się łudziła, że gdzieś muszą się znaleźć jakieś resztki literatury całej planety.

— Nawet jeśli jeszcze znajdują jakieś książki lub podręczniki, na pewno je niszczą — powiedziała. — Jednym z głównych urzędów Ministerstwa Poezji jest Lokalizacja Książek. Znajdują książki, konfiskują je i rozcierają na miazgę, służący jako materiał budowlany. Stare książki są nawet nazywane przemiałem. Masa papierowa służy jako izolacja. Jedna kobieta z ministerstwa powiedziała, że wysyłają ją do innej filii, ponieważ w mieście nie ma już przemiałów. Jest czyste. Oczyszczone.

Usłyszała ostry ton we własnym głosie. Odwróciła głowę, spróbowała rozluźnić zacięnięte mięśnie karku. Tong Ov pozostał spokojny.

— Cała historia planety stracona, wymazana, jakby w jakiejś potwornej katastrofie. Niebywałe!

— Nic nadzwyczajnego — warknęła. Źle. Znowu rozluźniła mięśnie, zrobiła wdech i odezwała się z wypracowanym spokojem: — Te nieliczne akańskie wiersze i rysunki, które zrekonstruowaliśmy w Terrańskim Centrum Nadawczym, tutaj byłyby nielegalne. Miałam ich kopie w noterze, ale je wykasowałam.

— Tak. Tak, słusznie. Nie możemy przywozić tu niczego, o czym oni nie chcą wiedzieć.

— Zrobiłam to wbrew sobie. Miałam wrażenie, że z nimi kolaboruję.

— Margines pomiędzy kolaboracją i szacunkiem bywa wąski. Niestety, musimy się z nim pogodzić.

Przez chwilę wydawało się jej, że dostrzegła w nim mgnienie mrocznej powagi. Odwrócił wzrok, utkwił go gdzieś bardzo daleko. Potem znowu na nią spojrzął, pełen bezbrzeżnego spokoju.

— Ale nie zapominajmy, że w mieście można znaleźć całkiem sporo fragmentów starych napisów. Bez wątpienia uważa sieje za nieszkodliwe, skoro nikt nie potrafi ich odczytać. A miejsca leżące na uboczu mają to do siebie, że zachowuje się w nich wiele ciekawych rzeczy. Pewnego razu wieczorem byłem w dole rzeki... godne nagany, przyznaję, nie powinienem tam iść, ale w tak dużym mieście można się czasem zgubić gospodarzowi. Przynajmniej miałem nadzieję, że się zgubiłem... W każdym razie usłyszałem jakąś niezwykłą muzykę. Drewniane instrumenty. Nielegalne interwały. Spojrzała na niego pytająco.

— Państwo wymaga, by kompozytorzy stosowali terrańską oktawę.

Zagapiła się na niego bezmyślnie.

Tong zaśpiewał interwał oktawy.

Satti z wysiłkiem zrobiła inteligentną minę.

— Tutaj nazywają to Naukową Skalą Interwałową — dodał, a nie dostrzegając z jej strony żadnego znaku zrozumienia, spytał z uśmiechem: — Czy akańska muzyka nie wydaje ci się bardziej znajoma, niż mogłaś się spodziewać?

— Nigdy o tym nie myślałam... nie wiem... mam drewniane ucho. Nie znam się na

nutach.

Tong uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Według mnie tutejsza muzyka brzmi tak, jakby Akanie też mieli drewniane ucho. W każdym razie w dole rzeki usłyszałem coś kompletnie innego. Zupełnie nie to, co puszczają z głośników. Inne interwały. Bardzo subtelna harmonia. Nazywają to muzyką leków. Wywnioskowałem, że grają ją uzdrowiciele, religijni lekarze. Zdołałem jakimś cudem doprowadzić do rozmowy z jednym z takich uzdrowicieli. Powiedział: „Znamy stare pieśni i lekarstwa. Nie znamy opowieści. Nie możemy ich przekazać. Ludzie, którzy opowiadali, odeszli”. Naciskałem go jeszcze trochę i wreszcie powiedział: „Może niektórzy jeszcze żyją u źródeł rzeki. W górach”. — Tong Ov uśmiechnął się, tym razem tęsknie. — Chciałem usłyszeć coś jeszcze, ale oczywiście sama moja obecność narażała go na ryzyko. — Zamilkł na dłuższą chwilę. — Czasami mam wrażenie, że...

— Że to wszystko przez nas.

— Tak — przyznał po chwili. — Ale skoro już tu jesteśmy, musimy się starać, żeby nasz obecność była dla nich znośna.

Chiffewarianie mieli poczucie odpowiedzialności, lecz nie kultywowali poczucia winy tak jak Terranie. Satti zrozumiała, że źle zinterpretowała jego słowa. Zaskoczyła go. Zamilkła.

— Co miał na myśli ten uzdrowiciel? Chodzi mi o ludzi, którzy opowiadali historie?

Usiłowała myśleć, ale czuła wyraźny opór. Nie mogła już za nim podążać. Przypomniała sobie wyrażenie „na krótkiej smycz”. Jej smycz była naprężona do ostateczności. Dusila ją.

— Sądziłam, że chcesz mi powiedzieć o przeniesieniu — wykrztusiła.

— Z planety? Nie. Nie, nie — powtórzył łagodnie, zdziwiony i życzliwy.

— Nie powinni mnie tu przysyłać.

— Dlaczego tak mówisz?

— Jestem specjalistą od lingwistyki i literatury. Na Ace został tylko jeden język, a literatura nie istnieje. Chciałam być historykiem. Jak to możliwe w świecie, który zniszczył własną historię?

— To niełatwe — przyznał Tong z uczuciem. Wstał i zajrzał do akt. — Powiedz, trudno ci znosić tutejszą homofobię?

— Spotykam się z nią od dziecka.

— Ze strony Unitów.

— Nie tylko.

— Ach, tak. — Przyjrzał się jej, choć siedziała ze spuszczoną głową, i przemówił, ostrożnie dobierając słowa: — Wiem, przeżyłaś wielki przewrót religijny. Dla mnie Terra jest światem, którego historię kształtowała religia. Dlatego według mnie jesteś najbar-

dziej uprawniona spomiędzy nas do badania pozostałości... jeśli takie istnieją... tutejszej religii. Ki Ala nie ma żadnego doświadczenia w tej dziedzinie, a Garru nie potrafi się zdobyć na bezstronność. — Zrobił pauzę. Satti nie odpowiedziała. — Twoje doświadczenia — podjął — mogą ci utrudniać obiektywną obserwację. Całe życie spędzone w czasach teokratycznych represji, chaos i zbrodnie ostatnich lat Unizmu...

Znowu zamilkł. Musiała się odezwać.

— Sądzę, że jestem zdolna obserwować inne kultury bez uprzedzeń.

— Dzięki wykształceniu i temperamentowi, tak. Ja też tak sądzą. Ale presja agresywnej teokracji, jej ogromny ciężar, który czułaś na sobie przez całe życie... to wszystko mogło pozostawić piętno w postaci nieufności, buntu. Jeśli znowu wymagam, żebyś obserwowała coś, czego nienawidzisz, powiedz mi o tym.

Po zbyt długim milczeniu zdołała się odezwać:

— Naprawdę nie znam się na muzyce.

— Muzyka jest tu bardzo niewielkim elementem większej całości — oznajmił z uśmiechem, gołębim łagodny, nieugięty.

— W takim razie nie widzę żadnego problemu. — Czowała się oszukana, pokonana, złodowaciała. Bolało ją gardło.

Tong odczekał jeszcze chwilę, po czym pogodził się z jej milczeniem. Wręczył jej mikrokrystaliczne nagranie. Wzięła je odruchowo, nie myśląc.

— Przeczytaj to, wysłuchaj muzyki w tutejszej bibliotece, a potem wykasuj wszystko. Sztuka wymazywania to coś, czego musimy nauczyć się od Akan. Naprawdę! Mówię poważnie. Hainiszowie chcą zachować wszystko, Akanie chcą wszystko wymazać. Może istnieje coś pośredniego? Mniejsza o to, nadarza nam się pierwsza szansa, żeby wejść na teren, na którym być może nie wymazano historii aż tak skrupulatnie.

— Nie wiem, czy zrozumieję, co znalazłam, jeśli w ogóle coś znajdę. Ki Ala jest tu od dziesięciu lat. Ty sam masz doświadczenie z czterech innych światów. — Już powiedziała, że się zgadza. Że zrobi, o co ją proszono. A teraz nagle zaczęła się wykręcać. Źle. Wstyd.

— Nigdy nie przeżyłem wielkiej rewolucji społecznej. Ki Ala też. Jesteśmy dziećmi pokoju. Potrzebne nam dziecko wojny. Poza tym Ki Ala jest analfabetą. Ja także. Ty umiesz czytać.

— Martwe języki w zabronionych książkach.

Tong przyjrzał się jej przeciągle, w milczeniu, z intelektualną, bezosobową, szczerą czułością.

— Zdaje się, że nie doceniasz własnych zdolności. Stabile wybrali cię jako jednego z czterech reprezentantów Ekumenu na planetę. Musisz przyjąć do wiadomości, że twoje doświadczenie i wiedza mają dla mnie, dla naszej pracy ogromną wagę. Proszę, rozważ to z całą powagą.

Czekał tak długo, aż odpowiedziała:

— Dobrze.

— Zanim pojedziesz w góry, jeśli się w ogóle zdecydujesz, zastanów się nad ryzykiem. A raczej nad tym, że nie wiemy, jakie ryzyko wiąże się z tą podróżą. Akanie nie wydają się agresywni, ale trudno nam to ocenić, skoro żyjemy w takim oderwaniu od rzeczywistości. Nie rozumiem, skąd ta nagła zgoda na wyjazd. Z pewnością władze miały własne powody, ale poznamy je dopiero wtedy, gdy skorzystamy z pozwolenia. — Zamyślił się, nie spuszczać z niej oczu. — Nikt nie wspominał o towarzystwie dla ciebie, przewodniku, psach obronnych. Możliwe, że będziesz zdana na własne siły. A może nie. Nie wiemy. Nikt z nas nie wie, jak wygląda życie poza miastem. Wszystkie różnice czy podobieństwa, wszystko, co zaobserwujesz, co przeczytasz, nagrzesz, będzie dla nas ważne. Już wiem, że jesteś wrażliwym i bezstronnym obserwatorem. A jeśli na tej planecie został jakiś strzęp historii, tylko ty możesz go odnaleźć. Musisz szukać „opowieści” lub ludzi, które je znają. Więc zechciej wysłuchać tych pieśni, zastanów się, a jutro powiadom mnie o swojej decyzji. W porządku?

Ten stary terrański zwrot wypowiedział niezdarnie i z wielką dumą z nowego lingwistycznego osiągnięcia. Satti uśmiechnęła się blado.

— W porządku — powiedziała.

2

Wracając do domu jednotorówką, nagle wybuchnęła płaczem. Nikt tego nie zauważył. Stłoczeni w wagonie ludzie obserwowali hologram; nad przejściem między krzesłami unosiły się dzieci wykonujące ćwiczenia akrobatyczne, setki dzieci w czerwonych uniformach, skaczące, machające równocześnie nogami do taktu przeraźliwej i optymistycznej muzyki. Wchodząc po schodach do mieszkania znowu zaczęła płakać. Nie rozumiała, o co jej chodzi. Nie miała żadnych powodów do płaczu. Na pewno był jakiś, tylko nie potrafiła go znaleźć. Pewnie była chora. Nie. To rozpaczliwe uczucie, które ją drażyło, to strach. Ohydny, paniczny strach. Przewrzenie. Histeria. To szaleństwo, że chcieli ją wysłać zupełnie sarną. Tong chyba oszalał, że się na to zdecydował. Przecież ona sobie nie poradzi. Usiadła przy biurku, żeby wysłać oficjalne podanie o powrót na Terrę. Nie pamiętała słów w jego języku. Wszystkie brzmiały źle.

Rozboliła ją głowa. Trzeba było coś zjeść. We wnęce kuchennej nie znalazła nic, żadnej potrawy. Kiedy ostatnio jadła? Nie w południe. I nie rano. I nie wczoraj wieczorem.

— Co się ze mną dzieje? — spytała pustego mieszkania. Nic dziwnego, że boli ją żołądek. Nic dziwnego, że nawiedzają ją ataki histerycznego płaczu i paniki. Jeszcze nigdy w życiu nie zapomniała o jedzeniu. Nawet wtedy, wtedy, już po wszystkim, kiedy wróciła do Chile, nawet wtedy gotowała i jadła, dzień po dniu wmuszając słone od łez jedzenie w obolałe, ściśnięte gardło.

— Nie ma mowy — oznajmiła. Nie wiedziała, co ma na myśli. Postanowiła, że nie będzie już płakać.

Zeszła na dół, pokazała przy wyjściu ZIL, poszła do najbliższego sklepu „Zjednoczone Gwiazdy”, machnęła przy wejściu ZIL-em.

Wszystkie potrawy były w opakowaniu, przetworzone, zamrożone, wygodne w użyciu, nic świeżego, nic do gotowania. Na widok rzędów pakunków z oczu znowu trysnęły jej łzy. Wściekła i upokorzona, kupiła naleśnik na gorąco przy kontuarze Szybkie Danie. Mężczyzna podający jedzenie był zbyt zajęty, żeby na nią spojrzeć.

Stała przed sklepem, odwrócona plecami do przechodniów i wepchnęła jedzenie do ust, słone od łez, utykające w ściśniętym gardle, tak jak wtedy, wtedy... Wtedy wie-

działa, że musi żyć. Na tym polegało jej zadanie. Żyć w czasach bez radości. Zostawić za sobą miłość i śmierć. Żyć dalej. Żyć samotnie i pracować. A teraz, teraz chciała prosić, żeby ją odesłano na Ziemię? W objęcia śmierci?

Przeżuła kęs i przełknęła. Z mijających ją pojazdów buchała muzyka i hasła reklamowe. Światła na skrzyżowaniu nieopodal były zepsute, więc ryk klaksonów zagłuszał wrzask muzyki. Piesi, producenci — konsumenci Korporacji Państw, wielu w mundurach, reszta w standardowych spodniach, tunikach, marynarkach, wszyscy w płóciennych butach marki Marsz do Gwiazd, mijali ją tłumnie, wyłaniali się z podziemnych garaży, spieszyli do domów. Przeżuła i połknęła ostatni twardy, słodkosłony gruzel ciasta. Nie wróci. Będzie żyła dalej. Będzie żyła samotnie i pracowała. Ruszyła do domu, machnęła ZIL-em przy wejściu i weszła na ósme piętro. Dostała wielkie, efektowne mieszkanie na najwyższym piętrze, ponieważ władze uważały, że powinny uhonorować państwowego gościa. Winda nie działała od miesiąca.

Prawie spóźniła się na statek. Robotaksówka zgubiła się w mieście, szukając rzeki. Usiłowała zawieźć ją do Akwarium, potem do Ministerstwa Zasobów i Przetwarzania Wody, wreszcie znowu do Akwarium. Musiała przejąć kontrolę i trzy razy ją przeprogramowywać. Kiedy wpadła galopem na wybrzeże, załoga już podnosiła trap. Zaczęła krzyczeć, trap opadł z powrotem i mogła się wdrapać na pokład. Cisnęła bagaże do małej kabiny i wróciła, by przyjrzeć się oddalającemu się miastu.

Z wody wydawało się brudniejsze i cichsze pod górującymi ścianami biurowych i państwowych wieżowców. Poniżej potężnych betonowych brzegów znajdowały się drewniane doki i poczerniałe ze starości magazyny. Małe łodzie uwijały się tu i tam, bez wątpienia bez zezwolenia Ministerstwa Handlu, a z osiedli mieszkalnych barek, oplecionych pnączami kwitnących winorośli i sznurami łopoczącego prania, dobiegał smród ścieków.

Pomiędzy ciemnymi wysokimi ścianami wił się strumyk wpadający do większej rzeki. Jakiś rybak oparł się o balustradę łukowatego mostka — obrazek z akańskiej książki, której fragmenty uratowali z utraconej transmisji.

Z jakim szacunkiem oglądała owe ilustracje, strofy wierszy, urywki prozy, jakże nad nimi rozmyślała, jeszcze w Valparaiso, usiłując wyobrazić sobie na ich podstawie, jacy ludzie je stworzyli, marząc, by ich poznać... Wymazanie ich z notera wymagało wiele siły woli i bez względu na to, co powiedział Tong, nadal uważała, że postąpiła niesłusznie, ugięła się przed wrogiem. Przed wymazaniem jeszcze raz przyjrzała się im, z miłością i bólem, sycąc się nimi do ostatka. „I nie ma śladów stóp w pyle, co za nami...”. Pozbywając się tego wiersza, zamknęła oczy. Miała wrażenie, że zabija całą tęsknotę i nadzieję, iż po przyjeździe na planetę zrozumie, o czym mówiły strofy.

Ale zapamiętała cztery wiersze z poematu, a nadzieja i tęsknota jednak pozostały przy niej.

Ciche silniki promu numer osiem mruzczały miękko, a nabrzeże z każdą godziną stawało się niższe, starsze, coraz rzadziej przerywane schodami i podestami. Wreszcie rozplynęło się w błocie, trzcinach i krzakach, a Ereha rozlała się szeroko, szeroko, zadziwiająco szeroko na płaszczyźnie zielonych i żółtozielonych pól.

Przez pięć dni statek sunął jednostajnie na wschód rym równomiernym rozlewiskiem pod łagodnym światłem słońca, a łagodne światło gwiazd było jedynym, co widzieli w nocy. Od czasu do czasu na horyzoncie pojawiało się nadrzeczne miasto, w którym zatrzymywali się w starych dokach pod wysokimi nowymi wieżowcami i biurówcami, by zaopatrzyć się w żywność i wziąć na pokład pasażerów.

Satti rozmawiała z ludźmi na łodzi i przekonała się, że przychodzi jej to z zadziwiającą łatwością. W Dowza City wszyscy usiłowali odseparować ją od społeczeństwa i odebrać głos. Choć dano pozaświatowcom apartamenty i stosunkową swobodę ruchu, każdy ich dzień był szczegółowo zaplanowany, a rozrywki i praca odbywały się pod nadzorem. Przypadkowe znajomości wydawały się nieosiągalne. Mieszkańcy miasta byli tak zajęci, tak zaafetowani, że Satti nie potrafiła się narzucać, zabierać im czasu głupimi pytaniami. Gwałtowny i niezwykle postępowy techniczny został osiągnięty dzięki sztywnej dyscyplinie, przestrzeganej skrupulatnie i z własnej woli przez samych obywateli. Wszyscy pracowali ciężko przez wiele godzin, spali krótko, jedli w pośpiechu. Każda godzina miała swoje przeznaczenie. Pracownicy Ministerstwa Poezji i Informacji doskonale wiedzieli, czego chcą od Satti i jak powinna to wykonać, a kiedy zaczęła działać zgodnie z ich wskazówkami, pospieszili do własnych zajęć, zostawiając ją swojemu losowi. Z pewnością zalecono im nie rozmawiać z nią dłużej, niż jest to konieczne, aby Korporacja mogła kontrolować wszystkie informacje, jakie uzyskała. I choć Satti poznała wiele osób i tylko nieliczne wzbudziły jej antypatię, po sześciu miesiącach pobytu na planecie nie przeprowadziła niczego, co by zasługiwało na miano rozmowy. Nie знаła prywatnego życia Akan, wyjąwszy oficjalne przyjęcia z urzędnikami wysokiego szczebla.

Technologia i osiągnięcia światów Ekumenu były stawiane Akanom za wzór, lecz ci nieliczni ich przedstawiciele, których goszczono (tolerowano) na planecie, nie byli zapraszani do rozmów. Pokazywano ich na publicznych uroczystościach i w progrealach, jako sylwetki za stołem bankietowym czy uśmiechnięte postacie u boku jakiegoś dyrektora. Prawdopodobnie ministrowie woleli im nie dowierzać, ponieważ mogli powiedzieć coś więcej, niż im zalecono. Być może zresztą uznali ich za mało efektywną i niezbyt zachęcającą reprezentację wyższej cywilizacji, na którą tak ciężko pracowali mieszkańcy Aki. Przypuszczalnie cywilizacja robi lepsze wrażenie z odległości paru lat świetlnych.

W każdym razie nie było co marzyć o bliskiej znajomości z kimkolwiek. Nawet wśród ludzi, z którymi widywała się regularnie. Satti nie wyczuwała w tej rezerwie ksenofobii czy jakiegokolwiek uprzedzenia. Akanie nie mieli żadnych zastrzeżeń do obcych jako

takich. Prawdopodobnie chodziło tylko o biurokrację. Rozmowy odbywały się zgodnie z przewidzianym programem. Na bankietach gawędzono o interesach, sporcie i technologii. W kolejkach do pralni — o sporcie i ostatnich progrealach. Wszyscy unikali tematów osobistych i powtarzali opinie rządu z tak niewolniczą wiernością, że wręcz czuli się obrażeni, kiedy nie zgadzała się z banałami, których ich nauczono o wspaniałej, postępowej, przodującej we wszystkim Terze.

Ale na statku ludzie rozmawiali ze sobą. Naprawdę rozmawiali. Intymnie, intensywnie, szczerze. Rozmawiali, opierając się o balustradę, siedząc na pokładzie albo stojąc przy stole z kieliszkiem wina w ręku. I rozmawiali. Wystarczyło jedno słowo albo uśmiech, żeby włączyć ją do ich grona. I zdała sobie sprawę — powoli, ponieważ było to dla niej zupełnym zaskoczeniem — że nie uważają jej za obcą. Wszyscy wiedzieli, że na Ace znajdują się Obserwatorzy z Ekumenu, widywali ich w progrealach, cztery bardzo odległe sylwetki bez twarzy pomiędzy Ministrami i Egzekutywą, marionetki pomiędzy innymi marionetkami. Nie spodziewali się, że spotkają ich pomiędzy zwykłymi ludźmi.

Satti zakładała, że nie tylko zostanie rozpoznana, ale będzie, również izolowana i wykluczana z każdego towarzystwa. A jednak nie przydzielono jej żadnego przewodnika i nigdzie nie dostrzegą nadzorca. Wyglądało na to, że naprawdę zostawiono ją samej sobie. W mieście także musiała sobie radzić sama, lecz zawsze w bańce samotności. Teraz bańka pękła. Otoczył ją świat. Gdyby się nad tym zastanowić, była to dość przerażająca perspektywa... ale Satti nie zamierzała się zastanawiać, ponieważ znakomicie się bawiła. Została zaakceptowana — jako podróżniczka, jedna z tłumu. Nie musiała się tłumaczyć, nie musiała unikać wyjaśnień, ponieważ nikt o nie nie prosił. Mówiła po dowzańsku z nie mocniejszym, lecz raczej słabszym akcentem niż wielu Akan spoza Dowzy, gdzie istniały inne języki narodowe. Jej typ fizyczny — niski wzrost, ciemna karnacja — przekonał ich, że pochodzi ze wschodu kontynentu.

— Jesteś ze wschodu, tak? — pytali. — Moja kuzynka wyszła za chłopaka z Turu.

I znowu mówili o sobie.

Słuchała opowieści o ich kuzynach, rodzinach, zajęciach, opiniach, domach, przepuklinach. Odkryła, że statkiem podróżowali pasażerowie ze zwierzętami, jak puchaty i sympatyczny koto-pies pewnej kobiety, z którym się zaprzyjaźniła. Statkiem podróżowali też ludzie, którzy nie lubili lub bali się latania, co wyjaśnił jej szczegółowo pewien rozmowny starszy dżentelmen. Statkiem podróżowali ludzie, którym się nie spieszyło i którzy lubili opowiadać i słuchać opowieści. Satti usłyszała więcej historii niż większość z nich, ponieważ słuchała, nie przerywając, wyjąwszy okrzyki „Naprawdę?”, „Wspaniale!”, albo „Straszne!”. Mogła słuchać bez końca, chłonąć łapczywie te nudne i drobiazgowo relacje. Dotyczyły wszystkiego, tylko nie oficjalnej literatury i propagandy heroizmu. Gdyby musiała wybierać między heroizmem i przepuklinami, przepukliny wygrałyby

w przedbiegach.

W miarę jak zbliżali się do źródeł, na statek zaczęli wsiadać pasażerowie innego rodzaju. Ludzie przyzwyczajeni do podróży drogą wodną z miasta cło miasta, które teraz były dużo mniejsze i nie widywało się w nich wieżowców. Siódmego dnia na pokładzie pojawili się pasażerowie nie z domowymi pieszczochami, lecz z drobiem w koszykach i kozami na sznurkach.

Właściwie nie były to kozy, jelenie, krowy czy jakikolwiek ziemski gatunek. Nazywano je eberdynami, ale beczwały i miały jedwabistą sierść, więc Satti w duchu uznała je za kozy. Hodowano je dla mleka, mięsa i wełny. W dawnych czasach, co wywnioskowała z kolorowej strony utraconej w transmisji książki z obrazkami, eberdyny zaprzęgano do wozów, a nawet je ujeżdżano. Przypomniała sobie błękitne i czerwone chorągiewki na wozie i podpisała pod obrazkiem: „W drodze do Złotej Góry”. Nie wiedziała, czy to bajka, czy rzeczywiście gdzieś istniała odmiana większych eberdynów. Te, które widziała, sięgały jej do kolan. Ósmego dnia podróży na pokładzie zrobiło się od nich tłoczno. Podróżni wprost brodzili po kolana w jedwabistych falach.

Tego ranka miastowi ze swoimi zwierzątkami i ci, którzy bali się latać, wysiedli w Etlitli, dużym mieście połączonym linią kolejową z wypoczynkowymi miejscowościami w Okręgu Wysokich Źródeł. W okolicach Etlitli na rzece były trzy śluzy, jedna bardzo głęboka. A ponad nimi zaczynała się inna rzeka — dziksza, węższa, rwąca, już nie bura, lecz zielonkawobłękitna.

W Etlitli skończyły się też długie rozmowy. Wieśniacy, którzy znajdowali się obecnie na pokładzie, bardziej stronili od obcych. Nie okazywali im wrogości, ale rozmawiali głównie ze znajomymi. Satti przyjęła z ulgą odzyskaną samotność. Teraz mogła spokojnie obserwować. Po lewej stronie, tam gdzie strumień skręcał na północ, pojawiały się wieże górskich szczytów, jedna po drugiej, czarna skała, biały lodowiec. Przed nimi nie było widać niczego ciekawego; tereny łagodnie się wznosiły. A prom numer osiem, pełen beczenia, kwakania i ściszonych głosów wieśniaków, cuchnący nawozem, smażonym chlebem, rybami i słodkimi melonami, sunął powoli przed siebie pomiędzy szerokimi skalistymi brzegami i bezdrzewnymi równinami porośniętymi jasną pierzastą trawką. Ciche silniki z wysiłkiem walczyły z mocnym nurtem. Gnające przez niebo wielkie chmury spuszczały na ziemię siekące strugi deszczu i odpływały, zostawiając blask słońca, krystaliczne powietrze, zapach gleby. Noc była cicha, zimna, rozgwieżdżona. Satti zasiedziała się do późna i wstała wcześnie. Wyszła na pokład. Niebo na wschodzie było nadal ciemne, ale świt zapalał wierzchołki odległych gór jeden po drugim, jak zapalki.

Prom zatrzymał się w miejscu, w którym nie było miasta ani wsi, żadnego śladu osiedli. Kobieta w tunice ze zgrzebnej wełny wysiadła na brzeg, ciągnąc za sobą beczące stadko, wrzeszcząc na nie i żegnając się głośno ze znajomymi. Satti długo obserwowa-

ła oddalającą się grupę, malejący jasny kleks na srebrnozłotej równinie. Cały dziewiąty dzień podróży minął w transie światła. Prom poruszał się powoli. Rzeka, czysta jak wiatr, była tak cicha, że statek jakby szybował ponad jej taflą, pomiędzy dwoma niebami. Wokół nich były tylko skały i blada trawa, blade kształty. Góry zniknęły, ukryte za wniesieniem terenu. Ziemia, niebo i rzeka, płynąca od jednego do drugiego.

To długa podróż, pomyślała Satti, znowu stając wieczorem przy balustradzie. Dłuższa niż z Ziemi na Akę.

Pomyślała jeszcze o Tongu Ov, który mógłby sam się w nią udać, ale powierzył tę misję jej i nie wiedziała, jak mu dziękować. Patrząc, opisując, nagrywając. Tak. Ale nie potrafiła nagrać swojego szczęścia. Ten świat sam je niszczył.

Pao powinna tu być, pomyślała. Ze mną. Powinna tu być. Powinniśmy być szczęśliwe.

Niebo pociemniało, woda zatrzymała blask.

Na pokładzie znajdował się jeszcze ktoś. Jedyne oprócz niej pasażer, który wsiadł na prom w stolicy. Milczący mężczyzna w okolicach czterdziestki. Państwowy urzędnik w niebiesko-brązowym mundurze. Mundury były wszechobecne. Uczniowie chodzili w szkarłatnych szortach i tunikach: fale, szeregi i małe podskakujące kropki jaskrawej czerwieni na wszystkich ulicach miast, zaskakujący, wesoły widok. Studenci nosili zieleń i rudy. Niebieski i brązowy były kolorami Biura Kulturalno-Społecznego, w skład którego wchodziło Centralne Ministerstwo Poezji i Sztuki oraz Światowe Ministerstwo Informatyki. Satti często się spotykała z błękitem i brązem. W tych barwach nosili się poeci (to znaczy ci, którzy pracowali dla rządu), producenci taśm i progreali, bibliotekarze i urzędnicy z filii Biura, z którymi Satti miała mniejszy kontakt, jak na przykład Czystość Etyczna. Dystynkcje jej towarzysza podróży zdradzały, że pełni on dość wysoką funkcję Pełnomocnika. W pierwszych dniach spodziewając się państwowego nadzoru, urzędnika czuwającego nad jej każdym ruchem, czekała na jakąś oznakę zainteresowania z jego strony. Nie dostrzegła żadnej. Jeśli ją znał, nie okazał tego. Stronił od wszystkich, posiłki jadał przy kapitańskim stole, zajmował się tylko własnym noterem i unikał grup, do których dołączała Satti.

Teraz stanął przy balustradzie o parę kroków od niej. Skinęła mu głową i dalej milczała w przekonaniu, że takie zachowanie jest jak najbardziej na miejscu.

Ale mężczyzna zagadnął ją, przerywając ciszę mroczniejszego krajobrazu, gdzie jedynie woda mruczała cicho i zaciekle pod dziobem promu.

— Straszny kraj — powiedział.

Dźwięk jego głosu obudził małego eberdyna, przywiązanego do pobliskiego słupa. Zwierzę zabeczało cicho: ma — ma! i potrząsnęło głową.

— Jałowy — dodał Pełnomocnik. — Zacołany. Szuka pani oczu kochanków?

— Proszę?

— Oczu kochanków. Klejnotów, drogich kamieni.

— Dlaczego tak się nazywają?

— Prymitywna wyobraźnia. Rzekome podobieństwo. — Ich oczy spotkały się przełotnie. Do tej pory sądziła, że jest nieco sztywny, nudny, może trochę egocentryczny. Nie spodziewała się tak lodowato przenikliwego spojrzenia.

— Znajdują się na wybrzeżach rzeki, na wyżynie. Tylko tam. — Wskazał punkt w górze rzeki. — Jedyne miejsce na planecie. A zatem przywiodło panią coś innego.

Musiał ją znać. I sądząc po jego zachowaniu, chciał jej dać do zrozumienia, że nie pochwała jej samotnych wędrówek.

— Przez ten krótki czas, jaki spędziłam na Ace, widziałam tylko Dowza City. Dostałam zezwolenie na małą wyprawę.

— W górę rzeki — dodał z martwym pseudouśmiechem. Czekał na dalsze wyjaśnienia. Czuła to oczekiwanie, presję, jakby uważał ją za swoją podwładną. Stawiła mu czoło.

Spojrzał na fioletowe równiny, powoli mroczniejące do czerni. Potem na wodę, ciągle jakby rozświetloną od środka.

— Dowza to piękny kraj. Żyzne ziemie, prosperujące fabryki, znakomite miejscowości wypoczynkowe. Skoro pani tego nie widziała, po co jechać na pustynię?

— Urodziłam się na pustyni — odparła. To mu na chwilę zamknęło usta.

— Wszyscy wiemy, że Terra jest żyznym, postępowym światem. — Jego głos był pełen dezaprobaty.

— Pewne rejony mego świata są żyzne. Zdarzają się i jałowe. Źle je wykorzystywaliśmy. To cały świat, jest w nim miejsce na różnorodność. Tak jak tutaj.

— A jednak woli pani jałowe ziemie i prymitywne środki podróży?

Nie był to już przesadny, frustrujący szacunek, jaki okazywali jej mieszkańcy Dowza City, otaczający ją ochronnym parasolem, jakby była małym blaszanym bożkiem, który nie może poznać rzeczywistości. W głosie tego człowieka słyszała podejrzliwość, nieufność. Dawał jej do zrozumienia, że obcy nie powinni samotnie włóczyć się po jego kraju. Pierwszy przypadek ksenofobii na Ace.

— Lubię statki — powiedziała pogodnie. — I podoba mi się ta okolica. Surowa, lecz piękna. Nie sądzi pan?

— Nie — warknął. Znała ten ton, głos państwowego urzędnika.

— A co pana sprowadza w górę rzeki? Poszukiwania oczu kochanków? — rzuciła lekko, nawet żartobliwie, dając mu możliwość zmiany tonu.

Nie skorzystał z niej.

— Interesy.

„Wizdiat”, najwyższe akańskie usprawiedliwienie, cel niepodlegający dyskusji, zrozumiały dla wszystkich.

— W tych okolicach znajdują się enklawy zacofania i reakcji. Mam nadzieję, że nie ma pani zamiaru wybierać się poza miasto. Tam edukacja jeszcze nie dotarła, a tubylcy są agresywni i niebezpieczni. Ponieważ obszar ten podlega mojej jurysdykcji, jestem zmuszony prosić panią o pozostawanie w kontakcie z moim biurem, zgłaszanie wszelkich nielegalnych praktyk i uprzedzanie z góry o ewentualnych wycieczkach.

— Doceniam pańską troskę i z całą pewnością uczynię zadość pańskiej prośbie — wyrecytowała; dosłowny cytat z „Rozmówek dowzańskich dla zaawansowanych” oraz „Zwrotów dla barbarzyńców”.

Pełnomocnik skinął głową, nie spuszczać oczu z powoli przesuwanego się za burtą mroczniejącego wybrzeża. Kiedy znowu odwróciła głowę, już go nie było.

3

Cudowna podróż promem, sunącym stromo w górę rzeką na pustyni zakończyła się dziesiątego dnia w Okzat-Ozkat. Na mapie miasto wyglądało jak kropeczka pomiędzy płataniną izobar Okręgu Wysokich Źródeł. Późnym wieczorem został z niego tylko zamazany biały kształt w krystalicznych zimnych ciemnościach, wysoko położone mroczne okna domów, zapach kurzu, nawozu, zgniłych owoców i słodkiego suchego górskiego powietrza, zgiełk głosów, stukot obcasów na kamieniu. Ruch kołowy prawie nie istniał. Z jakiegoś bardzo wysokiego muru przeświecało słabe pomarańczowe światło, ledwie widoczne ponad ozdobnymi dachami na tle ostatniej zielonkawej świetlistości zachodniego nieba.

Na wybrzeże dolatywał jazgot obwieszczeń państwowych i muzyki. Satti drgnęła; w czasie dziesięciu dni cichych głosów i szemrania rzeki zdążyła się odzwyczaić od hałasu. Nie czekał na nią żaden przewodnik. Nikt jej nie śledził. Nikt nie kazał jej pokazywać ZIL-a.

Nadal zatopiona w odrętwieniu podróży, potem zaciekawiona, niespokojna, czujna, wędrowała nadbrzeżnymi ulicami, aż wreszcie torba zaczęła ją przyginać do ziemi, a wiatr stał się ostry jak nóż. Zatrzymała się przy drzwiach jednego domu w ciemnej, stromo biegnącej w górę uliczce. Były otwarte; kobieta, która w nich siedziała, wydawała się rozkoszować wieczornym wonnym wietrzykiem.

— Przepraszam, gdzie znajdę jakiś zajazd?

— Tutaj. — Kobieta była kaleką, miała nogi wyschnięte jak patyki. — Ki! — zawołała.

Pojawił się mniej więcej piętnastoletni chłopiec. Bez słowa zaprosił Satti do domu i wskazał jej wysoki, obszerny, mroczny pokój wyściełany dywanem. Dywan był olśniewający: karmazynowa wełna eberdynów z surowym, skomplikowanym koncentrycznym wzorem w czerni i bieli. Jedynym przedmiotem w pokoju była struktura świetlna — dziwna, kanciasta żarówka pomiędzy dwoma wysoko osadzonymi, niskimi i długimi oknami. Jej przewód nikał w jednym z nich.

— A łóżko?

Chłopiec wskazał nieśmiało zasłonę w mrocznym kącie.

— Łazienka?

Skinął głową w stronę drzwi. Otworzyła je. Trzy wykładane kafelkami stopnie schodziły do małego pomieszczenia z dziwnymi, choć sugerującymi swoje przeznaczenie urządzeniami z drewna, metalu i ceramiki, połyskującymi w ciepłym blasku grzejnika elektrycznego.

— Bardzo ładnie — powiedziała. — Ile płacę?

— Jedenaście haha — mruknął chłopak.

— Za noc?

— Za tydzień. — Akański tydzień liczył dziesięć dni.

— Ach, świetnie. Dziękuję.

Źle. Nie powinna mu dziękować. Słowa podziękowania były „służalczym nawykiem”. Pozbawione znaczenia rytualne formułki powitania, pożegnania, prośby i obłudnej wdzięczności, zacofane relikty prymitywnej hipokryzji, kłody na drodze do szczerości pomiędzy producentami-konsumentami. Nauczyła się tego w pierwszych dniach po przyjeździe. Zdołała się odzwyczaić od złych nawyków, nabytych na Ziemi. Dlaczego nagle popełniła taki nietakt? Skąd jej się wzięło to nieokrzesane „dziękuję”?

Chłopiec wymamrotał tylko coś pod nosem. Musiała poprosić, żeby powtórzył; było to zaproszenie na kolację. Zgodziła się i już nie dziękowała.

Pół godziny później wniósł do jej pokoju niski stolik, przykryty serwetą we wzory i zastawiony talerzami z ciemnoczerwonej porcelany. Satti znalazła za zasłoną poduszki i mięsisty śpiwór. Powiesiła ubranie na kołkach, również ukrytych za kotarą. Książki i notesy położyła na lśniącej podłodze pod żarówką, usiadła na dywanie i pograżyła się w bezruchu. Podobała się jej atmosfera tego pokoju — przestrzeń, wysokość, cisza.

Chłopiec przyniósł jej pieczony drób i warzywa, białe ziarno o smaku kukurydzy i letnią aromatyczną herbatę. Satti usiadła na jedwabistym dywanie i zabrała się do jedzenia. Chłopak parę razy spojrzął na nią w milczeniu, sprawdzając, czyjej czegoś nie potrzeba.

— Przepraszam, jak się nazywa to ziarno? — Nie, źle. Nie przepraszać. — Ale najpierw powiedz, jak się nazywasz.

— Akidan — szepnął. — To tuzi.

— Bardzo smaczne. Nigdy dotąd tego nie jadłam. Sami je uprawiacie?

Skinął głową. Miał wyrazistą twarz o wyrazie pełnym słodyczy, jeszcze dziecinną, choć kryła się w niej wyraźna zapowiedź męskich rysów.

— Dobre dla drewna.

Skinęła głową, udając zrozumienie.

— I pyszne.

— Dziękuję, joz.

„Joz” — termin uznany przez państwo za służalczy nawyk i zakazany co najmniej od pięćdziesięciu lat. Oznaczał mniej więcej znajomego. Satti jeszcze nigdy nie słyszała tego słowa z niczyich ust, wyjąwszy nagrania, z których nauczyła się języka. A czy „dobre dla drewna” to także jakiś reakcyjny przeżytek? Postanowiła się dowiedzieć. Może jutro. Dziś zamierzała się już tylko wykapać, rozwinąć posłanie i zasnąć w mroku i błogosławionej ciszy tego wyżynnego kraju.

Ciche pukanie — prawdopodobnie Akidana — zwabiło ją do drzwi, za którymi znalazła czekającą już tacę — stół ze śniadaniem. Składał się na nie duży kawał wydrylowanego owocu, kawałki czegoś żółtego i aromatycznego w miseczce, kruche, szarawe ciasto i czarka letniej herbaty, tym razem odrobinę bardziej gorzkiej — smak, który początkowo wydawał się odstręczający, lecz potem stopniowo przypadł jej do gustu. Owoc i chleb były świeże i delikatne. Żółte kwaśne kawałki zostawiła nietknięte. Kiedy chłopiec przyszedł po tacę, spytała go o nazwę każdego dania, ponieważ potrawy były tu zupełnie odmienne od tych, jakie jadła w stolicy, a podano je z wielką starannością. Kwaśne kawałki to abid, wyjaśnił Akidan.

— Na poranek — dodał. — Do słodkiego owocu.

— Więc powinnam to zjeść?

Uśmiechnął się z zażenowaniem.

— Pomaga zrównoważyć.

— Ach, tak. Więc zjem. — Włożyła do ust kwaśną potrawę. Akidan przyjął to z wyraźnym zadowoleniem. — Pochodzę z dalekiego kraju — dodała.

— Z Dowza City.

— Jeszcze dalszego. Z innego świata. Z Terry.

— Ach.

— Dlatego nie znam waszych zwyczajów. Chciałabym cię spytać o wiele rzeczy. Zgadzasz się?

Wzruszył lekko ramionami, bardzo dojrzały gest. Mimo nieśmiałości był niezwykle opanowany. Cokolwiek mogło to dla niego znaczyć, bez zdziwienia przyjął fakt, iż Obserwator z Ekumenu, przybysz z innego świata, który ukazywał mu tylko jako elektroniczny obraz ze stolicy, zamieszkał w jego domu. Ani śladu ksenofobii, którą zaprezentował mężczyzna z promu.

Ciotka Akidana, okaleczona kobieta, która wyglądała, jakby ciągle drążył ją słaby ból, odzywała się rzadko i bez uśmiechu, lecz także odnosiła się do niej spokojnie i tolerancyjnie. Satti postanowiła zostać w jej domu przez dwa tygodnie, może dłużej. Poprzednio zastanawiała się, czy jest jedynym gościem. Teraz, kiedy się już rozejrzała w budynku, znalazła w nim tylko jeden gościnny pokój.

W mieście w każdym hotelu i pensjonacie, w każdej restauracji, sklepie, biurze czy urzędzie, przy każdym wejściu i wyjściu musiała pokazywać swój osobisty chip identy-

fikacyjny, potwierdzenie jej istnienia jako producent-konsument w banku danych Korporacji. ZIL wydano jej podczas długich formalności w porcie kosmicznym. Ostrzeżono ją, że bez niego straci tożsamość. Nie będzie mogła wynająć pokoju, robotaksówki, zrobić zakupów, iść do restauracji czy choćby wejść do jakiegokolwiek publicznego budynku, nie wywołując alarmu. Akanie na ogół nosili swoje ZIL-e wszczepione w nadgarstek lewej ręki. Satti wołała zdecydować się na ciasną bransoletkę. Teraz, rozmawiając z ciotką Akidana w małym biurze, rozejrzała się za skanerem, podniosła lewą rękę w gotowości do wykonania uniwersalnego gestu. Ale kobieta obróciła się wraz z krzesłem ku masywnemu biurku z dziesiątkami szufladek, zajrzała do paru, znalazła właściwą i wyjęła z niej zakurzoną książeczkę z formularzami. W⁷ydarła jeden, odwróciła się do Satti i wręczyła jej do wypełnienia. Papier był tak stary, że kruszył się pod dotknięciem, ale w rubrykach nie było miejsca na kod ZIL.

— Powiedz mi, proszę, jak się mam do ciebie zwracać, joz — powiedziała Satti. Kolejna formułka prosto z rozmówek.

— Nazywam się Iziezi. Powiedz mi, proszę, jak się mam do ciebie zwracać, joz i dejbérienduin.

Mile-widziana-pod-moim-dachem. Sympatyczne słowo.

— Nazywam się Satti, joz i miła gospodyni.

Wymyśliła ten zwrot na poczekaniu, ale okazał się właściwy. Szczupła, ściągnięta twarz Iziezi nieco się wygładziła. Kiedy Satti oddała formularz, kobieta uniosła złożone ręce na wysokość mostka i skłoniła głowę — nieznacznie, lecz uroczyście. Zakazany gest. Satti powtórzyła go za nią.

Wychodząc, zauważyła, że Iziezi odkłada książeczkę z formularzami oraz wypełniony przed chwilą dokument do szuflady — innej niż ta, z której je wzięła. Zanosilo się na to, że Korporacja przynajmniej przez parę godzin straci rozeznanie co do miejsca pobytu osobnika /EX/HH 440 T 386733849 H 4/4939.

Uciekłam z sieci, pomyślała Satti i wyszła na słońce.

We wnętrzu domu panował mrok; horyzontalne okna były osadzone bardzo wysoko w murze, tak wysoko, że nie ukazywały nic z wyjątkiem przejmująco błękitnego nieba. Po wyjściu na dwór można było dostać zawrotu głowy. Białe ściany domów, lśniące dachówki, strome uliczki z ciemnej kamiennej kostki, z której słońce krzeszło oślepiające błyski. A na wschodzie, ponad dachami — co dostrzegła, kiedy wzrok przywykł jej do blasku — niebo zasłaniała zmięta jaśniejąca kotara. Wytężyła wzrok, zamrugowała powiekami. Czy to chmura? Erupcja wulkanu? Zorza w biały dzień?

— Matka — odezwał się niski bezzębny mężczyzna koloru ziemi. Siedział na trzykółowym wózku i uśmiechał się do niej z dołu.

Spojrziała na niego tępo.

— Matka Erehy — dodał, wskazując na jaśniejącą ścianę. — Silong. He?

Góra Silong. Widziała ją na mapie. Najwyższy punkt Okręgu Wysokich Źródeł i Wielkiego Kontynentu Aki. Podczas podróży rzeką góra kryła się za wyżyną. Teraz widać było jej górną część, faldzisty promieniujący blask, falujący, intensywny, nieuchwytny, ostry szczyt na wpół rozplywający się w złotym świetle. Wiały od niego lodowate podmuchy wiecznego wiatru.

Stała tak w towarzystwie człowieka na wózku, a inni zatrzymywali się, żeby pomóc im patrzeć. Takie miała wrażenie. Wszyscy wiedzieli, jak wygląda Silong i dlatego mogli jej pomóc ją dostrzec. Powtarzali jej imię i nazywali ją Matką, wskazując migotanie rzeki w dole ulicy. Jeden z nich odezwał się:

— Mogłabyś pójść do Silong, joz?

Byli drobni, szczupli, o pełnych policzkach i wąskich oczach górników, zepsutych zębach, delikatnych smukłych dłoniach, stopach okaleczonych zimnem i pokrytych ranami. Byli tak samo smagli jak ona.

— Miałabym tam iść? — Uśmiechali się, więc mimo woli odpowiedziała tym samym.
— Dlaczego?

— Na Silong żyje się wiecznie — powiedziała powykręcana kobieta z plecakiem pełnym pumeksu.

— Groty — dodał mężczyzna o żółtawej twarzy poznaczonej bliznami. — Groty pełne życia.

— I seks! — zawołał człowiek na wózku i wszyscy się roześmieli. — Seks przez trzysta lat!

— Ale to za wysoko. Jak można się tam dostać?

Wszyscy roześmieli się jednocześnie.

— Powietrzem!

— Czy można tam wylądować samolotem?

Ochryple śmiechy, kręcenie głową.

— Nigdzie — powiedziała pokręcona kobieta.

— Nie samolotem — dodał żółty mężczyzna, a człowiek na wózku dorzucił:

— Po seksie, który trwa trzysta lat, każdy potrafi latać!

A potem ich śmiech nagle się urwał, a oni zniknęli jak cienie, tylko człowiek na wózku włókł się z wysiłkiem ulicą, a Satti została sam na sam z Pełnomocnikiem.

Wydawał się wielki jak wieża. Nie był wysoki, ale tutaj górował nad wszystkimi. Jego skóra, ciało były inne, gładsze, twarde i równe jak plastik, a niebiesko-brązowa tunika i obcisłe spodnie, nieskazitelnie czyste i wyprasowane, rzucały się w oczy jak każdy mundur. Nie pasował do tego miasta tak samo jak ona. On też był obcy.

— Żebranie jest nielegalne — powiedział.

— Nie żebrałam.

Po krótkiej chwili milczenia dodał:

— Nieporozumienie. Nie wolno zachęcać żebraków. To pasożyty na ciele społeczeństwa. Dawanie datków jest nielegalne.

— Nikt tu nie żebrał.

Skinął głową — doskonale, ostrzeżenie udzielone — i odwrócił się do niej plecami.

— Bardzo dziękuję za tyle serdeczności i pomocy — rzuciła za nim we własnym języku. Och, źle, źle. Nie powinna sobie pozwalać na złośliwości w żadnym języku, nawet jeśli Pełnomocnik nie zwrócił na to uwagi. Nie ucierpiał, ale to jej nie usprawiedliwiało. Skoro ma uzyskać tu informacje, musi pozostawać w dobrych stosunkach z lokalnymi urzędnikami; jeśli ma się czegoś nauczyć, nie wolno jej oceniać. Stare powiedzenie: „opinia kończy obserwację”. Może ci ludzie naprawdę byli żebrakami i właśnie ją urabiali? Skąd mogła to wiedzieć? Nie znała tego miejsca, jego mieszkańców, nie znała tu niczego.

Ruszyła w drogę z pokornym postanowieniem, że nie będzie wyrażać o niczym sądów.

Nowoczesne budynki — więzienie, prefektura, urzędy rolne, kulturalne i kopalniane, studium nauczycielskie, liceum — wyglądały jak ich odpowiedniki w innych miastach: brzydkie, zwaliste masywy. Miały najwyżej trzy piętra, ale górowały nad wszystkim tak samo jak Pełnomocnik. Inne budynki były małe, subtelne, brudne, kruche. Niskie ściany, malowane na pomarańczowo lub czerwono, horyzontalne okna wysoko pod okapami, dachy z czerwonych lub oliwkowych dachówek z wymyślnymi zakrętami wzdłuż krawędzi i fantastycznymi ceramicznymi zwierzętami, trzymającymi rogi dachów w zębatych paszczach. Małe sklepiki ze ścianami całkowicie pokrytymi na zewnątrz i wewnątrz napisami w starych ideogramach, zamalowanych białą farbą, ale przezierającymi przez nią bezczelnie. Strome brukowane ulice i schodki wykładane kafelkami, prowadzące do zamkniętych drzwi, czerwonych i niebieskich, lecz zamalowanych na biało. Warsztaty, w których mężczyźni skręcali powrozy lub cięli kamień. Wąskie skrawki gruntu pomiędzy domami, na których stare kobiety kopały, gracowały, wyrwały chwasty i zmieniały nurty miniaturowego systemu irygacyjnego. Parę samochodów na przystani i pod dużymi białymi budynkami ale na ulicach chodziło się pieszo lub na wózkach. I ku ucieście Satti, karawana przybywająca ze wsi: duży eberdyn zaprzęgnięty do dwukołowego wózka z baldachimem obszytym zielonymi frędzlami, a także dwa jeszcze większe eberdyny, dorównujące wzrostem dużym kucom, z dzwonkami przywiązanymi na wełnianych sznurkach wokół szyi; na każdym z nich jechała kobieta w długim czerwonym płaszczu, nieruchoma w wysokim rogatym siodle.

Karawana minęła prefekturę — malutki, kolorowy, hałaśliwy strzęp przeszłości pod nieruchomym spojrzeniem teraźniejszości. Z dachu prefektury rozbrzmiewała jazgotliwa muzyka motywacyjna na przemian z hasłami. Satti szła za karawaną jeszcze przez parę ulic; pochód zatrzymał się u stóp długich schodów. Przechodnie także się zatrzy-

mali, tak samo przyjaźni, jakby naprawdę pomagali jej patrzeć, choć nie odezwali się do niej ani słowem. Wysokie niebiesko-czerwone drzwi otworzyły się, wyszli z nich ludzie i powitali przyjezdnych. Czy to hotel?

Satti weszła do sklepu, który poprzednio minęła w wyżej położonej dzielnicy miasta. O ile dobrze zrozumiała napis wokół drzwi, można było w nim dostać nalewki, maści, zapachy i użyźniacze. Być może, kupując krem do rąk, zyska dość czasu, by przeczytać choć część inskrypcji pokrywających każdą ścianę od podłogi do sufitu — stary nielegalny język. Na fasadzie sklepu napisy zachlapano białą farbą, na której zamieszczono słowa w nowoczesnym alfabecie, ale słowa te spłowiały na tyle, że leżące pod nimi wyrazy dawały się odczytać. W ten sposób zdołała odcyfrować „zapachy i użyźniacze”. Prawdopodobnie perfumy i... I co? Czym są użyźniacze? Może lekami na płodność? Weszła do środka.

Od progu otoczyły ją zapachy — silne, słodkie, ostre, dziwne. Mroczne, wonne powietrze. Doznała dziwnego wrażenia, że pikto- i ideogramy pokrywające ściany czarnymi i ciemnoniebieskimi kształtami poruszają się, nie skokami, jak na wpół widoczny druk, lecz równomiernie, regularnie, powiększając się i łagodnie zmniejszając, jakby oddychały.

Pomieszczenie było wysokie, z tradycyjnymi wysoko osadzonymi oknami. Pod ścianami stały rzędy szaf z dziesiątkami małych szufladek. Kiedy jej oczy przyzwyczaiły się do półmroku, dostrzegła po lewej stronie starego mężczyznę za ladą. Za jego głową na ścianie rysowały się dwa symbole. Odczytała je automatycznie, przypominając sobie stopniowo niektóre z ich różnorodnych znaczeń: dostojny szczyt — filcowy kapelusz — spojrzeć w dół — wyskoczyć i drugi: dwa — podwójność — boki — lędźwie — dzielić.

— Joz i dejberienudin, w czym mogę być pomocny?

Spytała, czy dostanie maść lub płyn dla suchej skóry. Sklepikarz skinął przyjaźnie głową i zaczął szukać w tysiącu szufladek z tą samą spokojną pewnością, co Iziezi przy biurku.

Dzięki temu Satti zyskała czas, by odczytać napisy ze ścian. Jednak drażniące złudzenie ruchu liter trwało, przez co ich znaczenie jakoś jej umykało. Nie robiły wrażenia reklam, za które je początkowo brała. Były raczej przepisami, zaklęciami lub cytatami. Sporo o gałęziach i korzeniach. Symbol oznaczający krew, ale występujący z innym określnikiem pierwiastka, przez co mógł oznaczać limfę lub sok. Formuły w rodzaju „pięć z trzech, trzy z pięciu”. Alchemia? Medycyna, recepty, zaklęcia? Wiedziała tylko, że to stare słowa, stare znaczenia, że po raz pierwszy odczytuje prawdziwą przeszłość Aki. I nie rozumiała jej sensu.

Sądząc z miny sklepikarza, znalazł wreszcie pożądaną szufladę. Zerknął do niej z satysfakcją i wyjął słoje z surowej gliny. Potem podjął delikatne poszukiwania w nieozna-

kowanych szufladkach, dopóki nie znalazł następnej, której zawartość mu się spodobała. Otworzył ją i także spoglądał w nią przez chwilę. Dopiero potem wyjął z niej pudełko ze złotego kartonu. Z owym pudełkiem zniknął w pokoju na zapleczu. Wreszcie wyłonił się razem z nim, małym dzbankiem z lśniącą polewą oraz łyżką. Ułożył to wszystko rządkiem na ladzie. Wygarnął łyżką nieco zawartości słoja z surowej gliny i przełożył ją do polewanego dzbanka. Wytarł łyżkę czerwoną ściereczką, którą wyjął spod kontuaru, wsypał do polewanego dzbanka dwie łyżki mialkiego, podobnego do talku pyłu ze złotego pudełka i wymieszał składniki z tą samą niespieszną cierpliwością.

— Od tego kora robi się bardzo gładka — odezwał się cicho.

— Kora — powtórzyła Satti.

Uśmiechnął się i odłożywszy łyżkę, potarł wierzchem jednej dłoni o drugą.

— Ciało jest jak drzewo?

— Ach — powiedział tylko, tak jak Akidan. Dźwięk oznaczający potwierdzenie, lecz nie całkowite. Tak, lecz niezupełnie. Albo: tak, ale nie używamy tego słowa. Albo: tak, ale nie musimy o tym mówić. „Tak” z marginesem.

— „W zejściu z nieba ciemnej chmury... rozwidlony... podwójnie rozwidlony?”

— przeczytała Satti spłowiałe, lecz wyrafinowane ideogramy wysoko na ścianie.

Sklepikarz głośno klapnął jedną ręką o ladę, a drugą zasłonił usta.

Podskoczyła.

Spojrzeli na siebie szeroko otwartymi oczami. Staruszek opuścił rękę. Mimo gwałtownej reakcji nie wydawał się poruszony. Być może nawet się uśmiechał.

— Nie wolno głośno, joz — szepnął.

Satti patrzyła na niego jeszcze przez jakiś czas. Potem zamknęła usta.

— Stare dekoracje — dodał sklepikarz. — Staroświecka tapeta. Kropki i linie, całkiem bez znaczenia. Oni zostawiają te stare dekoracje, nie zamalowują ścian na biało. Biało i cicho. Cisza to śnieg. A zatem, joz i szanowna klientko, ta maść pozwala skórze lekko oddychać. Spróbujesz?

Nabrała na palec jasnego kremu i rozprowadziła go na dłoni.

— O, jak miło. I jaki ładny zapach. Jak się nazywa?

— Ten zapach daje zioło o nazwie immimi, maść jest moją tajemnicą, a ceny nie ma.

Kiedy to mówił, wzięła dzbanek i przyjrzała się mu z upodobaniem; z pewnością był stary, emalia na grubym szkle, wytworne dopasowane wieczko, mały klejnocik.

— Och, nie, nie, nie — zaprotestowała, ale staruszek splótł ręce tak jak Iziezi i skłonił głowę z taką godnością, że nie mogła dalej protestować. Powtórzyła jego gest. Uśmiechnęła się i spytała:

— Dlaczego?

— ...podwójnie rozwidlone drzewo błyskawicy wyrasta z ziemi — odpowiedział nie-

mal niedosłyszalnie.

Dopiero po chwili podniosła wzrok na inskrypcję i przekonała się, że kończy się ona tymi właśnie słowami. Ich oczy znowu się spotkały. Potem starzec rozpląnął się w mroku zaplecza, a ona wyszła na ulicę, mrugając oczami w oślepiającym blasku i przyciskając do piersi dar.

Szła stromymi, zawilgocionymi uliczkami w stronę gospody, zatopiona w myślach. Można było uznać, że Mobil, potem Pełnomocnik i teraz Użyźniacz skaptowali ją szybko i bez kłopotu, wciągnęli w swoje działanie i nie wyjaśnili, do czego one prowadzą. Znajdź ludzi, którzy znają opowieści i złóż mi raport, powiedział Tong. Unikaj reakcyjnych dydymentów i złóż mi raport, rzekł Pełnomocnik. A co do Użyźniacza... czy dał jej łapówkę za milczenie, czy też nagroził za to, co powiedziała? Miała wrażenie, że za to drugie. Ale była pewna tylko jednego: że nie ma dość wiedzy, by dalej tak postępować, nie narażając na niebezpieczeństwo siebie lub innych.

Rząd tego świata wykreślił całą swoją przeszłość, by uzyskać moc techniki i wolność intelektu. Nie mogła lekceważyć wrogości Akańskiej Korporacji Państw wobec „starych dekoracji” i ich znaczenia. Dla rządu, który twierdził, że jest wolny od tradycji, obyczajów i historii wszystkie stare nawyki, wyobrażenia i zachowania musiały być ogniskami zarazy, gnijącymi trupami, które trzeba pochować lub spalić. Pismo, które je zachowywało, powinno zostać wymazane.

Jeśli nagrania edukacyjne i historyczne dramaty, które studiowała w stolicy, miały jakieś znaczenie faktograficzne, a tak się jej zdawało, przez ostatnie kilkadziesiąt lat mężczyźni i kobiety ginęli pod ścianami świątyń, płonęli żywcem wraz z księgami, które usiłowali uratować, umierali w więzieniach za reakcyjną ideologię i szerzenie wstecznych nauk. Nagrania i sztuki gloryfikowały wojnę, przeciwstawiając ją gnuśnej przeszłości. Bombardowania, pożary, wyburzania przedstawiały jako heroiczne czyny. Dzielni młodzieńcy i dziewczęta wyrwali się spod kurateli głupich rodziców, kłamliwych duchownych, ograniczonych nauczycieli, reakcyjnych podżegaczy i bez wahania palili siedliska zarazy, a na ich miejscu sadzili żyzne sady — denuncjowali złego profesora, który chował pod łóżkiem słownik ideogramów — wysadzali w powietrze ohydne ule, w których warzył się jad ignorancji — rozorywali traktorami nikczemne przesądne rytuały — a potem, ręka w rękę, wiedli swych braci producentów-konsumentów w Marsz ku Gwiazdom.

Pod warstwą tych bredni i retoryki leżało prawdziwe cierpienie, prawdziwe uczucie. Po obu stronach. Satti była tego świadoma. Tong Ov dobrze ją nazwał, naprawdę była dzieckiem wojny. A jednak z największym trudem przychodziło jej przypominanie sobie — z ironiczną goryczą — że ten świat był odwrotnością wszystkiego, co znała. Jak negatyw. Tutaj wierzący nie prześladowali, lecz byli prześladowani.

Ale po obu stronach wiara była prawdziwa. TERRORYŚCI rozumu, TERRORYŚCI wiary, co

za różnica.

Jedyne, co wydało się jej zaskakujące w nieustannej propagandzie Ministerstwa Informacji i Poezji, to fakt, że bohaterzy wzorcowych opowieści występowali zwykle parami — brat i siostra, narzeczeni lub małżeństwo. W dwóch ostatnich przypadkach chodziło oczywiście o parę heteroseksualną. Rząd Aki miał obsesję „dewiacji”. Tong uprzedził ją o tym tuż po jej przyjeździe: „Musimy iść na kompromis. Niemożliwa jest wszelka dyskusja. Jakiegokolwiek doniesienia o seksualnych kontaktach z osobą tej samej płci są uważane za kardynalne przewinienie. To smutne, i takie męczące. Biedni ludzie! „. Wzdychał nad cierpieniami bigotów i purytanów, cierpieniami i okrucieństwami.

Nie musiał jej udzielać tego ostrzeżenia. Prawie nie miała kontaktu z poszczególnymi osobnikami, ale, oczywiście, zwiększyła czujność. Było to jej pierwsze bolesne rozczarowanie. Stary język akański, którego nauczyła się na Ziemi, sugerował, iż społeczeństwo tej planety ma tolerancyjny stosunek do seksu i bardzo słabą hierarchię płci. Społeczeństwo jej rodzimego zakątka Ziemi było nadal skrępowane kastowością płci i pozycji społecznej, później zwyrodniałej i uwydatnionej przez mizoginię i nietolerancję Unitów. Żadne miejsce na Ziemi, nawet Enklawy, nie było całkowicie wolne od tego cienia. Postanowiła się specjalizować w języku akańskim między innymi dlatego, iż przeczytała wraz z Pao, że jego specyfika wskazuje na istnienie społeczeństwa, w którym heteroseksualizm nie jest ani obowiązkowy, ani nawet faworyzowany. Niegdyś pewnie tak było, ale w czasie jej podróży sytuacja się zmieniła. Na miejscu okazało się, że znowu czekają życie w zakłamaniu, ograniczanie się, powściąganie. I prawdopodobnie niebezpieczeństwo. Mekka lesbijek, pomyślała z nagłą goryczą.

Więc dlaczego wszyscy tak gorliwie starali się ją pozyskać? Nie była niczyją chlubą.

Przyczyny decyzji Tonga były wyjątkowo proste: rzucił się na pierwszą szansę wyprawy bez nadzoru, a wysłał właśnie ją, ponieważ znała stare pismo i język. Ale co miała zrobić, kiedy już natrafiła na zabytki literatury? Były nielegalne. Działalność antypaństwowa. Tong przyznał, że miała rację, wymazując z notera fragmenty starych ksiąg. A teraz chciał, żeby nagrała podobny materiał?

Co do Pełnomocnika, z pewnością popisywał się władzą. Urzędnik w średnim wieku z pewnością jest zachwycony, jeśli spotka na swojej drodze prawdziwą Obcą, prawdziwą Obserwatorkę z Ekumenu i w dodatku może jej wydawać rozkazy: nie rozmawiaj z pasożytami, nie opuszczaj miasta bez zezwolenia, stawaj do raportu przed wielkim panem urzędnikiem...

A Użyźniacz? Nie mogła się pozbyć wrażenia, że znalazł jej tożsamość, a jego prezent znaczył coś więcej niż gest uprzejmości wobec obcokrajowca. Tak, nie miała wątpliwości.

Zważywszy na jej ignorancję, mogłaby narobić poważnych szkód, gdyby pozwoliła któremuś roztoczyć nad sobą kontrolę. Musiała postępować powoli, rozważnie, czekać,

obserwować, uczyć się.

Tong dał jej hasło, którego miała użyć, gdyby znalazła się w niebezpieczeństwie: „przekazuję”. Ale tak naprawdę nie spodziewał się kłopotów. Akanie uwielbiali gości z innych planet, mleczne krowy, źródło zaawansowanej technologii. Nie musiała umierać ze strachu. Okzat-Ozkat to małe, biedne prowincjonalne miasto, ledwie nadążające za ostrym tempem akańskiego postępu, na tyle zapóźnione, że zachowało jeszcze relikty dawnego życia. Być może Korporacja dopuściła tu pozaświatowca, ponieważ ten rejon był tak oddalony od centrum zdarzeń. Nieszkodliwe, malownicze zadupie. Tong wysłał ją na poszukiwania śladów tego, co Ekumen cenił najbardziej: osobistego charakteru ludu, ich życia, historii. Korporacja Państw starała się o tym zapomnieć, ukryć to, zakopać jak najgłębiej. Gdyby Satti wróciła z pustymi rękami, rząd byłby bardzo zadowolony. Ale dni pożarów i morderstw już przeminęły. Prawda? Pełnomocnik puszył się i robił wiele hałasu wokół siebie, lecz chyba nie miał większej władzy?

Na pewno nie w odniesieniu do niej. Być może sprawa wyglądała inaczej w przypadku tych, z którymi rozmawiała.

Nie zwracaj na siebie uwagi. Słuchaj. Słuchaj tego, co muszą powiedzieć.

Na tej wysokości powietrze było suche, zimne w cieniu, gorące w słońcu. Satti wstąpiła do kafeterii w pobliżu Studium Nauczycielskiego, gdzie kupiła butelkę soku owocowego. Usiadła przy stoliku na zewnątrz. Z głośników lała się jak zwykle optymistyczna muzyka, dopingujące hasła, doniesienia o zbiorach, statystyki produkcyjne, programy zdrowia. Stopniowo, sama nie wiedząc, jak to się stało, nauczyła się słyszeć to, co krył ten jazgot, dotarła do jego ukrytego znaczenia.

Czyjego natarczywość o cośś świadczyła? Czy Akanie bali się ciszy?

Ci, których teraz obserwowała, wyglądali jakby nie bali się niczego. Studenci w zielono-rdzawych mundurach. Wielu z nich miało wysokie kości policzkowe i delikatną strukturę kostną starych ulicznych żebraków, ale byli pulchni, promienieli młodością i pewnością siebie, paplali, pokrzykiwali do siebie i wcale jej nie zauważali. Kobiety po trzydziestce były dla nich przybyszami z innego świata.

Jedli to samo, czym karmiono ją w stolicy: bogatą w proteiny, słodko-słoną gotową żywność i pili akakafi, narodowy gorący napój, ochrzczony pseudoterrańską nazwą. Państwowa marka nosiła miano „Gwiezdny Pył”. Był wszechobecny. Gorzko-słodki, czarny, zawierający wyjątkową mieszaninę alkaloidów, substancji stymulujących i uspokajających. Satti go nie znosiła, ale nauczyła się go przetykać, choć język jej drętwiał, ponieważ wspólne picie akakafi należało do nielicznych legalnych obyczajów łączących mieszkańców stolicy, a przez to było niezwykle ważne. „Kubek akakafi?” — wykrzykiwali na sam twój widok w domu, biurze, na zebraniu. Odmowa byłaby nietaktem, nawet obrazą. Wiele nieoficjalnych rozmów toczyło się wokół akakafi: gdzie jechać po najlepszy proszek (oczywiście nie „Gwiezdny Pył”), gdzie znajdują się uprawy i zakła-

dy przetwórstwa, jak powinno się go zaparzać. Przechwalano się liczbą wypitych kubków na dzień, jakby łagodna postać uzależnienia zasługiwała na pochwałę. Ci młodzi nauczyciele pili akakafi litrami.

Przysłuchiwała się im z zawodowego nawyku. Rozmawiali o egzaminach, nagrodach, wakacjach. Nikt nie wspominał o czytaniu czy materiałach naukowych z wyjątkiem dwojga studentów, którzy wdali się w dyskusję na temat sposobów nauczania przedszkolaków korzystania z toalety. Chłopiec twierdził, że wstyd to najlepszy bodziec. Dziewczyna powiedziała: „Wytrzymaj i uśmiechnij się”, co zirytowało chłopca do tego stopnia, że wygłosił cały wykład o dostosowywaniu się do większości, etycznym wyznaczaniu celów i istocie higieny.

W drodze do domu Satti zastanawiała się, czy akańska kultura jest oparta na poczuciu winy, poczuciu wstydu czy też stanowi jakiś odrębny model. Jak to możliwe, że cała ludzkość planety chce podążać w jednym kierunku, mówić tym samym językiem, wierzyć w te same rzeczy? Przez strach przed grzechem czy lęk przed byciem innym?

I znowu wróciła do problemu lęku. Jej problemu.

Kaleka Iziezi siedziała w drzwiach domu. Powitały się dyskretnie, wymieniając nielegalne ukłony.

— Bardzo mi smakowała twoja herbata — odezwała się Satti tytułem nawiązania rozmowy. — Jest o wiele lepsza niż akakafi.

Iziezi nie uderzyła dłonią o kolana i nie zasłoniła ust drugą ręką, lecz drgnęła, a jej „ach!” brzmiało bardzo podobnie jak okrzyk Użyźniacza. Potem, po długiej pauzie, ostrożnie skracając sztucznie stworzoną nazwę powiedziała:

— Jednak akafi pochodzi z twojego świata.

— Niektórzy ludzie na Terze rzeczywiście piją coś podobnego. Ale nie rnoi rodacy.

Iziezi zeszywniała. Najwyraźniej wkroczyły na niebezpieczny teren.

Skoro każdy temat przypomina pole minowe, nie pozostaje nam nic innego, jak rozmawiać przy huku wybuchów, pomyślała Satti.

— Tobie też nie smakuje? — spytała.

Iziezi skrzywiła się i po chwili nerwowego milczenia wyznała szczerze:

— Szkodzi ludziom. Wysusza soki i zakłóca przepływ. Ludzie, którzy piją akafi... widzisz, że ręce im drżą, a serce skacze. Przynajmniej tak twierdzili... dawni ludzie. Wiele lat temu. Moja babka. Teraz wszyscy to piją. To jedna z dawnych prawd. Nie nowoczesna. Nowocześni ludzie lubią akafi.

Ostrożność — zakłopotanie — decyzja.

— Z początku nie smakowała mi herbata na śniadanie, ale potem zmieniłam zdanie. Co to takiego? Jak działa?

Twarz Iziezi wygładziła się.

— To bezit. Rozpoczyna przepływ i połączenie. I trochę odświeża wątrobę.

— Jesteś... zielną nauczycielką — zaryzykowała Satti, nie znając akańskiego słowa „zielarka”.

— Ach!

Pierwszy mały wybuch. Małe ostrzeżenie.

— W moim rodzinnym kraju zielni nauczyciele są poważani i szanowani. Wielu jest lekarzami.

Iziezi nie odezwała się, ale stopniowo jej twarz się wypogodziła.

Satti odwróciła się, żeby wejść do domu.

— Za parę minut idę na gimnastykę — rzuciła za nią kobieta. Gimnastyka? — pomyślała Satti, zerkając na bezwładne patyki, nogi Iziezi.

— Jeśli jeszcze nie znalazłaś grupy...

Państwo kładło wielki nacisk na kulturę fizyczną. Wszyscy mieszkańcy Dowza City należeli do jakiejś Sportgrupy i uczęszczali na Zajęcia Ruchowe. Parę razy dziennie z głośników rozbrzmiewała rześka muzyka i okrzyki „raz! dwa! trzy!”, a wszyscy pracownicy fabryk i biur wysypywali się na ulice lub dziedzińce, by skakać, machać nogami i rękami, robić skłony i przysiady, równocześnie i z wigorem. Satti jako cudzoziemka zdołała do tej pory wykręcić się od uczestnictwa, ale teraz spojrzała w zniszczoną twarz Iziezi i powiedziała:

— Bardzo chętnie będę ci towarzyszyć.

Poszła do swojego pokoju, by ustawić piękny dzbanek na honorowym miejscu w łazience i przebrać się z legginsów w luźne spodnie. Kiedy wróciła, Iziezi przechodziła o kulach na niewielki wózek inwalidzki z silnikiem, dzieło Korporacji, model Lot do Gwiazd. Satti pochwaliła jego budowę, co Iziezi skwitowała niechętnym:

— Dobry na płaskim.

I ruszyła, podskakując z wózkiem na wybojach stromych, nierównych ulic. Satti szła u jej boku, pomagała, kiedy fotel uwiązł w rozpadlinie, co zdarzało się mniej więcej co dwa metry. Celem ich wędrówki był niski budynek z oknami tuż pod okapem dachu i wysokimi podwójnymi drzwiami. Jedno ich skrzydło było czerwone, drugie niebieskie z czerwono-niebieskim motywem chmur powyżej, teraz widmowo sinym i różowym pod białą farbą. Iziezi skierowała wózek prosto w drzwi. Satti poszła jej śladem.

Wewnątrz panowały zupełne ciemności, a przynajmniej tak się jej wydawało. Zaczęła się już przyzwyczajać do nagłych przejść od mroku wewnątrz do oślepiającego światła na zewnątrz, ale jej oczy nadal się buntowały. Za drzwiami Iziezi zdjęła buty i postawiła je na półce obok innych, wszystkich z czarnego płótna, model Marsz do Gwiazd. Następnie zjechała brawurowo po długiej rampie, zatrzymała wózek za ławką i wydzwignięła się na nią. Satti widziała tylko skraj wielkiego pomieszczenia, którego dalsze rejonny ginęły w aksamitnej czerni. Tu i tam dostrzegała siedzące na matach postaci. Na ławie obok Iziezi siedział mężczyzna zjedną nogą. Iziezi przyjęła postawę, odłożyła kule i

spojrzała na Satti. Lekko dotknęła maty obok siebie. Drzwi sali otworzyły się na krótko i w szarej poświacie Satti zobaczyła uśmiech Iziezi. Był śliczny i wzruszający.

Usiadła po turecku na macie, położyła dłonie na kolanach. Przez długie minuty nic się nie działo. Z pewnością nic tu nie przypominało stereotypowych ćwiczeń i o wiele bardziej przypadło jej do gustu. Ludzie przybywali cicho, pojedynczo lub dwójkami. Kiedy jej wzrok przyzwyczał się do mroku, przekonała się, że sala jest ogromna. Musiała niemal całkowicie leżeć pod ziemią. Długie niskie okna tuż pod sufitem miały szyby z grubego błękitnawego szkła, które rozpraszało promienie słońca. Sufit wyglądał jak niska kopuła lub szereg łuków; dostrzegała tylko ciemne rozgałęzione belki. Powściągnęła ciekawość i zmusiła się, by siedzieć nieruchomo, regularnie oddychać i starać się nie zasnąć.

Niestety, z doświadczenia wiedziała, że w jej przypadku medytacja i sen idą w parze. Mężczyzna obok niej zaczął rosnać i maleć, całkiem jak ideogramy w sklepie Użyźniacza, co zarejestrowała z sennym zainteresowaniem. Potem ocknęła się nieco i dostrzegła, że mężczyzna unosi wyprężone ramiona, a wierzchy jego dłoni spotykają się nad głową, by opaść w dół w bardzo powolnym, regularnym rytmie oddechu. Iziezi i inni postępowali tak samo, mniej więcej w tym samym rytmie. Anielsko spokojne, bezgłośne ruchy, jak pulsowanie meduz w mrocznym akwarium. Satti poddała się rytmowi.

Od czasu do czasu pojawiał się nowy ruch rąk, zawsze rąk, powolny, w rytmie oddechu. Zdarzały się okresy odpoczynku, a potem spokojne powiększanie się i kurczenie, rozciąganie i rozluźnienie, puls i bezwład, i od początku, jedna niespieszna figura za drugą. Ruchom towarzyszyły ciche, cichuteńkie dźwięki, rytmiczny pomruk bez słów, muzyka oddechów, najwyraźniej nie mająca źródła. Jakaś postać po drugiej stronie sali powoli unosiła się z ziemi, biaława, falująca; ktoś wstał i nie przerywając ruchów rąk, giął się w pasie w przód i tył oraz na boki. Parę innych podniosło się w ten sam elastyczny, jakby bezcielesny sposób, i stało, falując i skłaniając się, podobni przytwierdzonym do dna morskim stworzeniom, anemonom, lasowi wodorostów, a śpiew, niemal niedo-słyszalny, lecz nieustający, pulsował jak szum morza, unosząc się i opadając

Światło, dźwięk — wrzaskliwy, rozpalony, jak wybuch. Nagie żarówki dyndające pod zakurzonym sklepieniem. Satti znieruchomiała, zdjeta zgrozą; otaczający ją ludzie zerwali się na równe nogi i zaczęli podskakiwać, machać rękami i nogami, a ostry głos wołał: „raz! dwa! raz! dwa! raz! dwa!”. Spojrzała okrągłymi oczami na Iziezi, która podskakiwała na ławie jak marionetka, boksując powietrze pięściami, raz, dwa, raz, dwa. Jedno-nogi mężczyzna obok niej nabijał tempo, stukając do taktu kulą o ławę.

Iziezi zerknęła na Satti i ostrym gestem poleciła jej wstać. Satti usłuchała, posłuszna choć pełna niesmaku. Osiągnąć tak wspaniałą medytację i zniszczyć ją jakimś głupim treningiem — co z nich za ludzie?

Po rampie schodziły dwie kobiety w brązach i błękitach, podążające za mężczyzną

noszącym takie same kolory. Pełnomocnik. Spojrzał od razu prosto na nią.

Stała pomiędzy innymi, teraz już nieruchomo, w ciszy przerywanej tylko przyspieszonymi oddechami. Nikt się nie odzywał.

Zakaz pozdrowień, pożegnań, wszelkich zwrotów stosowanych podczas spotkań i rozstań, pozostawił ziejącą lukę w obyczajach. Ludzie żyjący w miastach przywykli do tej nienaturalnej sytuacji i bez wątpienia nie odczuwali już skrępowania, ale Satti nadal czuła się nieswojo, podobnie jak wszyscy wokół niej. Milczenie narzucone przez trzy postaci na rampie wytrącało ich z równowagi. Nie mieli żadnej możliwości obrony. Jednonogi mężczyzna odchrząknął i odezwał się z determinacją:

— Zgodnie z Instrukcją Zdrowia dla Producentów-Konsumentów wykonujemy higieniczne ćwiczenia aerobowe.

Dwie kobiety towarzyszące Pełnomocnikowi spojrzały na siebie kwaśno, znudzone. A nie mówiłam? — wyrażały ich miny. Pełnomocnik zwrócił się do Satti, jakby nie dostrzegał w sali nikogo poza nią.

— Przyszła pani poćwiczyć aerobik?

— W moim rodzinnym kraju istnieją bardzo podobne ćwiczenia — odparła. Wstrząs i irytacja wyraziły się w nagłym słowotoku. — Cieszę się, że znalazłam grupę, z którą mogę je wykonywać. Gimnastyka daje najwięcej korzyści, kiedy wykonuje się ją z naprawdę interesującą grupą. Przynajmniej tak uważamy w moim rodzinnym kraju na Terze. I oczywiście mam nadzieję, że nauczę się nowych ćwiczeń od moich miłych gospodarzy.

Pełnomocnik niemal natychmiast odwrócił się bez słowa i podążył za kobietami w brązach i błękitach. Kobiety wyszły. On odwrócił się i stanął w drzwiach, obserwując.

— Dalej! — krzyknął jednonogi. — Raz! Dwa! Raz! Dwa!

Przez następne pięć lub dziesięć minut wszyscy robili wściekłe wymachy nóg i młócili pięściami powietrze. Wściekłość Satti była prawdziwa, ale wypaliła się w trakcie tych głupich ćwiczeń. Ogarnęło ją histeryczne rozbawienie. Miała ochotę śmiać się, by rozładować napięcie.

Wepchnęła wózek Iziezi po rampie, znalazła swoje buty pomiędzy innymi. Pełnomocnik nadal stał nieruchomo. Uśmiechnęła się do niego.

— Powinien pan do nas dołączyć.

Spojrzał na nią pustymi, martwymi oczami. Patrzyła na nią Korporacja, odbierająca jej prawo do indywidualności.

Poczuła, że wyraz jej twarzy zmienia się wbrew jej woli; obrzuciła go spojrzeniem pełnym pogardliwej litości, jakby był małym, wstrętnym i godnym politowania potworkiem. Źle! Źle! Za późno. Minęła go, wyszła w chłodny wieczór.

Chwyciła mocno oparcie fotela Iziezi, by pohamować jego dzikie podskoki na wybojach i odwrócić swoją uwagę od szalonego wybuchu nienawiści, jaki obudził w niej

Pełnomocnik.

— Rzeczywiście na równym byłoby lepiej.

— Tu... nie ma... nic... równego — wyszczeła Iziezi, kurczowo trzymając się oparc, choć na chwilę oderwała jedną rękę i wskazała rozległe równiny Silong, płonącej białym złotem nad dachami i pagórkami, już pograżonymi w mroku.

W domu Satti odezwała się znowu:

— Mam nadzieję, że wkrótce będę mogła znowu uczestniczyć w zajęciach waszej grupy.

Iziezi zrobiła gest mogący oznaczać grzeczną zgodę lub zrezygnowane przeprosiny.

— Ta spokojniejsza część bardziej mi się podobała.

Iziezi nie zareagowała.

— Chciałabym się nauczyć tych ruchów. Są piękne. Wydawało mi się, że mają własne znaczenie.

Brak odpowiedzi.

— Czy istnieje jakiś podręcznik, z którego mogłabym się ich nauczyć? — Pytanie zabrzmiało idiotycznie ostrożnie, a zarazem strasznie nietaktownie.

Iziezi wskazała wspólny salon, w którym w rogu stał zgaszony monitor realizora. Obok piętrzyły się sterty taśm Korporacji. Nowe nagrania doręczano do każdego domu — dodatek do Instrukcji, których zestaw wszyscy otrzymywali regularnie co rok. Taśmy informacyjne, edukacyjne, ostrzegawcze, inspiracyjne. Pracownicy i studenci musieli często zdawać z nich egzaminy podczas specjalnych sesji w szkołach i miejscach pracy. „Choroba nie tłumaczy Ignorancji!” — grzmiał aksamitny korporacyjny głos, a obraz przedstawiał robotników w szpitalu, z entuzjazmem uczestniczących w progrealach na temat odlewania plastiku. „Bogactwo to praca, a praca to bogactwo!” — śpiewał chór w instruktażowym programie. Większość dzieł literackich, które studiowała Satti, opierała się na takim poetyczno-inspiracyjnym stylu.

Rzuciła niechętnie okiem na stertę nagrań.

— Instrukcja Zdrowia — mruknęła Iziezi pod nosem. — Myślałam o czymś, co mogłabym przeczytać w pokoju. O książce.

— Ach! — Tym razem mina wybuchła bardzo blisko. — Joz Satti... książki...

Ciężkie milczenie.

— Nie chcę cię narażać na niebezpieczeństwo. — Satti zorientowała się, że zaczęła konspiracyjnie szeptać.

Iziezi wzruszyła ramionami. Jej gest mówił: niebezpieczeństwo, cóż, wszystko jest niebezpieczne.

— Pełnomocnik chyba mnie śledzi.

Kobieta zaprzeczyła gestem: nie, nie.

— Często przychodzą na zajęcia. Mamy kogoś, kto obserwuje ulicę, włącza światła. A

my... — Ociężale wymierzyła cios powietrzu: raz! dwa!

— Powiedz mi o karach, joz Iziezi.

— Za dawne ćwiczenia? Grzywna. Może utrata licencji. Może tylko studiowanie Instrukcji w prefekturze lub liceum.

— Za książkę. Za posiadanie, czytanie.

— Starą książkę?

Skinęła głową.

Iziezi zwlekała z odpowiedzią. Spuściła wzrok.

— Może wiele kłopotów — szepnęła wreszcie.

Siedziała na fotelu. Satti stała. Na ulicy zrobiło się zupełnie ciemno. Wysoko ponad dachami ściana Silong płonęła rdzawą czerwienią. Powyżej wierzchołek, odległy i promienny, nadal rozsiewał złoty blask.

— Potrafię czytać stare pismo. Pragnę się nauczyć dawnych zwyczajów. Ale nie chcę narażać cię na utraty licencji. Skieruj mnie do kogoś, kto nie jest jedynym opiekunem twojego siostrzeńca.

— Akidan? — ożywiła się Iziezi, pełna nowej energii. — Och, on by cię zaprowadził prosto do Korzenia! — Zasłoniła usta, drugą ręką uderzyła w oparcie fotela. — Tak wiele rzeczy jest zakazane — odezwała się zza dłoni. Satti dałaby głowę, że w jej oczach błysnęło szelmowskie światło.

— I zapomniane?

— Ludzie pamiętają... Ludzie wiedzą, joz. Aleja nie. Moja siostra wiedziała. Była wykształcona. Ja nie. Znam ludzi... uczonych... lecz jak daleko chcesz zajść?

— Tak daleko, jak przewodnicy zawiodą mnie w swej dobroci. Był to cytat, nie z „Ćwiczeń gramatycznych dla barbarzyńców”, ale z książki, zniszczonej strony, na której widniał wizerunek mężczyzny z wędką na moście i znajdowały się cztery linijki wiersza:

Dokąd mnie w swej dobroci przewodnicy wiodą,

tam idę, idę lekko

i nie ma śladów stóp

w pyłe, co za nami.

— Ach — szepnęła Iziezi i nie był to wybuch kolejnej miny, lecz przeciągłe westchnienie.

4

Pełnomocnik ją śledził, więc nie mogła nigdzie iść, niczego się uczyć, jeśli nie chciała ściągnąć nieszczęścia na tubylców. Być może także na siebie. A Pełnomocnik przybył tu, by ją obserwować; dał jej to do zrozumienia od samego początku. Gdybyż go pilnie słuchała! Dopiero teraz do niej dotarło, że dostojnicy Korporacji nie podróżują drogą wodną. Mają własne samoloty i helikoptery. Nie przyszło jej do głowy, że ktoś mógłby się jej obawiać, więc nie odczytała jego obecności jako ostrzeżenia.

Nie słuchała też tego, co powiedział jej Tong: czy ci się to podoba, czy nie, jesteś ważna. Była reprezentantem Ekumenu na Ace. Pełnomocnik powiedział, a ona nie słuchała, że Korporacja zleciła mu utrudnić Ekumenowi — jej — poszukiwania reakcyjnych praktyk, zgniłej przestarzałej ideologii.

Pies na cmentarzu. Oto jak ją widział. Była dla niego tym psem, którego nie należało dopuszczać do grobu, by go nie rozkopał.

— Jesteś spadkobierczynią anglohinduskiej tradycji. — To wujek Hurree z białymi krzaczastymi brwiami i smutnymi, gorejącymi oczami. — Musisz znać Szekspira i Upaniszady. „Bhagawadgitę” i Wordswortha.

Więc ich poznała. Znała zbyt wielu poetów. Zbyt wielu poetów, za dużo poezji, więcej żalu, niż ktokolwiek mógł znieść. Dlatego zapragnęła być ignorantką. Przybyć do kraju, gdzie wszystko było dla niej nowe i niezrozumiałe. Odniosła sukces ponad wszelkie oczekiwanie.

Po długim rozmyślaniu w cichym pokoju, długim wahaniu i niepokoju, nawet kilku chwilach rozpaczki wysłała do Tonga Ov pierwszy raport, który skierowała przypadkiem także do Ministersrwa Pokoju i Bezpieczeństwa, Biura KulturalnoSpołecznego oraz innych urzędów przechwytyjących korespondencję Tonga. Dwie strony pisała przez bite dwa dni. Opisała podróż promem, krajobraz, miasto. Wspomniała o znakomitym jedzeniu i zdrowym górskim powietrzu. Poprosiła o przedłużenie urlopu, który okazał się zarazem miły i pouczający, choć zakłócany przez mającego dobre intencje, lecz nadmiernie gorliwego urzędnika, nie dopuszczającego do rozmów i kontaktów z tubylcami.

Rząd Aki, aczkolwiek dążący do kontrolowania wszystkich i wszystkiego, pragnął również zrobić pozytywne wrażenia na gościach z Ekumenu. Tong był ekspertem w wykorzystywaniu tej drugiej skłonności dla ograniczania pierwszej, lecz jej list mógł narobić mu kłopotów. Pozwolono mu wysłać Obserwatora w „prymitywny” teren, ale wysłano za nim człowieka, który miał obserwować Obserwatora.

Potem zaczęła czekać. Stopniowo zyskiwała coraz większą pewność, że władze zmuszą Tonga, by wezwał ją do stolicy. Sama myśl o Dowza City uświadomiła jej, jak bardzo nie chce opuszczać tego miasteczka, tego wyżynnego kraju. Przez trzy dni włóczyła się po okolicy, obchodziła pola i spacerowała wzdłuż brzegu błękitnej jak lodowiec, rwącej i młodej rzeki. Zrobiła szkic Silong ponad ozdobnymi dachami Okzat-Ozkat, wprowadziła do notera przepisy Iziezi na wspaniałe dania, lecz nie poszła z nią na następne „ćwiczenia”. Rozmawiała z Akidanem o szkole i sporcie, ale nie zaczynała obcych lub bezdomnych. Zachowywała się ostentacyjnie obojętnie, jak turystka.

Od czasów przybycia do Okzat-Ozkat spała dobrze, bez długich ataków wspomnień, które zakłócały jej sen w Dowza City. Ale odkąd zaczęło się czekanie, każdej nocy budziła się w mroku i wracała pamięcią do Enklawy.

Pierwszej nocy znalazła się w malutkim salonie w mieszkaniu rodziców. Oglądała Dalzula w realizorze. Ojciec, neurolog, miał wstręt do wideoceptorów.

— Okłamywanie ciała jest gorsze niż tortury — warczał, bardzo podobny do wujka Hurree. Już dawno odłączył wideoceptory od ich odbiornika, który od tej pory funkcjonował jako zwykłe holo. Satti, wychowana w wiosce, w której nie posiadano przekazników bardziej nowoczesnych od radia i starożytnego dwuwymiarowego telewizora w miejskiej świetlicy, nie tęskniła za niczym więcej. Tamtego dnia odrabiała lekcje, ale odwróciła się z krzesłem, żeby spojrzeć na Posła Ekumenu, stojącego na balkonie Sanktuarium z Ojcami w białych szatach po obu stronach. W lustrzanych maskach Ojców odbijał się wielki tłum, setki tysięcy ludzi na Wielkim Placu, malutkich jak kropeczki. Na jasnych, zdumiewających włosach Dalzula lśniło słońce. Nazywano go Aniołem, Bożym posłańcem. Matka parskała gniewnie, słysząc te określenia, lecz obserwowała go uważnie i słuchała jego słów w skupieniu, jak wszyscy Unici, jak cała ludzkość Ziemi. Czy to możliwe, żeby przyniósł nadzieję wiernym i niewierzącym w tym samym czasie, tymi samymi słowami?

— Chciałabym mu nie ufać — powiedziała matka. — Ale nie mogę. On tego dokona. Da władzę Ojcom Meliorystom. On nas uwolni.

Satti uwierzyła w to bez sprzeciwu. Wiedziała — dzięki wujkowi Hurree, szkole i własnemu głębokiemu przeświadczeniu, że Reguła Ojców, pod którą żyła od urodzenia, jest niczym więcej jak szaleństwem. Unizm był paniczną reakcją na klęskę głodu i epidemii, spazmem globalnego poczucia winy i historycznej potrzeby ekspiacji, która przekształciła się w orgię zbrodni. A tu zjawił się nagle „Anioł” i dzięki darowi wymowy

zmienił ten szal zniszczenia w miłość, masowe morderstwa w łagodny uścisk. Kwestia odpowiedniej pory, kwestia równowagi. Mądry mądrością haińskich nauczycieli, którzy w swojej niewyobrażalnie starożytnej historii przeżyli takie epizody po tysiąc razy, wymowny jak jego Biali Terrańscy przodkowie, którzy przekonali całą ludność Ziemi, że słusność leży wyłącznie po ich stronie, jednym gestem zdołał zmienić ślepią nienawiść bigotów w ślepią wszechogarniającą miłość. Teraz miały powrócić pokój i rozsądek, a Terra odzyska swoje miejsce pomiędzy miłującymi pokój, rozsądnymi światami Eku-menu. Satti miała dwadzieścia trzy lata i wierzyła w to wszystko bez sprzeciwu.

Dzień Wolności, dzień, w którym otworzono Enklawę: zniesiono restrykcje wobec Niewierzących, wszelkie ograniczenia dotyczące komunikacji, książek, kobiecego ubrania, podróży, uczestnictwa w nabożeństwach, wszystko. Mieszkańcy Enklawy wylegli ze sklepów i domów, wyższych szkół i uniwersytetów na deszczowe ulice Vancouver. Nie wiedzieli, co mają ze sobą zrobić, tak długo żyli w milczeniu, pokorze, nieufności pod rządami Ojców, którzy nauczali, wygłaszali kazania, grzmieli, a Funkcjonariusze Wiary grozili, karali, konfiskowali, cenzorowali. Zawsze to Wierzący gromadzili się w licznych szeregach, wykrzykiwali pobożne słowa, śpiewali pieśni, świętowali, maszerowali. Niewierzący starali się nie rzucać w oczy, nie podnosić głosu. Ale potem deszcz przestał padać, ludzie wynieśli na ulicę gitary, sitary i saksofony i zaczęli grać i tańczyć. Słońce wyrzało zza sinych chmur, nisko wiszące i złote, a oni ciągle tańczyli. Na placu McKenzie jakaś dziewczyna prowadziła korowód, dziewczyna o czarnych, gęstych lśniących włosach, kremowej skórze — Chinokanadyjka — roześmiana, hałaśliwa, zbyt hałaśliwa, bezczelna, pewna siebie, a jednak Satti wmieszała się w jej grupę, ponieważ wszyscy świetnie się w niej bawili, a jeden chłopak znakomicie grał na akordeonie. w jakiejś zaimprowizowanej figurze tańca Satti i czarnowłosa dziewczyna stanęły przed sobą twarzą w twarz. Wzięły się za ręce. Jedna z nich się zaśmiała; zaśmiała się i druga. I przez resztę wieczora nie rozłączały już dłoni.

Z tego wspomnienia Satti osunęła się łagodnie i głęboko w sen, spokojny sen, który w tym wysokim cichym pokoju zawsze na nią spływał.

Następnego dnia poszła daleko w górę rzeki i wróciła późno, bardzo zmęczona. Zjadła kolację w towarzystwie Iziezi, przez jakiś czas czytała, rozwinęła śpiwór.

A kiedy tylko zgasiła światło, znowu znalazła się w Vancouverze, nazajutrz po Dniu Wyzwolenia. Obie wyszły na spacer po Nowym Parku. Ciągle rosły w nim wielkie drzewa, ogromne drzewa sprzed Skażenia. Świerki, wyjaśniła Pao, świerki i jodły, tak się nazywały i kiedyś zbocza gór były od nich czarne.

— Czarne od drzew! — powiedziała gardłowym, ochrypłym głosem i Satti zobaczyła wielkie czarne lasy i gęste lśniące czarne włosy.

— Urodziłaś się tutaj? — spytała, gdyż chciały wiedzieć o sobie wszystko, a Pao odparła:

— Tak, a teraz chcę się stąd wyrwać!

— Dokąd?

— Na Hain, Ve, Chiffewar, Werel, YeoweWerel, Geten, UrrasAnarres, O!

— O, o, o! — zawołała Satti ze śmiechem, bliska łez, słysząc własne marzenie, własną tajną mantrę wypowiedzianą na głos. — Ja też! I wyjadę, wyjadę!

— Uczysz się?

— Na trzecim roku.

— Ja na pierwszym.

— Dogoń mnie.

I Pao prawie ją dogoniła. Zrobiła trzy lata w ciągu dwóch. Pod koniec pierwszego Satti zrobiła dyplom i przez następny rok uczyła studentów gramatyki i hainisz. Kiedy wyjechała do Szkoły Ekumenicznej w Valparaiso, miała nad Pao przewagę zaledwie ośmiu miesięcy. Wróciła do Vancouveru w grudniu na święta, więc ich rozstanie trwało tylko cztery miesiące, a potem jeszcze cztery i już miały być razem, razem, przez całą szkołę, przez całe życie, we wszystkich Znanych Światach.

— Będziemy się kochać na planecie, której nikt nie zna, o tysiąc lat stąd! — powiedziała Pao i roześmiała się, śliczny gruchający dźwięk, który zaczynał się w głębi jej brzucha i rósł tak bardzo, że na koniec kołysał całym jej ciałem. Uwielbiała się śmiać, uwielbiała opowiadać kawały, uwielbiała ich słuchać. Czasami śmiała się przez sen. Satti czuła i słyszała jej cichy śmiechek w ciemnościach, a rano Pao wyjaśniała, że śniło się jej coś bardzo śmiesznego i znowu chichotała, usiłując streścić te sny. Dwa tygodnie po Dniu Wyzwolenia zamieszkały razem, w kochanym obrzydliwym mieszkanku w suterenie na ulicy Souche, ulicy Sushi, jak ją nazywały, bo były na niej trzy japońskie restauracje. Zajmowały dwa pokoje: jeden mieszczący tylko wielki materac od ściany do ściany, drugi z kuchenką, zlewem i pianinem z czterema zepsutymi klawiszami. Pianino stanowiło wyposażenie mieszkania, ponieważ nie opłacało się go już naprawiać, a wyniesienie kosztowało za dużo. Pao grała na nim szaleńcze walce z głuchymi nutami, Satti gotowała bhaigan tamatar. Satti recytowała wiersze Esnanaridarathy z Darrandy i podkładała migdały, Pao przyrządzała smażony ryż. W szafce kuchennej znalazły miot mysich noworodków. Zaczęły się długie dyskusje nad ich losem. Zawrzały uprzedzenia; jedna wypominała okrucieństwo Chińczyków, traktujących zwierzęta, jakby nie odczuwały bólu, druga wyśmiewała zakłamanie Hindusów, którzy karmią święte krowy i skazują dzieci na śmierć głodową.

— Nie będę mieszkała z myszami! — wrzasnęła Pao.

— Nie będę mieszkała z morderczynią! — odwrzasnęła Satti.

Małe myszki stały się dorosłymi myszami i zaczęły plądrować mieszkanie. Satti kupiła używaną pułapkę. Zwabiły myszy kawałkiem tofu, jedną po drugiej, i wypuściły je na wolność w parku. Ostatnią pojmały starą mysz, a uwalniając ją zaśpiewały:

Bóg cię obdarzy, matko,
dzieckiem małżonka twego.
Pozostań czysta i wierna,
nie znaj mężczyzny innego.

Pao znała mnóstwo unickich hymnów na każdą okazję.

Satti złapała grypę. Choroba ta budziła przerażenie; tak wiele jej odmian niesło śmierć. Satti dobrze pamiętała swoje przerażenie, gdy stała w zatłoczonym tramwaju i czuła coraz silniejszy ból głowy, a kiedy wróciła do domu, nie mogła skupić spojrzenia na twarzy Pao. Przyjaciółka czuwała przy niej dniem i nocą, a kiedy gorączka spadła, poiła ją chińskimi leczniczymi herbatkami, paskudnymi w smaku. Rekonwalescencja trwała bardzo długo. Satti leżała bezwładnie na materacu, wpatrując się w brudny sufit, osłabiona, bezmyślna, pogrążona w kojącym bezwładzie i powoli wracała do życia.

Ale podczas tej epidemii mała cioteczka znalazła wreszcie drogę do rodzinnej wioski. Kiedy Satti po raz pierwszy po chorobie odwiedziła rodziców, dziwnie było zobaczyć mieszkanie bez cioci. Ciągłe się oglądała, sądząc, że widzi ją w drzwiach lub na krześle w drugim pokoju, w kokonie ze starego koca. Matka dała jej bransoletki cioci, sześć codziennych mosiężnych, dwie złote odświętne, cieniutkie kółeczka, w których jej dłoń nie chciała się zmieścić. Podarowała je Lakszmi dla jej córeczki, żeby je nosiła, gdy urośnie. „Nie przywiązuj się do przedmiotów, gdyż przygniotą cię do ziemi. Zatrzymaj w głowie to, co jest warte zachowania”, mówił wujek Hurree, który lubił pouczać. Mimo to zatrzymała czerwono-pomarańczowe sari z bawełnianej gazy. Złożone można było podnieść na jednym palcu, więc nie obawiała się, że przygniecie ją do ziemi. Teraz także miała je przy sobie, na dnie walizki. Pewnego dnia mogła pokazać je Iziezi. Opowie jej o cioci. Pokaże, jak się nosi sari. Kobiety na ogół uwielbiały je wkładać. Pao także przymerzyła kiedyś szarosrebrne sari Satti, żeby ją rozbawić podczas rekonwalescencji, ale uważała, że to za bardzo przypomina spódnicę, do której noszenia zmuszało ją prawo Unitów. Poza tym nie rozumiała, w jaki sposób umocowuje się górę.

— Przecież za chwilę piersi mi z tego wyskoczą! — zawołała i poruszyła ramionami, żeby udowodnić, że ma rację. A kiedy już udowodniła, wykonała godną podziwu wersję Hinduskiego Tańca Klasycznego, jak to nazwała.

Potem Satti znowu przeżyła chwile przerażenia, strasznego przerażenia, gdy odkryła, że wszystko, czego nauczyła się przed chorobą, historia Ekumenu, wiersze, nawet proste słowa języka hainisz, które znała od lat, nagle wyleciały jej z pamięci, jakby wytarte gąbką.

— Co ja teraz zrobię, co zrobię, jeśli nie będę mogła niczego zapamiętać? — szepnęła, kiedy wreszcie przerwała milczenie i wyznała, co ją dręczyło. Pao nie pocieszała jej.

Pozwoliła jej wyrazić lęk i rozpacz i wreszcie powiedziała:

— Według mnie to powinno minąć. To wszystko do ciebie wróci.

I oczywiście miała rację. Sama rozmowa o tym zmieniła wszystko. Następnego dnia, kiedy Sattl jechała tramwajem, „Tarasy Darrandy” zakwitły w jej głowie jak wielki fajerwerk, gorejące, bolesne, precyzyjne słowa. I poczuła, że wszystkie inne także wróciły na swoje miejsce, nie opuściły jej, czekały w ciemnościach, gotowe na wezwanie. Kupiła wielki bukiet stokrotek dla Pao. Włożyły je do jedyne go wazonu — czarnego, plastikowego — i kwiaty wyglądały jak Pao, białe, złote i czarne. Obraz tych kwiatów, intensywna świadomość ciała Pao, jej obecności, nawiedziły ją teraz w tym cichym wysokim pokoju na innej planecie, tak jak nawiedzały ją nieustannie tam, wtedy gdy była z Pao i kiedy z nią nie była, lecz właściwie prawie się nie rozstawały, nie na długo, nie mogła ich rozdzielić nawet ta długa, długa podróż po wybrzeżach obu Ameryk. Nic nie mogło ich rozdzielić. „Niech związek prawdziwych umysłów nie dopuszcza przeszkód...”

— O, mój prawdziwy umyśle — szepnęła w ciemnościach i poczuła, że obejmują ją ciepłe ramiona. Zasnęła.

Nadeszła zwięzła odpowiedź Tonga, wydruk wysłany na adres prefektury i doręczony jej do rąk własnych po sprawdzeniu bransolety z ZIL-em. „Obserwatorka Satti Dass: proszę uważać urlop za początek pracy badawczej. Kontynuować badania, gromadzić osobiste obserwacje stosownie do potrzeb”

Tyle na temat Pełnomocnika! Satti, zaskoczona i tryumfująca, wyszła na dwór, żeby popatrzeć na szczyt Silong i pomyśleć, co dalej.

Opracowała w pamięci spis niezliczonych zadań: ćwiczenia medytacyjne — drzwi z podwójną chmurą, które widywała w całym mieście, zawsze zamalowane na biało — inskrypcje w sklepach — przenośnie nawiązujące do drzew, nieustannie obecne w rozmowach o jedzeniu, zdrowiu i wszystkim, co ma związek z ciałem — ewentualne istnienie zakazanych książek — istnienie sieci informacyjnej, subtelniejszej niż elektroniczna, niekontrolowanej przez Korporację, dzięki czemu mieszkańcy miasta pozostawali ze sobą w kontakcie i wiedzieli o wszystkim, na przykład o niej samej: kim jest, gdzie przebywa, czego chce. Widziała tę świadomość w oczach przechodniów, sklepikarzy, dzieci, starych kobiet uprawiających ogródki, starych mężczyzn siedzących na ulicy na beczkach i wygrzewających się w słońcu. Nie czuła jej naporu, jakby chodziła po wyznaczonych ścieżkach, bez ograniczeń, bez zakazów. Teraz wydawało się jej prawdopodobne, że nie przypadkiem trafiła do Iziezi i Użyźniacza, choć nie potrafiła tego wyjaśnić.

Skoro odzyskała wolność, zapragnęła wrócić do sklepu Użyźniacza. Weszła pomiędzy wzniesienia miasta, zaczęła się wspinać stromą uliczką. W połowie drogi stanęła twarzą w twarz z Pełnomocnikiem.

Wyzwolona od konieczności posłuszeństwa, spojrzała na niego tak, jak patrzyła na początku podróży rzeką, nie jak upodlony obywatel patrzy na biurokratę, lecz jak czło-

wiek na człowieka. Miał wyprostowaną sylwetkę i delikatne, mocne rysy, choć ambicja, lęk i władza nadały im twardość. Nikt się taki nie rodzi, pomyślała. Dzieci nie mają takich twarzy.

— Dzień dobry, Pełnomocniku! — powitała go wspaniałomyślnie.

Usłyszała własny głupio radosny głos. Źle, źle. Takie powitanie musiało wydać się mu prowokacją. Stał w milczeniu, patrzył jej prosto w oczy. Odchrząknął.

— Otrzymałem rozkaz cofnięcia wydanego pani polecenia informowania mojego urzędu o nawiązanych kontaktach i planach podróży. Ponieważ go pani nie wykonywała, usiłowałem roztoczyć nad panią opiekę. Poinformowano mnie o pani skardze. Przepraszam za wszelkie niewygodności czy przykrości, na jakie naraziłem panią osobiście czy przez działanie mojego personelu.

Mówił zimno, lecz z godnością. Zawstydzona Satti usiłowała coś wtrącić.

— Nie... przepraszam, chciałam...

— Ostrzegam — ciągnął z coraz większym naciskiem, nie zwracając uwagi na jej wysiłki. — Są tu ludzie, którzy zamierzają panią wykorzystać dla własnych celów. Ludzie ci nie są malowniczymi relikwiami przeszłości. Nie są nieszkodliwi. Są źli. Są śmiertelną trucizną — trucizną, która oszałamiała mój lud od dziesięciu tysięcy lat. Chcą nas znowu sparaliżować, ci bezmyślni barbarzyńcy. Mogą traktować panią uprzejmię, lecz są okrutni, proszę mi wierzyć. Jest pani dla nich łakomym kąskiem. Będą pani schlebiać, okłamywać, obiecywać cuda. Są wrogami prawdy, nauki. Ich tak zwana wiedza to fałsz, przesąd, poezja. Ich praktyki są nielegalne, książki i obyczaje zabronione, pani o tym wie. Proszę nie stawiać moich rodaków w bolesnej sytuacji, gdy będą musieli zrozumieć, że naukowiec z Ekumenu wszedł w posiadanie nielegalnych materiałów i uczestniczy w obscenicznych, bezprawnych rytuałach. Proszę panią o to... jako naukowca... — mówienie przychodziło mu z coraz większym trudem.

Spojrzała na niego. Jego emocje wydawały się groteskowe, irytujące.

— Nie jestem naukowcem — odezwała się chłodno, beznamiętnie. — Czytam poezję. I nie musi mi pan opowiadać o niegodziwości, jakie może wyrządzić religia. Dobrzeje znam.

— Nieprawda. — Zaciskał i rozwierał palce. — Nie ma pani pojęcia, jakie mogą być. Jak daleko zaszliśmy. Nie ma dla nas powrotu do barbarzyństwa.

— Czy wie pan cokolwiek o moim świecie? — warknęła. To, co mówił, wydawało się całkowicie niegodne uwagi. Chciała już tylko uciec od tego fanatyka. — Zapewniam, że żaden z reprezentantów Ekumenu nie stanie się przyczyną niepokoju Akan, chyba że zostanie o to wyraźnie poproszony.

Spojrzał jej prosto w oczy i powiedział z niezwykłym uczuciem:

— Niech nas pani nie zdradzi!

— Nie mam zamiaru...

Odwrócił głowę, jakby jej nie wierzył albo poczuł nagły ból. Wyminął ją bez słowa i ruszył w dół ulicą.

Poczuła falę nienawiści, która ją przeraziła.

Poszła swoją drogą, powtarzając sobie, że powinna mu współczuć. Większość fanatyków jest przekonana o swojej słuszności. Ten głupi, arogancki dureń obwieścił jej wielką nowinę, że religia jest niebezpieczna! Powtarzał propagandę jak papuga. Chciał ją przestraszyć. Akurat! Był zły, bo zwierzchnicy odsunęli go od sprawy. Utrata kontroli nad nią była dla niego tak nieznośna, że stracił kontrolę nad samym sobą. Nie ma potrzeby poświęcać mu więcej myśli.

Ruszyła stromą ulicą, by spytać Użyźniacza, co oznaczają drzwi z podwójną chmurą.

Mroczne wysokie pomieszczenie ze ścianami pełnymi słów należało do zupełnie innej rzeczywistości. Podniosła wzrok i odczytała: „W zejściu z nieba ciemnej chmury podwójnie rozwidlone drzewo błyskawicy wyrasta z ziemi”. Mały wytworny słoiczek, prezent od Użyźniacza, był ozdobiony motywem, który początkowo brała za stylizowany krzak lub drzewo, dopóki nie dostrzegła, że powtarza kształt drzwi-chmur. Przeniosła go na papier. Kiedy Użyźniacz zmaterializował się z mrocznych czeluści zaplecza, położyła kartkę na ladzie i spytała:

— Czy możesz mi powiedzieć, joz, co to za symbol?

Przyjrzał się rysunkowi.

— To bardzo ładny obrazek — powiedział suchym, piskliwym głosem.

— Znalazłam go na dzbanuszkę od ciebie. Czy ten wzór ma jakieś znaczenie, jakąś treść?

— Dlaczego pytasz, joz?

— Interesują mnie stare rzeczy. Stare słowa, stare obyczaje. Zmierzył ją spojrzeniem wyblakłych starczych oczu, ale nie odpowiedział.

— Wasz rząd... — użyła starego słowa, „biedins”, hierarchia urzędników, zamiast nowoczesnego „wizdestit”, spółka lub korporacja. — Wiem, wasz rząd woli, żeby ludzie nauczyli się nowych obyczajów i nie wracali do przeszłości. — I znowu użyła dawnego słowa — ludzie, nie „rijingdiutii”, producenci-konsumenci. — Ale historycy Ekumenu interesują się wszystkim, czego się mogą nauczyć od bratnich światów. Wierzmy, że w przeszłości tkwią korzenie użytecznych nauk.

Użyźniacz słuchał, życzliwy i obojętny.

Ciągnęła dalej.

— Mój zwierzchnik poprosił mnie, żebym poznała wszystkie możliwe stare obyczaje, które w stolicy już nie istnieją, sztukę, zwyczaje obecne na waszej planecie na długo przed nadejściem moich rodaków. Pełnomocnik Kulturalno-Społeczny zapewnił mnie, że nie będzie ingerować w moje badania. — Ostatnie zdanie wypowiedziała z mściwą

satysfakcją. Nadal była wstrząśnięta, obolała po ostatnim spotkaniu, ale mroczne wnętrze sklepu, jego słabe wonie, przezierające spod farby stare napisy niosły tyle spokoju, że nagle wszystko wydało się jej bardzo odległe.

Cisza. Chudy palec starca zawisł nad rysunkiem.

— Nie widzimy korzeni — przemówił Użyźniacz.

Słuchała.

— Pień — ciągnął, wskazując element wzoru, który w budynku stanowił dwuskrzydłowe drzwi. — Gałęzie i listowie, korona drzewa.

— Wskazał pięciopłatkową „chmurę”, unoszącą się nad pniem. — Są podobne ciało, joz. — Dotknął własnych bioder i boków, poklepał się po głowie, robiąc palcami ruch naśladujący trzepoczące liście. Uśmiechnął się blado. — Ciało jest ciałem świata. Ciało świata jest moim ciałem. A więc z jednego dwa. — Palec legł w miejscu rozwidlenia pnia. — A dwa dają po trzy gałęzie, które się łączą, dając pięć.

— Palec przesunął się po pięciopłatkowej koronie drzewa. — A pięć daje milion, liście i kwiaty, które giną i wracają, wracają i giną. Stworzenia, istoty gwiazdy. Wszelkie życie. Ale nie widzimy korzeni. Nie potrafimy o nich mówić.

— Korzenie są w ziemi?

— Korzeniem jest góra. — Zrobił piękny oficjalny gest: złożył koniuszki palców obu dłoni, tworząc jakby szczyt, po czym dotknął nimi serca.

— Korzeniem jest góra — powtórzyła. — Oto tajemnica.

Milczał.

— Czy możesz powiedzieć coś więcej? Opowiedz o dwóch, trzech i pięciu.

— Do tego trzeba dużo czasu.

— Mam go wiele. Ale nie chcę marnować twojego lub ci go zabierać. Czy też pytać o coś, czego nie chcesz mi powiedzieć, co powinno się trzymać w sekrecie.

— Teraz wszystko jest sekretem — odparł szeleszczącym starczym głosem. — A jednak wszystko czeka na wyciągnięcie ręki. — Obejrzał się na szeregi szufladek i ściany nad nimi, całkowicie pokryte słowami, zaklęciami, wierszami, formułami. Dziś ideogramy nie poruszały się w oczach Satti, nie nadymały się i kurczyły, nie oddychały, lecz trwały bez ruchu na wysokich mrocznych ścianach. — Ale dla wielu nie są to słowa, tylko stare gryzmoły. Więc policja ich nie tyka. W czasach mojej matki wszystkie dzieci potrafiły czytać. Mogły rozpocząć czytanie historii. Opowiadanie nigdy nie ustawało. W lasach, górach, wioskach i miastach, opowiadały historię, opowiadały ją głośno, czytały bez strachu. A jednak nawet wtedy była to tajemnica. Tajemnica początku, korzeni tego świata, ciemności. Grób. Tam gdzie się wszystko zaczyna.

A więc jej edukacja się zaczęła. Choć później przyszło jej do głowy, że tak naprawdę rozpoczęła się w domu Iziezi, gdy po raz pierwszy usiadła przy małym stole-tacy i wzięła do ust pierwszy kęs potrawy.

Jeden z darrandańskich historyków powiedział: poznawać wiarę bez wiary to jak śpiewać pieśń bez melodii.

Ustępliwość, posłuszeństwo, wiara w słuszność nut, rytmu jest podstawowym warunkiem tłumaczenia i zrozumienia. Ten warunek nie musi być niezmiennym nastawieniem umysłu lub serca. A jednak nie jest fałszem. Jest czymś więcej niż zawieszeniem niewiary, koniecznym przy oglądaniu przedstawienia w teatrze, lecz czymś zdecydowanie mniej niż nawrócenie. Tego nauczyli ją wszyscy profesorowie, zebrani z wielu planet w mieście Valparaiso de Chile, a ona nie miała powodu, by podawać ich nauki w wątpliwość.

Przybyła na Akę, by nauczyć się śpiewać jej pieśń i dopiero teraz, z dala od nieustannego jazgotu miasta, zaczęła rozróżniać nuty melodii.

Wychwytywała je dzień po dniu — obserwacje tłoczące się jedna za drugą, zaprzeczające sobie nawzajem, wyolbrzymione, złudne, dzika gmatwanina informacji z najróżniejszych dziedzin, zawikłana mapa całej tutejszej zawilgości, zamknięta w prymitywnym szkicu fragmentu tej ogromnej połaci, jaką musiała zbadać: sposób życia i rozumowania wypracowany tysiącami lat przez całą ludzkość tego świata, ogromny system sprzężonych ze sobą symboli, metafor, teorii, odniesień, kosmologii, kuchni, ćwiczeń gimnastycznych, metafizyki, fizyki, metalurgii, fizjologii, medycyny, psychologii, alchemii, chemii, kaligrafii, mimerologii, ziołolecznictwa, diety, legend, przypowieści, poezji, historii i opowieści.

W tej dzikiej płątanie szukała instytucji, którą mogła opisać, idei dających się zdefiniować — czegokolwiek konkretnego, na czym można się oprzeć. Religie przeważnie mają swoistą architekturę; i rzeczywiście, budynki w Okzat-Ozkat z podwójnymi drzwiami w kształcie Drzewa były świątyniami, umjazu — słowo obecnie zakazane. Co się w nich działo? Cóż, podobno ludzie chodzili tam i słuchali. Czego? Ach, no cóż, historii. Kto opowiada te historie? Ach, no cóż, maz. Oni tam mieszkają. Niektórzy.

Satti domyśliła się, że umjazu stanowiły coś pośredniego pomiędzy klasztorami i kościołami, a także bibliotekami. Były to miejsca, gdzie gromadzono i przechowywano książki, a ludzie przychodzili, żeby je czytać, czytać i słuchać innych, którzy je czytali. W bogatszych rejonach znajdowały się wielkie, okazałe umjazu, do których pielgrzymowano, żeby ujrzeć skarby bibliotek i „usłyszeć Opowiadanie”. Te świątynie zostały zniszczone, zburzone lub wysadzone w powietrze, z wyjątkiem najstarszej i najświętniejszej spośród nich, Złotej Góry, daleko na wschodzie.

Satti wiedziała z programów edukacyjnych, które obejrzała jeszcze w Dowza City, że Złota Góra została przemianowana na Korporacyjną Siedzibę Boga Rozumu — sztucznie stworzony kult, nieistniejący nigdzie poza tym centrum turystycznym i sloganami, publikowanymi bez przekonania przez Korporację. Najpierw jednak świątynia została wypatroszona. Programy ukazywały maszyny wygarniające książki z wielkiego pod-

ziemnego archiwum, monstrualne metalowe łapy wrzucające na wywrotki tomy jak sterty piasku, maszyny zgniatające książki na trociny. Widzowie realizatorów uczestniczyli w pracy jednej z tych maszyn przy akompaniamencie energicznej, skocznej muzyki. Satti zatrzymała progreal w połowie sceny, odłączyła wideoceptory i już nigdy więcej nie uczestniczyła w korporacyjnym progrealu, choć codziennie przyłączała moduły za każdym razem, kiedy opuszczała swoją komórkę badawczą w Centralnym Ministerstwie Poezji i Sztuki.

Takie wspomnienia budziły w niej pewne współczucie do tej religii czy też innych tematów jej badań, lecz nie zapominając o ostrożności i podejrzliwości, zachowywała wyważone sądy. Musiała wystrzegać się oceniania i teorii, trzymać się dowodów i obserwacji. Wszystko było zakazane, a jednak ludzie rozmawiali z nią dość swobodnie, ufnie odpowiadali na jej pytania. Bez kłopotu uzyskiwała informacje o cyklach roku i życia, świętach, postach, odpustach, abstynencji, stosunkach, festiwalach. Te wiadomości, w ogólnych zarysach bardzo przypominające większość znanych jej praktyk religijnych, obecnie oczywiście zeszyły do podziemia, zostały ukryte lub tak subtelnie i przemyślnie wplecione w wątek codziennego życia, że Pełnomocnicy nie potrafili ich wskazać i powiedzieć „To jest zakazane”.

Dobrym przykładem takiego dyskretnego trwania zakazanych praktyk były jadłospisy w restauracjach robotniczych w Okzat-Ozkat. Menu widniało zwykle na tablicy na drzwiach, wypisane w nowoczesnym alfabecie. Oprócz akakafi znajdowały się w nim potrawy zalecane, rozprzestrzeniane i sprzedawane na całej planecie z rozporządzenia Biura Zdrowia i Dietetyki: produkowane w wielkich agro-fabrykach, bogate w proteiny i witaminy, w opakowaniu, wymagające jedynie podgrzania. W restauracjach posiadano zawsze kilka sztuk takich potraw, w puszkach lub mrożonych. Zamawiano je rzadko. Przeważnie bywalcy takich barów nie zamawiali niczego. Siadali, witali się z kelnerem i czekali na świeże jedzenie i napoje odpowiednie dla danego dnia, jego pory, pory roku i pogody, zgodnie z zasadami diety, której celem było zapewnienie długiego i dobrego życia z dobrym trawieniem. Albo lekkim sercem. Te dwa zwroty oznaczały tu to samo.

Pewnego wieczora późną jesienią, podczas długich sesji nagraniowych, siedząc na czerwonym dywanie w swym cichym pokoju zdefiniowała w noterze akański system jako religię typu buddyzmu czy taoizmu, o których uczyła się na Terze: Hainiszowie, uwielbiający listy i kategorie, nazwali je Religią Procesu.

— Nie istnieją rdzennie akańskie słowa na Boga, bogów, boskość — powiedziała do notera. — Urzędnicy Korporacji stworzyli słowo oznaczające Boga i ustanowili Narodowy Teizrn, ponieważ dowiedzieli się, że koncepcja boskiej istoty jest ważna w światach, które przyjęły za model. Zrozumieli, że religia jest użytecznym narzędziem rządu. Ale tutaj „bóg” jest słowem, które nie opisuje żadnej istoty. Pisane małą literą. Nie Stwórca, lecz stworzenie. Nie odwieczny ojciec, który nagradza i karze, wynagradza

krzywdy, potępia okrucieństwo, daje wybawienie. Wieczność nie jest punktem docelowym, tylko ciągłym procesem. Pierwotny podział istoty na materialną i duchową? Jako dwoje w jednym, jedno w dwóch aspektach. Bez hierarchii Natury i rzeczy nadnaturalnych. Bez podwójnego układu ciemność-światłość, zło-dobro, ciało-dusza. Nie ma życia po życiu, ponownego przyścia na świat, nieśmiertelnej duszy. Nie ma nieba, nie ma piekła. Akański System to dyscyplina duchowa z celami do osiągnięcia, choć są to te same cele, do jakich się dąży dla cielesnego i etycznego dobrego samopoczucia. Dobry postęp jest celem samym w sobie. Dharma minus karma.

Przez chwilę była całkowicie zadowolona z siebie. Opracowała definicję akańskiej religii.

Potem przypomniała sobie mity, o których opowiadała Ottiar Uming: główny ich bohater, Ezid, dziwna romantyczna postać, która czasami występowała jako piękny i łagodny młodzieniec, a czasem piękna i nieustraszona dziewczyna, był nazywany „nieśmiertelnym”.

— A „Nieśmiertelny/Nieśmiertelna Ezid”? — dodała. — Czy to sugeruje wiarę w życie po śmierci? Czy ta mityczna postać jest jedną osobą, dwoma czy ich zbiorem? „Nieśmiertelny, żyjący wiecznie” wydaje się znaczyć: intensywny, wielokrotnie powtarzany, słynny. Czasami także nabiera specjalnego „hermetycznego” znaczenia: w doskonałym zdrowiu fizycznym i duchowym, żyjący roztropnie. Sprawdzić.

I znowu to samo: sprawdzić. Słowa się zmieniały, ulegały poprawkom i poprawkom poprawek. Wkrótce definicja przestała się jej podobać. Była nie tyle niepoprawna, ile niezupełnie ścisła. Słowo „religia” budziło jej niepokój. Zaczęła używać słowa „system”, Wielki System. Później nazwała go Las, ponieważ dowiedziała się, że w dawnych czasach nazywano ją drogą przez las. Następnie zmieniła nazwę na Góra, gdy dowiedziała się, że niektórzy nauczyciele nazywali swoją profesję drogą do góry. Wreszcie znalazła ostateczną nazwę: Opowiadanie. Ale to było już po tym, jak poznała Maz Elied.

Długo debatowała nad noterem, szukając jakiegoś dowzańskiego słowa lub starszego i częściowo niedowzańskiego, którym posługiwali się ludzie „uczeni”, a które oznaczałoby świętość. Istniały słowa, które tłumaczyła jako władzę, tajemnicę, niepodległe ludziom, element harmonii. Określenia te nigdy nie były przypisane jednemu miejscu czy sposobowi postępowania. Wyglądało raczej na to, że w starym akańskim pojmowaniu świata każde miejsce i uczynek były tajemnicze i potężne, a także potencjalnie święte, jeśli sieje odpowiednio postrzegało. A postrzeganie dotyczyło opisywania: opowiadania o miejscu, uczynku, wydarzeniu czy osobie. Mówienie zmieniało je w historię.

Jednak historie te nie stanowiły ewangelii, nie uważano ich za wyższą prawdę. Były ćwiczeniami w prawdzie. Próbami dostrzeżenia świętości. Nie należało w nie wierzyć, tylko słuchać.

— Oto jak nauczyłem się tej historii — zaczynano, przystępując do opowiadania

przypowieści, historycznego wydarzenia czy dawnej i znanej legendy. — Oto jak brzmi ta historia.

W tych opowieściach święci osiągnęli świętość — jeśli tak to można było nazwać — na wszelkie możliwe sposoby, z których żaden nie wydał się Satti szczególnie świętobliwy. Nie istniały żadne reguły, jak posłuszeństwo, cnota i ubóstwo, nie słyszano o rozdawaniu ziemskich bogactw i życia o żebraczym chlebie, czy też o pustelniach na szczytach gór. Nierzadko bohater i słynny maz był bogaty, wręcz rozrzutny; budował piękne umjaz, by mieć gdzie przechować swoje skarby, albo wyruszał z setkami towarzyszy na eberdynach o srebrnych uprzężach. Niektórzy bywali wojownikami, inni przywódcami, szewcami, sklepikarzami. Niektórzy święci z opowieści byli kochankami i historia dotyczyła ich miłości. Nie istniały żadne ograniczenia. Zawsze istniała jakaś alternatywa. Opowiadacze — jeśli w ogóle komentowali owe legendy — mogli podkreślić, że to czy tamto było dobrze zrobione, ale nigdy nie mówili o jedynej słusznej drodze. A słowo „dobry” występowało tylko jako przymiotnik: dobre jedzenie, dobre zdrowie, dobry seks, dobra pogoda. Nigdy Dobro. Dobro i Zło jako odrębne całości, walczące ze sobą siły — nigdy.

Ten system nie jest w ogóle religią, powiedziała Satti do notera, coraz bardziej zachwycona. Oczywiście ma także wymiar duchowy. Był to duchowy wymiar życia każdej istoty z osobna. Ale na Ace nigdy nie istniała religia jako instytucji wymuszającej wiarę i domagająca się władzy, religii jako społeczności. Aż do czasów obecnych.

Zamieszkane tereny planety stanowiły jeden wielki kontynent, w którym Dowza leżała najdalej na południowy zachód, a na wschodnim wybrzeżu znajdował się rozległy archipelag. Akanie, zrzeszeni na terenach nie rozdzielonych oceanami, stanowili jednorodny fizyczny typ z nieznacznymi lokalnymi odmianami. Zauważyli to wszyscy Obserwatorzy, podkreślający brak różnicowania etnicznego, społecznego i kulturalnego. A jednak nikt dotąd nie zauważył, że Akanie nie znali cudzoziemców. Nie mieli ich na swojej planecie, dopóki nie wylądowały na niej statki Ekumenu.

Było to proste spostrzeżenie, choć niemal nieprzyswajalne dla terrańskiego umysłu. Społeczeństwo bez obcych. Bez zabójczego poczucia inności, bez nieodwracalnego rozdźwięku między plemionami, nienaruszalnych granic, etnicznych konfliktów, hołubionych przez setki i tysiące lat. „Lud” oznaczał tu nie „mój lud”, ale ludzi, całą ludzkość. „Barbarzyńca” nie był obcokrajowcem o szokujących zwyczajach, ale osobą bez wykształcenia. Na Ace wszelkie współzawodnictwo odbywało się w łonie jednego społeczeństwa. Wszystkie wojny były wojnami domowymi.

Jeden w wielkich eposów, jaki usłyszała Satti, wspominał o długotrwałej i krwawej walce o żyzną dolinę, rozpoczętej kłótnią brata i siostry o prawo do dziedziczenia. W historii planety znano walki o ekonomiczną dominację pomiędzy regionami i miastami-państwami, nierzadko kończące się zbrojnym konfliktem. Jednak wojnami zajmo-

wali się zawodowi żołnierze na polach bitwy. Bardzo rzadko się zdarzało — a wówczas historycy odnotowywali to w kronikach jako wielkie nieszczęście, czyn karygodny — że żołnierze napadali na miasta lub wioski i wyrządzali krzywdę mieszkańcom. Akanie walczyli ze sobą z chciwości i żądzy władzy, ale nie z nienawiści i nigdy w imię religii. Walczyli zgodnie z regułami. Wszyscy je uznawali. Byli jednym narodem. Mieli system filozoficzny i sposób życia obowiązujące na całej planecie. Wszyscy śpiewali tę samą pieśń, choć różnymi głosami.

Ta wspólnota, pomyślała Satti, bardzo często polegała na piśmie. Przed dowzańską rewolucją kulturalną na planecie istniało kilka odrębnych języków i niezliczona ilość dialektów, ale używano zawsze tych samych ideogramów, czytelnych dla wszystkich bez wyjątku. Niezdarne i archaiczne pismo obrazkowe było traktowane z szacunkiem, zachowywano je tak, jak na Ziemi zachowano chińskie ideogramy. Dzięki nim teksty pisane tysiące lat temu można było czytać bez tłumaczenia, choć wymowa słów zmieniła się nie do poznania. Być może właśnie dlatego dowzańscy reformatorzy postanowili się pozbyć starego pisma: stanowiło nie tylko przeszkodę w drodze do postępu, ale także aktywną siłę konserwatywną. Dzięki niemu przeszłość ciągle żyła.

W Dowza City Satti nie spotkała nikogo, kto by się otwarcie przyznał do znajomości starego pisma. Jej pierwsze pytania na ten temat spotkały się z taką dezaprobatą i gwałtowną niechęcią, że szybko nauczyła się nie przyznawać, iż sama potrafi odczytywać ideogramy. Urzędnicy nigdy jej o to nie spytali. Stare pismo zostało zakazane wiele lat temu; nikomu nie przyszło do głowy, że Satti może je znać. Nie wierzyła, że jako jedyna osoba na planecie posiada tę umiejętność. Ta myśl budziła jej przerażenie. To tak jakby przechowywała w pamięci całą historię ludzkości — ludzkości innej planety. Gdyby zapomniała choć jedno słowo, jeden ideogram, jeden znak diakrytyczny, wszystkie te istnienia, całe stulecia myśli i uczuć byłyby stracone na zawsze.

Z ulgą przekonała się, że w Okzat-Ozkat wiele osób, nawet dzieci, nosi w sobie cenne dziedzictwo. Potrafili odczytać i napisać parę dziesiątków znaków, może kilkaset. Niektórzy byli całkowicie biegli w piśmie. W szkole dzieci uczyły się alfabetu i otrzymywały wykształcenie odpowiednie dla producentów-konsumentów; ideogramów uczyły się w domu lub na nielegalnych lekcjach w salkach na zapleczach sklepów, warsztatów, magazynów. Ćwiczyły kaligrafię na małych tabliczkach, które można było wytrzeć jednym ruchem. Rolę nauczycieli odgrywali robotnicy, gospodynie domowe, sklepikarze, zwykli ludzie.

Ci nauczyciele dawnego języka i dawnych obyczajów, „ludzie uczeni”, nosili miano „maz”. Joz stanowił termin wskazujący na pełną sympatii równość; maz stosowano jako wyraz szacunku. Oznaczało zawód stanowiący coś pośredniego pomiędzy duchownym, nauczycielem, lekarzem i naukowcem. Wszyscy maz, których spotykała Satti, a w miarę pobytu w Okzat-Ozkat poznała większość z nich, żyli w bardziej lub mniej uciążliwej

biedzie. Zwykle zajmowali się handlem lub mieli dodatkowy zawód, zapewniający im dochód poza tym, co otrzymywali za aplikowanie lekarstw, porady dietetyczne i zdrowotne, odprawianie pewnych uroczystości, jak śluby lub pogrzeby, a także czytanie na wieczornych spotkaniach, zwanych opowiadaniem.

Maz byli biedni nie dlatego, że dawne tradycje ginęły lub cenili je tylko ludzie starzy, ale dlatego że ludzie, których uczyli, także nie mieli pieniędzy. Okzat-Ozkat było małym miastem bez żadnego kapitału. A jednak mieszkańcy utrzymywali swoich maz, płacili im regularnie miedziakami, drobnymi banknotami. Żadna ze stron nie czuła się upokorzona, nie było tu miejsca na hipokryzję. Płacono za otrzymywany towar. Na wieczorne opowiadania przyprawiano dzieci, które słuchały rozmów lub zasypiały. Do piętnastego roku życia miały bezpłatny wstęp. Potem płaciły tyle samo co dorośli. Młodzi lubili spotkania z pewnym maz, który specjalizował się w recytowaniu i czytaniu eposów i romansów, na przykład „Wojny o dolinę” i opowieści o Pięknym/Pięknej Ezid. Bardziej energiczne i wojownicze ćwiczenia fizyczne ściągały młodzieńców i dziewczęta.

Jednak maz byli ludźmi w średnim wieku lub starszymi — i znowu nie dlatego, że ich grupa wymierała, ale dlatego że, jak powiadali, trzeba całego życia, by się nauczyć chodzić po lesie.

Satti chciała się dowiedzieć, dlaczego wykształcenie zajmowało tak wiele czasu, jednak samo zebranie wiadomości także wydawało się ciągnąć w nieskończoność. W^T co wierzyli ci ludzie? Co uważali za święte, najważniejsze? Ciągle szukała rdzenia prawdy, słów stanowiących duszę Opowiadania, świętych ksiąg, które mogłaby przeczytać i zapamiętać. Znalazła książki, lecz nie te. Nie było wśród nich Biblii. Nie było Koranu. Dziesiątki Upaniszad, miliony sutr. Każdy maz dawał jej coś do czytania. Przeczytała — lub wysłuchała — niezliczoną ilość tekstów. Wiele lub nawet większość z nich istniała w kilku postaciach i wersjach. Temat opowiadań był niewyczerpany, nawet teraz, gdy tak wiele tekstów zniszczono.

W początkach zimy wydało się jej, że znalazła główny tekst systemu, zbiór wierszy i traktatów, zatytułowany „Drzewo”. Wszyscy maz wspominali o nim z wielkim szacunkiem, wszyscy przytaczali cytaty z niego. Wiele tygodni poświęciła studiowaniu tego dzieła. I o ile mogła się zorientować, powstało od stu pięćdziesięciu do tysiąca lat temu w centralnym regionie Kontynentu w czasach prosperity materialnej oraz artystycznego i intelektualnego fermentu. Stanowiło obszerny zbiór wysublimowanych filozoficznych rozważań nad byciem i potencjałem, formą i chaosem, a także mistyczne medytacje nad Tworzeniem i Stworzeniem, piękne, trudne, metafizyczne wiersze o Jednym, które jest Dwoma, Dwóch, które są jednością, a wszystko wzajemnie połączone, splecione, ozdobione i skomplikowane komentarzami i uwagami zbierającymi się od stuleci. Siostrzenica wujka Hurree, wzorowa uczennica, przedzierała się w uniesieniu przez tę dżunglę znaczeń, marząc tylko o tym, by w niej zginąć na całe lata. Do opamiętania

przywodził ją uprzykrzony zdrowy rozsądek, ściągający ją na ziemię i utyskujący: to nie jest Opowiadanie, to zaledwie jego część, jego mała część.

Wreszcie pomoc nadeszła ze strony Maz Orien Wiją, wspomniał on bowiem, że tekst „Drzewa”, który Satti studiowała w domu codziennie od miesiąca, jest jedynie częścią tekstu — w wielu miejscach bardzo od niego różną — który on sam widział wiele lat temu w wielkim umjazu w Amarezie.

Nie istniały teksty poprawne. Nie istniały wersje standardowe. Nie istniało jedno „Drzewo”, lecz wiele, wiele drzew. Dżungla ciągnęła się w nieskończoność, i to nie jedna, lecz ich nieskończona mnogość, wszystkie płonące jaskrawymi tygrysami znaczenia, tłumem tygrysów...

Satti przeskanowała do notera wersję „Drzewa”, którą dostała od Oriena Wiji, odłożyła kryształ, spięła się do działania i zaczęła od nowa.

Bez względu na to, czego usiłowała się nauczyć, wiedza ta nie była religią z wyznaniem wiary i świętą księgą. Nie dotyczyła spraw wiary i wszystkie książki były dla niej święte. Nie dawała się zdefiniować symbolami i pojęciami, choćby były nie wiadomo jak piękne, wieloznaczne i interesujące. I nie nazywała się Lasem, choć czasem tak właśnie było, ani Górą, choć i tak bywało, lecz przeważnie, o ile Satti mogła się zorientować, nazywano ją Opowiadaniem. Dlaczego?

No jak to, odpowiadał zdrowy rozsądek, beczelny intruz, ponieważ uczeni ludzie w kółko opowiadają różne historie.

Rzeczywiście, replikował intelekt z pewną dozą pogardy, opowiadają historie, w ten sposób właśnie uczą. Ale czym się zajmują?

Postanowiła obserwować jakiegoś maz.

Jeszcze na Terze, w czasach gdy studiowała języki Aki, dowiedziała się o istnieniu bardzo szczególnego pojedynczo-mnogiego zaimka, używanego w mowie potocznej dla opisanie ciężarnej kobiety, zwierzęcia lub pary małżonków. Spotkała się z nim znowu w „Drzewie” i wielu innych tekstach, które dotyczyły pojedynczo-mnogiego pnia drzewa bytu oraz mityczno-heroicznych bohaterów, którzy zwykle — całkiem jak w propagandowych opowiastkach Korporacji — występowali w parach. Korporacja zakazała używania tego zaimka; jego użycie w rozmowie czy piśmie było karane grzywną. W Dowza City Satti nie słyszała go z niczyich ust. Ale tutaj spotykała się z nim codziennie, choć nie publicznie. Zwracano się nim do nauczycieli-kapłanów, maz. Dlaczego?

Ponieważ maz oznaczali dwoje ludzi. Zawsze występowali jako para. Partnerzy seksualni, hetero lub homo, monogamiczni, żyjący z sobą przez całe życie. Nawet dłużej, gdyż owdowiawszy, nigdy nie szukali nowego partnera. Żona Użyźniacza, Ang Soty, umarła piętnaście lat temu, lecz on nadal był Soty Ang. Byli dwojgiem i jednością, jednym w podwójnej postaci.

Dlaczego?

Poczuła narastające ożywienie. Wpadła na trop głównej zasady systemu: Dwoje, którzy są Jednym. Musiała się skupić, by to zrozumieć.

Maz dali jej wiele tekstów, mniej lub bardziej istotnych. Dowiedziała się z nich, że współzależność Dwóch daje początek potrójnym Gałęziom, które się łączą, by stworzyć Liście, składające się z Czterech Uczynków i Pięciu Żywiołów, do których nieustannie nawiązywała kosmologia oraz medycyna i etyka i które zostały wbudowane w architekturę i stały się szkieletem języka, zwłaszcza pisanego... Okazało się, że wchodzi w kolejną dżunglę, bardzo starą i przerażająco bujną. Stała na jej krawędzi i zagłębiała do środka, zaciekawiona, lecz ostrożna. Rozsądek skomlał za jej plecami jak pies. Dobry piesek, dobra dharma. Nie weszła do tej dżungli.

Pamiętała, że musi się dowiedzieć, czym naprawdę zajmują się maz.

Zajmowali się wykonywaniem czy wprowadzaniem w życie Opowiadania.

Niektórzy mieli niewiele do powiedzenia. Posiadali książkę, wiersz, mapę czy traktat, które dostali lub odziedziczyli, i przynajmniej raz do roku pokazywali, głośno czytali lub recytowali z pamięci wszystkim, którzy zechcieli przybyć. Tacy ludzie byli grzecznie nazywani uczonymi i szanowano ich za posiadanie skarbu i dzielenie się nim z innymi. Ale nie byli to maz.

Maz byli zawodowcami. Uczenie się i dzielenie z innymi tym, co opowiadali, uczynili głównym sensem swojego życia i w ten sposób zarabiali na życie.

Niektórzy specjaliści od rytuałów i ceremonii najbardziej przypominali terrańskich duchownych. Odprawiali ceremonie pogrzebowe, ślubne, witali noworodki w społeczności, świętowali piętnaste urodziny, które tutaj były uważane za ważne i przynoszące szczęście (Jeden plus Dwa, plus Trzy i Cztery, i Pięć...). Ich opowiadania przypominały raczej formuły — zaklęcia, rytuały, recytowanie znanych opowieści o herosach.

Niektórzy maz byli lekarzami, uzdrowicielami, zielarzami i botanikami. Tak jak nauczyciele gimnastyki, opowiadali o ciele i słuchali go. (Ciało, które jest jak Drzewo, które jest jak Góra...). Ich opowiadania były rzeczowe, opisujące, medyczne.

Niektórzy maz specjalizowali się w książkach: uczyli dzieci i dorosłych pisać i czytać ideogramy, nauczali tekstów, pomagali je zrozumieć.

Ale głównym ich zadaniem, za które darzono ich szacunkiem, było opowiadanie: głośne czytanie, recytowanie i mówienie o materiale. Im więcej opowiadali, tym bardziej byli szanowani, im lepiej to robili, tym więcej im płacono. Treść ich opowiadań zależała od ich wiedzy, posiadanych materiałów, własnych wniosków i, najwyraźniej, także od nastroju chwili.

Chaos tego wszystkiego mógł doprowadzić do szaleństwa. W dniu robocze Satti uczyła się pracownicy o Dwóch i Jednym, Drzewie i Liściach, chodziła też co wieczór, by posłuchać, jak Maz Ottiar Uming opowiada długą mityczno-historyczną sagę o odkryciach Rumaya na Wschodnich Wyspach jakieś sześć lub siedem tysięcy lat temu. Parę

razy w tygodniu słuchała rano Maz Imiena Katiana, który opowiadał o początkach i historii kosmosu, nazywał gwiazdy i konstelacje i opisywał ruchy pozostałych czterech planet w układzie akańskim, pokazując piękne, dokładne i starożytne mapy nieba. Jak to wszystko może razem współ-egzystować? Czy istnieją jakieś wspólne elementy pomiędzy tymi rozbieżnościami?

Znużona abstrakcyjnymi rozważaniami filozofii, do której nie miała ani zdolności, ani skłonności, Satti zajęła się czymś, co maz nazywali opowiadaniem ciała. Uzdrowiciele mieli wielką wiedzę dotyczącą zachowywania dobrego zdrowia. Poprosiła Soty Ang, by podzielił się z nią swoją medyczną wiedzą. Cierpliwie opowiadał jej o leczniczych właściwościach rozmaitych eksponatów z ogromnego herbarium, odziedziczonym po rodzicach Ang Soty i wypełniającym niemal wszystkie szufladki w jego sklepie.

Staruszek bardzo się ucieszył wiedząc, że Satti nagrywa jego słowa noterem. Na razie nie natknęła się na żaden ślad wiedzy tajemnej, żadną świętą tajemnicę, znaną tylko wtajemniczonym, żadną mądrość, zastrzeżoną dla nielicznych, by umocnić ich potęgę, świętość czy dochody.

— Zapisz wszystko, co ci mówię! — powtarzali nieodmiennie wszyscy maz. — Zachowaj to dobrze! Utrwal, by powtórzyć innym!

Soty Ang, który przez całe swoje dorosłe życie uczył się właściwości ziół i nie miał nigdy własnego ucznia, był wzruszająco wdzięczny Satti za uwiecznianie jego wiedzy.

— To wszystko, co mogę dać Opowiadaniu — powiedział. Nie był uzdrowicielem, lecz aptekarzem i zielarzem. Teoria nie stanowiła jego mocnej strony, a wyjaśnienia przyczyn, dla których to czy inne zioło było skuteczne, brzmiały mocno niewiarygodnie. Ale o ile potrafiła to ocenić, tutejszy system medyczny był pragmatyczny, zapobiegawczy i skuteczny.

Farmacja i medycyna nie stanowiły jedynych gałęzi Wielkiego Systemu. Niekończące się opowieści maz o najróżniejszych rzeczach, wszelkich możliwych rzeczach, wszystkich liściach ogromnej korony Drzewa. Satti nie mogła się pozbyć wrażenia, że musi istnieć jakiś temat przewodni. Czy to etyka? Właściwe postępowanie?

Ona, która dorastała pod rządami Unitów, nie mogła zachować naiwnego przekonania, że pomiędzy religią i moralnością musi istnieć związek. Ale z pewnością zaczęła rozróżniać charakterystyczne akańskie zasady etyczne wyrażone we wszystkich historiach, z których wiele było przypowieściami i bajkami z morałem, a także w zachowaniu i rozmowach ludzi z Okzat-Ozkat. Podobnie jak medycyna, etyka była pragmatyczna i zapobiegawcza, a robiła wrażenie bardzo efektywnej. Ogólnie biorąc, zalecała szacunek do swojego i cudzego ciała i zakazywała lichwy.

Częstotliwość, z jaką w opowiadaniach potępiano nadmierne bogacenie się, wskazywała, że zło było głęboko zakorzenione i na tej planecie. W Okzat-Ozkat przestęp-

stwa sprowadzały się do kradzieży, oszustwa, defraudacji. Napaści i pobicia zdarzały się w czasie rabunków lub później, gdy wściekłe ofiary szukały zemsty. Zbrodnie z namiętności zdarzały się rzadko. Nie uwznioślano ich, nie szukano dla nich usprawiedliwień. Słowo „morderca” miało ten sam rdzeń co „wariat”. Iziezi nie potrafiła powiedzieć, czy morderców zamykano w więzieniu, czy w domu dla obłąkanych, ponieważ nie słyszała o żadnym mordercy. Przypomniła sobie, że w dawnych czasach kastrowano gwałcicieli, ale nie była pewna, jak obecnie karze się gwałt, ponieważ nie słyszała o żadnym takim zdarzeniu. Akanie wychowywali dzieci bardzo łagodnie. Iziezi nie mogła uwierzyć, żeby można było zleje traktować; znała jakieś ludowe podania o okrutnych rodzicach, osieroconych dzieciach, których nikt nie chciał przyjąć, ale skwitowała je słowami:

— To bardzo stare opowieści. Ludzie jeszcze nie byli uczeni.

Oczywiście Korporacja propagowała nową etykę, nowe cnoty — współdziałanie i patriotyzm, znalazła także nowe obszary zbrodni: uczestnictwo w zakazanej działalności. Jednak, z wyjątkiem urzędników Korporacji i być może studentów ze studium nauczycielskiego, Satti nie spotkała w Okzat-Ozkat nikogo, kto uważałby maz za zbrodniarzy. Zakazany, nielegalny, zabroniony: były to nowe kategorie określające zachowanie, lecz nie mające żadnego moralnego znaczenia, chyba że dla ich twórców.

Czy zatem w dawnych czasach nie znano zbrodni z wyjątkiem gwałtu, morderstwa i lichwy?

Może nie istniała potrzeba wprowadzenia innych sankcji. Może system był tak uniwersalny, że nie sposób było sobie wyobrazić życia poza nim, działaniu wbrew niemu. Może był całym światem.

Wszechobecność systemu, jego starożytność, ogromna siła nawyku, uzyskiwana przez szczegółowe określenie codziennego życia, jadłospisu, godzin pracy i odpoczynku — wszystko to, powiedziała Satti do notera, może tłumaczyć oblicze nowoczesnej Aki. A przynajmniej wyjaśnia, w jaki sposób Korporacja Dowzańska z taką łatwością narzuciła narodowi swoją władzę, zdołała wprowadzić mundury, szczegółową kontrolę ludzkiego życia, jadłospisu, lektury, rozmów, myśli, czynków. System znajdował się na swoim miejscu. Odwieczny, potężny, na całym Kontynencie i Wyspach Aki. Dowza tylko go przejęła i zmieniła jego znaczenie. Z wielkiego układu społecznego, w którym każda jednostka szukała fizycznej i duchowej satysfakcji, zrobili hierarchię, w której każda jednostka służyła pomnażaniu majątku narodowego. Z aktywnej homeostatycznej równowagi uczynili aktywną, pędzącą naprzód nierównowagę.

Różnica, powiedziała Satti do notera, jest taka, jak pomiędzy kimś siedzącym i rozmyślającym o dobrym posiłku i kimś biegnącym w popłochu do pracy. Była zadowolona z tego porównania.

Pierwsze pół roku na Ace wspominała z niedowierzaniem i litością wobec siebie i konsumentów-producentów Dowza City. „Na jakie poświęcenia zdobyli się ci ludzie!

— zapisała w noterze. Zgodzili się przekreślić całą swoją kulturę i zubożyć życie w zamian za «Marsz do Gwiazd» — sztuczny, teoretyczny cel, imitację społeczeństw, które uznali za lepsze od siebie tylko dlatego, że były zdolne do lotów kosmicznych. Dlaczego? Brakuje tu jakiegoś elementu. Musiało się wydarzyć coś, co spowodowało lub przyspieszyło tę ogromną zmianę. Czy to tylko przyjazd Pierwszych Obserwatorów z Ekumenu? Ale trzeba przyznać, że dla ludzi, którzy nie znali obcych, musiał być to wielki wstrząs...».

I ogromna odpowiedzialność spoczywająca na przybyszach, pomyślała.

„Niech nas pani nie zdradzi”, powiedział Pełnomocnik. Ale jej towarzysze, gwiazdni podróżnicy Ekumenu, Obserwatorzy tak wystrzegający się interwencji, mieszania się w sprawy planety, przywieźli zdradę na pokładach swoich statków. Byli wśród nich Hiszpanie i wielkie imperia Inków, Azteków, zdradzających się, upadających, patrzących jak ich bogowie i języki odchodzą w zapomnienie... a zatem Akanie sami stali się swoimi konkwistadorami. Oszołomieni zagranicznymi ideami pozwolili się zdominować i zubożyć dowżańskim ideologom, podobnie jak ideolodzy komuno-kapitalistyczni w dwudziestym wieku i unicy fanatycy w jej czasach zdominowali i zubożyli Ziemię.

Jeśli ten proces naprawdę rozpoczął się od pierwszego kontaktu, być może Tong Ov kierował się poczuciem winy, kiedy kazał jej się dowiedzieć, co pozostało na planecie z czasów sprzed przybycia Obserwatorów. Może miał nadzieję, że zdoła oddać Akanom to, co odrzucili? Korporacja Państw nigdy by na to nie pozwoliła. Maz Ottiar Uming często powtarzała: „Złota szukaj na śmietniku”, ale nie sądziła, żeby Pełnomocnik się z nią zgodził. Dla niego to złoto było gnijącym trupem.

Podczas tej długiej zimy pełnej uczenia się, słuchania, czytania, ćwiczenia, myślenia i rewidowania poglądów często prowadziła w myślach długie rozmowy z Pełnomocnikiem. Był jej workiem treningowym. Nigdy nie odpowiadał, tylko słuchał. Pewnych rzeczy nie chciała nagrywać w noterze, pewnych opinii, którymi się rozkoszowała, ale usiłowała je oddzielić od obserwacji. Wśród nich znajdował się na przykład pogląd, że jeśli Opowiadanie było religią, to bardzo się różniło od religii terrańskich, ponieważ całkowicie wystrzegało się dogmatów, fanatyzmu i usankcjonowanej bigoterii. Wszystkie te elementy, bez których Akanie znakomicie się obywali, pojawiły się wraz ze zmianą. Korporacja Państw stała się religią. Dlatego Satti lubiła przypominać sobie niebiesko-brązowy mundur, sztywną postawę i zimne spojrzenie Pełnomocnika. Mówiła mu prosto w twarz, że jest fanatykiem, fanatykiem i głupcem, takim samym jak inni jemu podobni, ponieważ chwyta bezwartościowe nowinki, a własny skarb wyrzuca do śmieci.

Prawdziwy Pełnomocnik chyba wyjechał z Okzat-Ozkat; od wielu tygodni na spotkanie go na ulicy. Przyjęła to z dużą ulgą. Wołała go widywać w wyobraźni.

Już nie pytała, czym zajmują się maz. Każde dziecko to wiedziało. Maz opowiadała. Opowiadali wciąż od nowa, czytali, recytowali, dyskutowali, wyjaśniali i tworzyli. Te-

maty ich opowiadań nie były ustalone i nikt ich nie definiował. I ciągle się rozrastały, gdyż nie wszystkie teksty były zapożyczane od innych, nie wszystkie opowieści pochodziły z dawnych czasów, nie wszystkie myśli i idee zostały przekazane z pokolenia na pokolenie.

Kiedy po raz pierwszy spotkała maz Odiedina Manma, opowiadał on historię o młodzieńcu z wioski u stóp Silong, który śnił, że potrafi latać. Śnił o lataniu tak często i wyraziście, że zaczął je brać za jawę. Opisywał uczucia, jakich doznawał podczas lotu, oraz tereny oglądane z góry. Rysował mapy pięknych nieznanych krajów, które odkrywał latając. Ludzie przychodzili do niego, żeby posłuchać o lataniu i popatrzeć na te cudowne mapy. Ale pewnego dnia, schodząc korytem rzeki w poszukiwaniu zabłąkanego eberdyna, pośliznął się, spadł i zabił.

Na tym historia się kończyła. Odiedin Manma nie komentował jej, nikt nie zadawał pytań. Do opowiadania doszło w domu maz Ottiar i Uminga. Później Satti zaczęła rozmawiać z Maz Ottiar Uming, ponieważ ta historia wzbudziła jej zdziwienie.

— Manma, partner Odiedina, zginął w wieku dwudziestu siedmiu lat. Byli maz tylko przez rok — powiedziała stara kobieta.

— I Manma opowiadał o swoich snach?

— Nie. To jest historia, joz. Historia Odiedina Manma. To on ją opowiada. Resztą jego opowiadania jest ciało. — Miała na myśli ćwiczenia, gimnastykę, w której Odiedin celował.

— Rozumiem — mruknęła Satti i odeszła zamyślona.

Jedno wiedziała na pewno, jednego na pewno się nauczyła tu, w Okzat-Ozkat: słuchać. Słuchać, słyszeć, nieustannie natężyć słuch! Unosić słowa ze sobą i wsłuchiwać się w nie na nowo. Jeśli opowiadanie było umiejętnością maz, słuchanie stanowiło specjalność joz. I, jak wszyscy lubili podkreślać, jedno nie miało racji bytu bez drugiego.

5

Nadeszła zima, prawie bezśnieżna, lecz przejmująco mroźna. Wichry spadały na ziemię z dzikich gór na wschodzie i północy. Iziezi zaprowadziła Satti do sklepu z używaną odzieżą, gdzie kupiły zniszczony, lecz solidny kozuch z jedwabistego runa. Kaptur był podbity pierzastym futrem jakiegoś zwierzęcia, o którym Iziezi powiedziała:

— Wszystkie wyginęły. Za wielu myśliwych.

Wyjaśnił też, że nie jest to skóra eberdyna, jak podejrzewała Satti, lecz minula, zwierzęcia z wysokich gór. Kozuch sięgał jej do kolan i przykrywał cholewy lekkich, podbitych futrem butów. Były nowe, zrobione ze sztucznych materiałów, przeznaczone do górskich sportów. Ludzie bez sprzeciwu akceptowali nowe technologie i produkty, jeśli sprawdzały się lepiej niż stare, a ich używanie nie wymagało zmiany obyczajów. Satti uznała to za rozsądny konserwatyzm, ale w kraju nastawionym na nieograniczony postęp takie zachowanie wydawało się bluźnierstwem.

I tak Satti zaczęła maszerować po zlodowaciałych ulicach w starym kozuchu i nowych butach. W zimie wszyscy w Okzat-Ozkat wyglądali tak samo, ubrani w stare kozuchy z kapturami — oczywiście z wyjątkiem umundurowanych urzędników, których kozuchy i kaptury były zrobione ze sztucznych materiałów w jaskrawych urzędowych kolorach: fioletowym, rdzawym, niebieskim. Oni także wyglądali jednakowo. Nielitościwy mróz łączył ich swoistym braterstwem anonimowości. Kiedy wchodziło się do pomieszczenia, błogosławione ciepło dawało ulgę, przyjemność jednoczącą wszystkich bez wyjątku. Iść mroźnym błękitnym wieczorem po stromych ulicach do jakiegoś ciasnego, mrocznego domu, by zgromadzić się wraz z innymi przy kominku — elektrycznym, gdyż w pobliżu było niewiele drewna, a ciepło otrzymywano dzięki lodowatym falom Erehy — zdjąć rękawice i rozetrzeć dłonie, nagle robiące wrażenie nagich i wrażliwych, spojrzeć na inne, zarumienione od wiatru twarze i mokre od śniegu rzęsy, usłyszeć cichy pomruk bębenka, tabat, tabat, tabat, a potem cichy głos wyliczający nazwy rzek Hoying, miejsca, w których się spotykały, opowiadający historię Ezid i Anamemy z góry Gama bądź opisujący, w jaki sposób rada Maz zorganizowała armię do walki z barbarzyńcami z Zachodu — to właśnie przez całą zimę sprawiało Satti nieodmienną,

intensywną przyjemność.

Mianem barbarzyńców z Zachodu, teraz to już wiedziała, nazywano Dowzańczyków. Prawie wszystko, co przekazywali maz, wszystkie legendy, historie i filozofia przybyły z centrum i wschodu wielkiego kontynentu, a powstały setki, tysiące lat temu. Z Dowzy nie pochodziło nic prócz języka, którym się posługiwali, a i tak znajdowało się w nim wiele słów wywodzących się z pierwotnego języka z tego rejonu, Rangma, a także innych.

Słowa. Świat stworzony ze słów.

Była również muzyka; niektórzy maz śpiewali pieśni takie jak ta, którą Tong Ov zarejestrował w mieście. Satti także je nagrywała, jeśli tylko mogła, choć muzyczny anty-talent czynił ją całkowicie głuchą na ich walory. Spotykała się też ze sztuką, rzeźbą, malarstwem i tkaninami, wykorzystującymi symbole Drzewa, Góry, postaci z legend i opowieści. Był i taniec, a także rozmaite rodzaje ćwiczeń i medytacji. Ale najważniejsze były słowa.

Kiedy maz narzucali na ramiona symbol swojej funkcji — zwykły kawałek czerwonego lub niebieskiego materiału — nabierali aury uświęconej władzy. To, co wtedy mówili, stanowiło część Opowiadania. Potem zdejmowali szal i stawali się zwykłymi ludźmi, nie roszczącymi sobie praw do duchowego przywództwa. To, co mówili, miało taką samą wagę jak słowa innych. Oczywiście niektórzy domagali się, by przypisano im permanentną władzę. Podobnie jak współplemieńcy Satti, wielu Akan pragnęło mieć przywódcę, złożyć odpowiedzialność na cudzych ramionach. Ale jeśli maz mieli jakąś wspólną cechę, to była nią uporczywa skromność. Nie marzyli o zaszczytach. Maz Imjen Katjan był najłagodniejszym człowiekiem pod słońcem, ale kiedy pewna kobieta zwróciła się do niego pełnym czci tytułem zarezerwowanym dla słynnych maz z opowieści — „munan” — zareagował wściekłością.

— Jak śmiesz mnie tak nazywać? — A kiedy odzyskał spokój, dodał: — Może za sto lat, joz.

Satti sądziła, że ta skromność wynika w fakt, iż wszystko, czym maz zajmowali się z urzędu, stało w sprzeczności z prawem. Jednak kiedy wspomniała o tym w rozmowie z Maz Ottiar Uming, ta pokręciła głową.

— Och, nie. Musimy się ukrywać, trzymać wszystko w sekrecie, tak. Ale w czasach moich dziadków maz żyli tak samo jak my. Nikt nie nosił chusty przez cały dzień! Nawet Maz Eljed Oni... Oczywiście w umjazu było inaczej.

— Opowiedz mi o tym.

— Umjazu to budynki wznoszone tak, by gromadziła się w nich moc. Miejsca pełne życia. Wielu ludzi mówi i słucha. Wiele książek. Kiedyś umjazu stały wszędzie. Tutaj, w Okzat-Ozkat, jeden stał tam, gdzie teraz jest liceum, a drugi w fabryce pumeksu. I jeszcze wiele w drodze na Silong, w wysokich dolinach, przy głównych drogach, wszędzie

umjazu, miejsca pielgrzymek. A w dole, gdzie ziemia jest żyzna, stały wielkie, ogromne umjazu, z setkami maz, którzy w nich mieszkali nawet przez całe życie. Trzymali tam książki, pisali je, prowadzili kroniki i opowiadali. Oddawali temu całe życie. Zawsze byli na miejscu. Każdy mógł do nich przyjść, by wysłuchać opowiadania i przeczytać książki z biblioteki. Były procesje z czerwonymi i niebieskimi flagami. Czasami pielgrzymki zostawały na całą zimę. Ludzie oszczędzali latami, żeby zapłacić maz i móc wynajmować mieszkanie. Babka opowiedziała mi o swojej wizycie w Czerwonym Umjazu w Tenbanie. Miała jedenaście lub dwanaście lat. Podróż i pobyt zajęły im prawie rok. Rodzice mojej babki byli bardzo bogaci, więc mogli jechać przez całą drogę, wiele osób, w wozie zaprzęgniętym w eberdyny. Wtedy nie znano samochodów i samolotów. W ogóle. Ludzie przeważnie chodzili pieszo. Ale wszyscy mieli flagi i wstążki. Czerwone i niebieskie. — Ottiar Uming roześmiała się z zachwytem do swoich wspomnień. — Matka mojej matki napisała historię o tej podróży. Kiedyś ją przyniosę i opowiem.

Jej partner, Uming Ottiar, rozwinął duży, sztywny arkusz papieru na zapleczu sklepu. Ottiar Uming pospieszyła mu z pomocą, kładąc czarny wypolerowany kamień na każdym zawijającym się rogu karty. Zaprosili pięciu słuchaczy, by przybyli, pozdrowili mapę gestem góry-serca i studiowali inskrypcje. Pokazy takie odbywały się co trzy tygodnie, a Satti zjawiała się na każdym przez całą zimę. Było to jej pierwsze oficjalne wprowadzenie w system filozoficzny Drzewa na przykładzie najcenniejszego przedmiotu będącego w posiadaniu pary maz, podarowanej im przed pięćdziesięciu laty przez nauczyciela cudownej malowanej mapy, mandali Jednego, które jest Dwoma, które daje Trzy i Pięć, i Milion, a Milion znowu Pięć, Trzy, Dwa, Jeden... Drzewo, Ciało, Góra, wpisane w okrąg będący wszystkim i niczym. Subtelne symbole, zwierzęta, ludzie, rośliny, kamienie, rzeki, pełne życia jak migoczące płomienie, tworzyły większe kształty, które się dzieliły, łączyły na nowo, przekształcały w siebie nawzajem i stapiały w całość, jedność z niezliczonych różnorodnych istot, tajemnicę jasną jak słońce.

Satti uwielbiała studiować mapę, czytać inskrypcje i wiersze na jej obrzeżu. Malowidło było piękne, piękne i ulotne były wiersze, cała mapa stanowiła wysublimowane dzieło sztuki, fascynujące, oświecające. Maz Uming usiadł i po paru uderzeniach w bęben zaintonował monotony zaśpiew, jeden z wielu towarzyszących rytuałom i wielu opowiadaniom. Maz Ottiar odczytywała inskrypcje i dyskutowała na ich temat; niektóre liczyły czterysta lub pięćset lat. Mówiła cichym, spokojnym głosem. Studenci zadawali pytania cicho i z wahaniem. Ona odpowiadała w ten sam sposób.

Potem cofnęła się, usiadła i podjęła brzęczący zaśpiew, a stary Uming, na wpół ślepy, z wymową zniekształconą po wylewie wstał i zaczął mówić o wierszu.

— Napisał go Maz Niniu Raying, pięć, sześć, siedem setek lat temu, hm? Znajduje się w „Drzewie”. Ktoś go tam zapisał, dobry kaligraf, ponieważ mówi o tym, jak liście Drzewa giną, ale zawsze będą wracać, dopóki je widzimy i opowiadamy. Widzicie, to tutaj:

„Słowo, złoto, co nie upada, powraca na gałąź w chwale”. — Uśmiechnął się do wszystkich dobrym, asymetrycznym uśmiechem. — Pamiętacie, hm? „Życiem umysłu jest pamięć”. Nie zapominajcie!

Roześmiał się, uczniowie także. A przez cały czas w głównym pomieszczeniu sklepu wnuk maz puszczał ogłuszającą dziarską muzykę, hasła i wiadomości, by zagłuszyć nielegalną poezję, zakazany śmiech.

Szkoda, choć nic w tym dziwnego, zapisała Satti w noterze, że stara dyscyplina kosmologiczno-filozoficzno-duchowa zawiera tak wiele przesądów i stoi na krawędzi tego, co oznaczała w noterze symbolem CM — czarymary. Potężna dżungla znaczeń miała i swoje moczary i bagna, w których Satti zaczęła grzęznąć. Paru maz twierdziło, że posiadają wiedzę tajemną i nadnaturalne moce. Te przechwałki wydawały się jej nudne, ale wiedziała, że nie może z góry wyrokować, co ma znaczenie, a co nie, więc w pocie czoła zachowywała każdą informację dotyczącą alchemii, numerologii i dosłownego odczytywania symbolicznych tekstów. Maz niechętnie dzielili się 7. nią owymi strzępami tekstów i filozofii, okraszając je ponurymi ostrzeżeniami przed niebezpieczną mocą tej wiedzy.

Satti darzyła szczególną niechęcią dosłowne odczytywanie tekstów. Były głupie i obraźliwe, a ona wiedziała, że to właśnie przez taką dosłowność i fundamentalizm religia wymyka się swoim twórcom spod kontroli. Mimo to zamieszczała je bez wyjątku w noterze, którego zawartość musiała już dwa razy zapisywać w kryształowym banku danych, gdyż nie mogła przesłać tego chaotycznego zbioru rzeczy ważnych i nieważnych.

Ponieważ wszystkie środki komunikacji znajdowały się pod kontrolą państwa, nie mogła spytać Tonga Ov, co powinna zrobić z zebrany materiałem. Nie mogła mu nawet powiedzieć, co znalazła. Problem nie dawał się rozwiązać i rósł coraz bardziej.

Pomiędzy CM znajdowało się zagadnienie, o ile się orientowała, spotykane tylko na Ace: system tajnego znaczenia, zależnego od linii, z których składały się wyrazy-symbole, a także innych linii i kropek, określający ich czas, przypadek, Czynność lub Żywioł (gdyż wszystko, dosłownie wszystko dawało się podciągnąć pod którąś z Czterech Czynności i Pięciu Żywiołów). W ten sposób każdy ideogram starego pisma stawał się szyfrem interpretowanym przez specjalistów, przypominających nieco wróżbitów, których Satti spotykała we własnym kraju. Odkryła, że wielu mieszkańców Okzat-Ozkat, w tym nawet urzędnicy państwowi, nie podejmowała żadnej ważnej czynności, nie zwróciwszy się uprzednio do „czytającego znaki”, który zapisywał ich nazwisko oraz inne ważne słowa, przepuszczał je przez skomplikowane wykresy i diagramy i wreszcie udzielał rady i przepowiedni. „Takie zachowania sprawiają, że zaczynam rozumieć Pełnomocnika”, zwierzyła się noterowi Potem dodała: „Nie. Pełnomocnik właśnie tego chce od własnego CM. Politycznego CM. Oczywiście pod warunkiem, że wszystko będzie pod kontrolą, na swoim miejscu. Ale i on oddał swój los w ręce wyższej siły, tak jak oni”.

Wiele tutejszych praktyk miało na Ziemi swoje odpowiedniki. Ćwiczenia takie jak joga i tai chi, dotyczące ciała i ducha, były dyscypliną przestrzeganą przez całe życie i prowadzącą do wyższej świadomości, transu lub gotowości bojowej, zależnie od zamiarów prowadzącego. Trans był celem samym w sobie, doświadczeniem spokoju i równowagi, raczej nie przypominającym satori czy mistycznych przeżyć. Modlitwa... Zaraz, jak to właściwie jest z tą modlitwą?

Akanie nigdy się nie modlili.

Wydało się jej to tak dziwne, tak nienaturalne, że zaczęła się zastanawiać, czy potrafi określić, czym naprawdę jest modlitwa.

Jeśli prośbą o coś, to Akanie jej nie znali. Nie pozwalali sobie na nią nawet w takim stopniu jak ona. Wiedziała, że jeśli się przestraszy, zawoła „O, Ram!”, a jeśli będzie w rozpacz, wyszepta: „Proszę, proszę”. Słowa te nie miały żadnego znaczenia, a jednak były rodzajem modlitwy. Na Ace nigdy się nie spotkała z czymś podobnym: Tutaj ludzie potrafili wyrażać dobre życzenia: „Obyś miał dobry rok, oby twoje interesy szły dobrze”, a także przeklinali: „Oby twoi synowie jedli kamienie”, jak mruknął Diodi, mężczyzna na wózku, na widok urzędnika w niebiesko-brązowym mundurze. Ale były to życzenia, nie modlitwy. Akanie nie prosili boga, by im sprzyjał czy pognębił ich wrogów. Nie prosili bóstwa o wygraną na loterii lub wyleczenie chorego dziecka. Nie prosili chmur, by dały im deszcz, czy ziarna, by rosło. Wypowiadali życzenia, wyrażali nadzieję, ale się nie modlili.

A może...? Jeśli modlitwa jest pochwałą? Zaczęła rozumieć nawet ich opisy naturalnych zjawisk, spis leków Użyźniacza, mapy gwiazd, spisy kruszców i minerałów, zachwyty nad różnorodnością i wyjątkowością, bogactwem i urodą tego świata, uczestnictwo w pełni życia. Opisywali, nazywali, opowiadali o wszystkim. Ale o nic się nie modlili.

I nie poświęcali niczego. Oprócz pieniędzy.

Aby zyskać pieniądze, należało je najpierw oddać: od tej zasady nie było odwołania. Przed każdym przedsięwzięciem finansowym zakopywano srebrne i miedziane monety, rzucano je do rzeki lub oddawano żebrakom. Przekuwano złote monety na koronkowe, przezroczyste liście, którymi dekorowano nisze, kolumny, nawet całe ściany. Czasem robiono z nich cienkie złote nici i tkano z nich olśniewające szale i szarfy, które dawano w dniu Nowego Roku. Złote i srebrne monety trafiały się rzadko, gdyż Korporacja, pełna odrazy do takiego marnotrawstwa, operowała głównie banknotami. A zatem ludzie palili papierowe pieniądze jak kadzidło, robili z nich łódeczki i puszczały rzeką, siekali i zjadali z sałatką. Sam zwyczaj był czystym CM, ale Satti wydał się zachwycający. Podrzynanie gardeł kozom czy synom pierwotnym dla zjednania sobie Mocy robiło wrażenie najgorszej perwersji, ale w poświęcaniu pieniędzy dostrzegła pewien urok. Łatwo przyszło, łatwo poszło. Kiedy w dniu Nowego Roku spotykano przyjaciela lub zna-

jomego, zapalano banknot i machano nim jak małą pochodnią, życząc sobie nawzajem zdrowia i dostatku. Widziała nawet, że robili to korporacyjni pracownicy. Była ciekawa, czy Pełnomocnik także.

Ludzie naiwni, których poznała na opowiadaniach i w klasach, a także Diodi oraz inni przyjaźni mieszkańcy ulicy wierzyli w czytanie znaków i alchemiczne cuda, w kółko mówili o diecie zapewniającej wieczne życie, ćwiczeniach, dzięki którym starożytni bohaterzy zyskali dość siły, by pokonać całe armie. Nawet Iziezi upierała się przy czytaniu znaków. Ale maz, uczeni, nauczyciele nie przypisywali sobie żadnej szczególnej mocy czy osiągnięć. Twardo i nieustępliwie stali na ziemi. „Żadnych cudów!” — zapisała Satti tryumfalnie.

Zakodowała notatki, ubrała się w kozuch i wysokie buty i ruszyła przez lodowaty wczesnowiosenny wiatr na gimnastyczne zajęcia Maz Odiedina Manma. Po raz pierwszy od wielu tygodni widać było Silong, nie ścianę, lecz tylko wierzchołek, wystający jak srebrny pazur ponad sinymi burzowymi chmurami.

Satti chodziła regularnie na ćwiczenia w towarzystwie Iziezi. Często zostawała dłużej, by popatrzeć, jak Akidan i inni młodzi wykonują „dwa-jeden”, rodzaj gimnastyki pełnej efektownych zwodów i upadków. Odiedin Manma, opowiadacz dziwnej historii o młodzieńcu, który snił o lataniu, cieszył się wielkim podziwem młodych. To właśnie oni zaprowadzili ją do niego. Prowadził surowe w formie, bardzo piękne medytacje. Zaprosił ją do uczestnictwa w swoich zajęciach.

Grupa spotykała się w starym magazynie nad rzeką, o wiele bardziej niebezpiecznym niż była świątynia — obecne liceum, do której chodziła z Iziezi i w której odbywały się legalne zajęcia, zalecane przez rząd i służące jako przykrywka dla właściwych sesji. Magazyn tonął w mroku. Światło wpadało jedynie przez brudne wąskie okna tuż pod okapem dachu. Nikt się nie odzywał, chyba że najcichszym szeptem. Dlatego to, co się tam wydarzyło, wydawało się Satti nieprawdopodobne i, do czego doszła po jakimś czasie, nie do udowodnienia.

Tego ranka naprzeciw niej siedział mężczyzna, który wbił w nią wzrok natychmiast, gdy zajęła miejsce na macie. Patrzył na nią uporczywie przez całą pierwszą część gimnastyki. Mrugał do niej, szczyrzył zęby, machał rękami. Nikt tak jej dotąd nie potraktował. Była coraz bardziej rozdrażniona i zawstydzona, aż wreszcie, podczas długiej figury, zerknęła na niego i zorientowała się, że jest niespełna rozumu.

Grupa przystąpiła do zestawu ćwiczeń, których jeszcze nie znała. Obserwowała ich i naśladowała najlepiej, jak umiała. Jej pomyłki i niedokładności zdenerwowały mężczyznę obok niej. Usiłował jej pokazać, kiedy i jak powinna się ruszać, demonstrował gesty z przesadną wyrazistością. Wszyscy wstali, ale ona dalej siedziała, co zawsze było dopuszczalne, lecz bardzo zaniepokoiło biedaka. Poruszył ręką, dając jej znak, żeby się podniosła. Poruszył bezgłośnie ustami, mówiąc: „Wstań!”. Znowu wskazał w górę.

Wreszcie szepnął:

— Wstań! O, tak... rozumiesz?

I zrobił krok w powietrze. Postawił stopę na niewidzialnym schodku, dostawił do niej drugą. W ten sam sposób wszedł na drugi stopień. Stał bosy jakieś pół metra nad podłogą, spoglądał na nią z góry, uśmiechał się niespokojnie i ponaglał ją gestami do wstania. Unosił się w powietrzu.

Odiedin, szczupły pięćdziesięcioletni mężczyzna ze skrawkiem niebieskiego materiału na ramionach, podszedł do niego szybkim krokiem. Inni spokojnie wykonywali zestaw ćwiczeń, chwiejąc się na boki jak las wodorostów.

— Zejdź, Uki — szepnął Odiedin, wyciągnął rękę i pomógł mężczyźnie zejść po dwóch nieistniejących schodkach na podłogę. Poklepał go delikatnie po ramieniu i poszedł dalej. Uki podjął znowu ćwiczenia, gnąc się i obracając z nieskazitelną gracją i energią. Najwyraźniej już zapomniał o Satti.

Po zajęciach nie miała odwagi zadać Odiedinowi tego pytania. Zresztą jak miało brzmieć? „Widziałeś to samo co ja? Czyja to widziałam?”. Głupio. Coś takiego nie mogło się zdarzyć, a wtedy maz odpowiedziałby pytaniem. A może nie spytała go ze strachu, że odpowie: „tak”.

Skoro mim potrafi zakłąć powietrze w kształt klatki, jeśli fakir umie się wspinać po linie przywiązanej do powietrza, dlaczego biedny wariat nie może chodzić w powietrzu? Jeśli siła duchowa może poruszać góry, to czy nie zdoła stworzyć schodów? Stan półtransu. Hipnoza albo sugestia hipnotyczna. Opisała to wydarzenie w swoich notatkach, bez komentarza. Stopniowo upewniała się, że musiał tam być jakiś schodek, którego nie zauważyła w mroku, ławka, może pomalowana na czarno skrzynka. Oczywiście, coś tam musiało być. Zamilkła, lecz nie dodała nic więcej. Prawie widziała tę ławkę czy skrzynkę. Ale nie do końca.

Za to dokładnie widziała te dwie zniekształcone odciskami, muskularne stopy, wchodzące po niewidzialnej górze. Zastanawiała się, jakie jest w dotyku powietrze, kiedy się po nim chodzi. Chłodne? Sprężyste?

Po tym wydarzeniu uważniej czytała stare opowieści o chodzeniu po wietrze, jeździe na chmurach, podróżach do gwiazd, pokonywaniu wrogich armii uderzeniem pioruna. Takie czyny były przypisywane bohaterom i mądrym maz z dawnych czasów i dalekich krajów, choć wiele z nich było obecnie całkiem możliwe dzięki nowoczesnym technologiom. Nadal uważała, że są to literackie metafory i nie należy ich brać dosłownie. Nie znalazła żadnych wyjaśnień.

Ale zmieniło się coś w jej nastawieniu. Wiedziała, że nadal niczego nie rozumie, a jej ignorancja jest tak wielka i bezbrzeżna, że odbiera jej szansę zrozumienia czegokolwiek.

„Nie widzisz lasu, bo go zasłaniają drzewa, tratatata — burknął głos wujka Hurree.

— Poezja, dziewczyno, poezja. Czytaj Mahabharatę. Tam jest wszystko”.

— Maz Elied — powiedziała. — Czym się zajmujesz?

— Opowiadam, joz Satti.

— Tak. Ale te historie, te wszystkie opowiadania, do czego służą?

— Opowiadają świat.

— Jak to?

— Tym się zajmują ludzie. Do tego są.

Maz Elied, jak wielu innych, mówiła cicho i raczej z wahaniem, robiąc liczne pauzy i zaczynając, kiedy można się było spodziewać, że się już nie odezwie. Milczenie stanowiło część jej w wypowiedzi. Była malutka, kulawa i bardzo pomarszczona. Jej rodzina miała mały sklep z artykułami żelaznymi w najbiedniejszej dzielnicy miasta, gdzie prawie nie było budynków z kamienia i drewna, a ludzie mieszkali w zwykłych namiotach, jurtach i pod kocami przykrytymi plastikiem. W sklepie roiło się od bratanków i siostrzenic maz. Mały brzdąc raczkował po kątach i z zapałem pożerał uszczelki i drobne śrubki. Na ścianie za ladą wisiała bardzo stara dwuwymiarowa fotografia Elied z jej partnerką Oni: Oni Elied ładna, wysoka, o rozmarzonych oczach, Elied Oni malutka, pełna życia, śliczna. Trzydzieści lat temu aresztowano je za zboczenie seksualne i szerzenie wstecznych nauk. Wysłano je do obozu reedukacyjnego na zachodnim wybrzeżu. Oni umarła w nim, Elied wróciła po dziesięciu latach, kulawa, bez zębów; nigdy nie powiedziała, czyje jej wybito, czy straciła je przez szkorbut. Nie mówiła o sobie, żonie, swoim wieku czy troskach. Dni upływały jej w nieodmiennym rytuale dotyczącym wszystkich cielesnych potrzeb i funkcji: przygotowywanie posiłków, sen, nauczanie, ale przede wszystkim czytanie i opowiadanie, ciche, niekończące się powtórki tekstów, których uczyła się przez całe życie.

Początkowo Satti uznała ją za nieludzką, niedostępną i obojętną jak chmura — miejscowa święta, żyjąca całkowicie we własnym świecie, rodzaj automatu bez emocji i charakteru. Bała się jej. Bała się, że ta kobieta, która tak doskonale ucieleśniała system i która oddała mu całe życie, okaże się histeryczką, ofiarą obsesji, despotką nieznoszącą sprzeciwu — wszystkim, czego się bała i czym nie chciała się stać. Ale kiedy zaczęła słuchać jej opowiadań, ukazała się jej kobieta o zdyscyplinowanym, rzeczowym umyśle, choć mówiła o rzeczach niedających się objąć rozumem. Elied mówiła o nich „nierozumne”. Niegdyś, kiedy Satti usiłowała znaleźć myśl łączącą kilka różnych opowiadań, Elied powiedziała:

— To, co robimy, jest nierozumne, joz. — Ale jest w tym mądrość?

— Być może.

— Nie rozumiem zasady. Miejsca, ważnych spraw. Wczoraj opowiadałaś historię o łamanie i Deberren, ale jej nie skończyłaś, a dziś czytałaś opis liści drzew w zagajniku na Złotej Górze. Nie rozumiem, co mają ze sobą wspólnego. Czy chodzi o to, że określony

materiał jest przypisany określonym dniom? A może moje pytania są... głupie?

Elied roześmiała się cicho, wstydlive, ukazując bezzębne dziąsła.

— Nie. — A po chwili namysłu dodała. — Męczy mnie pamiętanie. Dlatego czytam. To nie ma znaczenia. To wszystko liście jednego drzewa.

— Więc... wszystko... wszystko, co jest w książkach, ma taką samą wagę?

Stara maz zastanowiła się poważnie.

— Nie. Tak. — Odetchnęła z trudem. Szybko się męczyła, jeśli nie mogła odpocząć w strumieniu rytualnych zachowań i języka, ale nigdy nie unikała pytań Satti. — To wszystko, co mamy. Rozumiesz? Tak właśnie posiadamy świat. Bez opowiadania nie mamy zupełnie nic. Chwila mija jak woda w rzece. Zginęlibyśmy, gdybyśmy chcieli żyć chwilą. Bylibyśmy jak dzieci. Dzieci to potrafią, ale my byśmy utonęli. Nasze umysły chcą opowiadań, potrzebują ich. Żeby się czegoś uchwycić. W przyszłości nie znajdziemy punktu oparcia. Przyszłość na razie nie istnieje, fak można nią żyć? Więc wszystko, co mamy, to słowa opowiadające, co się stało i staje, co było i jest.

— Pamięć? — odpowiedziała Satti. — Historia?

Elied skinęła głową z powątpiewaniem, nieusatysfakcjonowana tymi określeniami. Przez jakiś czas siedziała w zamyśleniu i wreszcie oznajmiła:

— Nie istniejemy poza światem, joz. Wiesz? Jesteśmy nim. Jesteśmy j ego językiem. Więc żyjemy i on także żyje. Rozumiesz? Jeśli nie wypowiadamy słów, czym jest nasz świat?

Dygotała, dłonie i usta drżały jej w spazmach, które usiłowała ukryć. Satti podziękowała jej gestem góry-serca, przeprosiła za zmęczenie, na które ją naraziła. Elied uśmiechnęła się wstydlivym bezzębnym uśmiechem.

— O, joz, dzięki mówieniu żyję. Tak jak świat.

Satti odeszła i pogрузzyła się w rozmyślaniach. Więc chodzi o język. Zawsze wracała co słów. Tak jak Grecy mieli Logos, Hebrajczycy Słowo, które było Bogiem. A tutaj słowa. Nie Logos, nie Słowo, lecz słowa. Nie jedno, lecz wiele, wiele... Nikt nie stworzył świata, nikt nie rządził światem. Świat był. Był dzięki ludziom, dzięki nim był światem ludzkim. Dzięki językowi? Opowiadaniu, co w nim się wydarza lub wydarzyło? Wszystko, dosłownie wszystko — opowieści o herosach, mapy gwiazd, pieśni miłosne, opis budowy liści... Przez chwilę wydawało się jej, że zrozumiała.

Zwróciła się z tą na wpół sprecyzowaną wiedzą do Maz Ottiar Uming, z którą zawsze rozmawiało się jej lepiej niż z Elied. Usiłowała to ująć w słowa, ale Ottiar była zajęta śpiewaniem, więc Satti zaczęła rozmawiać z Umingiem, lecz jej słowa nagle stały się martwe, zniekształcone. Nie potrafiła wyrazić tego, co podpowiadała jej intuicja.

Kiedy tak usiłowali się nawzajem zrozumieć, Uming Ottiar pokazał się jej z nowej strony. Był to chyba pierwszy raz, kiedy spotkała się z goryczą ze strony tych cichych nauczycieli. Mimo kalectwa mówienie przychodziło mu bez trudu, więc zaczął swobod-

nie, początkowo dość łagodnie:

— Zwierzęta nie mają języka. Mają własną naturę. Rozumiesz? Wiedzą wszystko, wiedzą gdzie iść i jak, idą za swoją naturą. Ale my jesteśmy zwierzętami bez natury. Hm? Zwierzęta bez natury! Jesteśmy dziwni! Musimy mówić o tym, jak chodzić, myśleć o tym, uczyć się, studiować. Hm? Jesteśmy urodzeni, by być rozumni, więc rodziemy się nierozumni. Rozumiesz? Jeśli nikt nie pokaże małemu dziecku, dwu, trzylatkowi, jak szukać drogi, jak wygląda droga, wtedy ono zgubi się w górach, prawda? I umrze w nocy, na zimnie. No. No. — Zakołysał się lekko.

Po drugiej stronie małego pokoiku Maz Ottiar stuknęła w bębenek, mamrocząc długą kronikę dawnych dni sennemu dziesięciolatkowi.

— Więc bez opowiadania kamienie, rośliny i zwierzęta radzą sobie w życiu, ale nie ludzie. Ludzie błędzą. Nie odróżnią góry od jej odbicia w kałuży. Nie odróżnią ścieżki od przepaści. Krzywdzą się. Gniewają się na siebie nawzajem i robią inne rzeczy. Krzywdzą w gniewie zwierzęta. Kłócą się i oszukują. Zbyt wiele pragną. Zaniedbują obowiązki. Nie sieją. Sieją zbyt dużo. Zanieczyszczają łajnem rzeki. Poją ziemię trucizną. Ludzie jedzą zatrutą żywność. Wszystko idzie na opak. Wszyscy są chorzy. Nikt się nie opiekuje chorymi ludźmi, chorymi rzeczami. Ale to bardzo źle, bardzo źle, hm? Ponieważ powinniśmy się opiekować różnymi stworzeniami, to nasze zadanie. Opiekować się stworzeniami, opiekować się sobą nawzajem. Kto to zrobi, jeśli nie my? Drzewa? Rzeki? Zwierzęta? One są, czym są. Ale my jesteśmy i musimy się nauczyć, jak tu być, jak robić różne rzeczy, jak sprawiać, żeby wszystko szło swoim torem. Reszta świata wie, co do niej należy. Zna Jeden i Milion, Drzewo i Liście. Ale my potrafimy tylko nauczać. Jak się uczyć, jak mówić, jak opowiadać świat. Jeśli nie będziemy go opowiadać, nie zrozumiemy go. Zgubimy się w nim, umrzemy. Musimy go opowiedzieć jak należy, opowiedzieć go prawdziwie. Hm? Zająć się nim i opowiedzieć prawdziwie. To właśnie się zepsuło. Tam w dole, w Dowzie, kiedy zaczęli kłamać. Ci fałszywi maz, ci munan, ci wielcy maz. Opowiadali ludziom, że nikt oprócz nich nie zna prawdy, nikt oprócz nich nie może mówić, wszyscy muszą powtarzać te same kłamstwa. Zdrajcy, lichwiarze! Sprowadzili ludzi na manowce dla pieniędzy! Wzbogacili się na kłamstwach, ci uzurpatorzy! Nic dziwnego, że świat stanął w miejscu! Nic dziwnego, że policja nami rządzi.

Staruszek poczerwieniał i potrząsał zdrową ręką, jakby trzymał w niej kij. Jego żona wstała, podeszła do niego, włożyła mu w ręce bębenek i pałeczkę, ani na chwilę nie przerywając brzęczącej recytacji. Uming zagryzł wargę, pokręcił głową, fuknął z irytacją, mocno uderzył w bębenek i podjął recytację od następnej linijki.

— Przepraszam — powiedziała Satti, którą Ottiar odprowadziła do drzwi. — Nie chciałam zdenerwować Maz Uminga.

— Och, nie szkodzi. Wszystko to się wydarzyło, zanim się urodziłam/urodziliśmy. W Dowzie.

— Nie należeliście do Dowzy?

— My tutaj jesteśmy przeważnie Rangma. Moi/nasi dziadkowie mówili w języku rangma. Nie znali dowzańskiego, dopóki nie zjawiała się korporacyjna policja i nie nakażała wszystkim się uczyć. Nie lubili go! Starali się mówić z okropnym akcentem.

Uśmiechnęła się wesoło, więc Satti odpowiedziała tym samym, ale odeszła, gubiąc się w domysłach. Tyrada przeciwko „uzurpatorom” dotyczyła okresu sprzed rządów Dowzańskiej Korporacji, sprzed przybycia policji, prawdopodobnie nawet sprzed przybycia pierwszych Obserwatorów z Ekumenu. Nagle uświadomiła sobie, że te setki historii i opowieści, które słyszała, dotyczyły wydarzeń z całej Aki z wyjątkiem Dowzy i wszystkie rozgrywały się w dawnych czasach. Żadna nie opowiadała o przyjeździe pozaświatowców, powstaniu Korporacji Państw czy jakimkolwiek wydarzeniu z ostatnich siedemdziesięciu lat.

— Iziezi — powiedziała Satti tego samego wieczora. — Kim byli wielcy maz?

Pomagała swojej gospodyni obierać pewien rodzaj grzyba, który właśnie dojrzał wysoko w górach, gdzie topniał śnieg, na skraju rozmarzającej skorupy lodu. Nazywał się demiedi, powitanie-wiosny, smakował jak śnieg i dobrze pasował do pieprznych pędów banamu i tłustej ryby, dzięki czemu soki pozostawały klarowne, a serce lekkie. Wielu rzeczy tego świata nawet nie zaczęła pojmwować, ale nauczyła się kiedy, dlaczego i jak przyrządzać potrawy.

— Och, to było dawno. W Dowzie, kiedy zaczęli się rządzić.

— Sto lat temu?

— Może i tak dawno.

— Kim jest „policja”?

— Och, wiesz. Niebiesko-brązowi.

— Tylko oni?

— Zdaje się, że wszystkich ich nazywamy policją. Wszystkich stamtąd. Dowzan... Najpierw aresztowali głównego maz. Potem zaczęli aresztować wszystkich maz. Kiedy wysłali żołnierzy, żeby pojmać wszystkich ludzi w naszym umjazu, nazwaliśmy ich policją. Skuyen to też policja. A przynajmniej mówi się, że pracują dla policji.

— Kto to są skuyen?

— Ludzie, którzy donoszą Dowzanom o nielegalnych rzeczach. Książkach, opowiadaniach, wszystkim... Za pieniądze. Albo z nienawiści. — Przy ostatnich słowach jej łagodny głos zmienił brzmienie. Twarz znowu ściągnęła się w grymasie bólu.

Książki, opowiadania, wszystko. To, co gotujesz. Z kim się kochasz. Jak piszesz słowo „drzewo”. Wszystko.

Nic dziwnego, że system jest niespójny, fragmentaryczny. Nic dziwnego, że świat Uminga stanął w miejscu. Dziwne, że w ogóle coś pozostało.

Następnego ranka, jakby jej rozmyślenia przywołały go z niebytu, Pełnomocnik mi-

nał ją na ulicy. Nie spojrział w jej stronę.

Parę dni później wybrała się z wizytą do Maz Soty Ang. Jego sklep był zamknięty. Po raz pierwszy, odkąd tu przybyła. Zagadnęła sąsiada zamiatającego schodki przed domem, czy sklepikarz wkrótce wróci.

— Zdaje się, że ten producent-konsument wyjechał — odparł bez zainteresowania.

Elied pożyczyła jej przepiękną starą książkę — pożyczyła lub dała, Satti nie była tego pewna. „Zatrzymaj ją, u ciebie jest bezpieczna”, powiedziała. Była to stara antologia wierszy ze Wschodnich Wysp, niewyczerpany skarb. Satti zajęła się nią bez reszty, studiując ją i przenosząc jej treść do notera. Po paru dniach znowu wybrała się z wizytą do Użyźniacza. Wspinała się stromą uliczką, której bruk lśnił oślepiająco w blasku słońca. Wiosna pojawiła się na podgórzu późno, lecz wybuchła gwałtownie. Powietrze skrzyło się brylantowo od słonecznych promieni.

Satti minęła sklep i nie poznała go.

Parę metrów dalej stanęła, zdezorientowana, wróciła, znalazła sklep. Cały front był zamalowany na biało, ślepa biała ściana. Wszystkie znaki, wyraźne symbole, wszystkie stare słowa zniknęły. Uciszone. Śnieg... Drzwi były uchylone. Zajrzała do środka. Lady poprzewracane, dziesiątki małych szufladek wyrwane z szafy. Pokój stał pusty, brudny, zrujnowany. Ściany, na których widziała żywe słowa, słowa które oddychały, zostały zasmarowane brązową farbą.

„Podwójnie rozwidlone drzewo błyskawicy...”

Kiedy opuszczała sklep, sąsiad znowu wyjrzał. Zamiatał schodki. Chciała się do niego odezwać, ale zmieniła zdanie. Skuyen? Skąd mogła wiedzieć?

Ruszyła z powrotem do domu, a potem, widząc rzekę migoczącą w dole ulicy, zawróciła i wyszła z miasta drogą prowadzącą wzdłuż brzegu. Niegdyś przemierzała tę ścieżkę, dawno, dawno temu, wczesną jesienią, kiedy czekała, aż Poseł wezwie ją do miasta.

Szła wzdłuż brzegu rzeki, za krzakami, które wypuszczały świeże listki, i skarłymi drzewami. Ereha, pełna topniejącego lodu, miała kolor mleczno-błękitny. W rozpadlinach drogi chrupał lód, ale słońce paliło Satti w kark i plecy. Usta nadal miała suche od wstrząsu. Bolało ją gardło.

Wracać do miasta. Powinna wrócić do miasta. Natychmiast. Z trzema kryształami i noterem pełnym tekstów, pełnym poezji. Oddać wszystko Tongowi Ov, zanim Pełnomocnik położy na tym łapy.

Nie mogła wysłać swego kłopotliwego bagażu. Musiała zabrać go ze sobą. Ale na podróż musiała dostać pozwolenie. O, Ram! Gdzie jej ZIL? Nie nosiła go od miesięcy. Nikt tu nie używał ZIL-ów, chyba że pracował dla Korporacji albo wybierał się do urzędu. Bransoletka leżała w jej walizce, w pokoju. Satti musiała skorzystać z telefonu na Dock Street, posługując się przy tym ZIL-em, by połączyć się z Tongiem i poprosić o zezwolenie na przyjazd do miasta.

Samolotem. Popłynąć łodzią do Etlit i tam wsiąść na pokład samolotu. Zrobić to wszystko oficjalnie, otwarcie, żeby wszyscy wiedzieli i nie mogli jej powstrzymać, zwieść w jakiś sposób. Skonfiskować jej nagrania. Gdzie jest Maz Soty? Co z nim zrobili? Czy to przez nią?

Teraz nie mogła o tym myśleć. Musiała uratować to, co od niego dostała. Od niego, Ottiar, Uminga, Odiedina, Elied i Iziezi, kochanej Iziezi... Nie, teraz nie mogła o tym myśleć.

Odwróciła się, pospiesznie wróciła do miasteczka, znalazła bransoletkę, wróciła na Dock Street i poprosiła o połączenie z Posłem Tongiem Ov w Biurze Ekumenicznym w Dowza City.

Dowzańska sekretarka odebrała telefon i oznajmiła wyniośle, że Poseł jest na zebraniu.

— Muszę z nim mówić, natychmiast — warknęła Satti i nie zdziwiła się, kiedy sekretarka natychmiast powiedziała pokornie, że już go woła.

Po chwili w słuchawce rozległ się głos Tonga.

— Panie pośle — odezwała się Satti w języku hainisz, dziwnie brzmiącym w jej ustach. — Tak dawno nie mieliśmy ze sobą kontaktu, że poczułam, iż pora porozmawiać.

— Rozumiem — odparł Tong i dodał jeszcze parę słów bez większego znaczenia, podczas gdy ona usiłowała znaleźć jakiś sposób, by przekazać mu wiadomość. Gdybyż tylko znał któryś z jej języków, gdybyż znała jego język! Lecz oboje mówili jedynie w hainisz i języku dowzańskim.

— Ale ogólnie nic się nie dzieje? — spytał.

— Nie, nic szczególnego. Chciałabym jednak przywieźć materiał, który zgromadziłam. Notatki z codziennego życia w Okzat-Ozkat.

— Miałem nadzieję, że zdołam przyjechać, lecz zdaje się, że na razie istnieją ku temu przeszkody. Skoro okno jest tak wąskie, szkoda zasłaniać żaluzje. Ale wiem, że kochasz Dowza City. Jestem pewien, że nie znalazłaś tam nic ciekawego. Więc skoro zadanie skończone, wracaj do nas, do miasta, które ci bardziej odpowiada.

Satti zająknęła się parę razy, zanim wreszcie wykrztusiła: — Jak wiadomo, jest tu bardzo... Korporacja Państw posiada bardzo jednolitą kulturę, bardzo silną i całkowicie kontrolowaną, bardzo skutecznie kontrolowaną. Tak, tak, wszystko tutaj jest zupełnie takie samo jak w Dowza City. Ale może zostaną tu jeszcze jakiś czas i skończę... skończę nagrania? Nie są zbyt interesujące.

— Nasi gospodarze, jak wiadomo, dzielą się z nami wszystkimi informacjami, a my rewanżujemy się im tym samym. Dostajemy tu mnóstwo świeżego materiału, bardzo pouczającego i inspirującego. Więc to, co tam robisz, właściwie nie jest aż tak istotne. O nic się nie martw. Oczywiście ja też się o ciebie nie martwię. I nie ma takiej potrze-

by. Prawda?

— Nie, tak, oczywiście, że nie ma. Naprawdę.

Opuściła urząd telefoniczny, pokazała ZIL przy wyjściu i pospieszyła do pensjonatu, swojego domu. Wydawało się jej, że rozumie enigmatyczne słowa Tonga, lecz teraz nie potrafiła ich odtworzyć. Miała wrażenie, że usiłował jej powiedzieć, żeby została na miejscu, nie przywoziła z sobą tego, co zebrała, ponieważ będzie musiał to pokazać urzędnikom, którzy to skonfiskują. Tak się jej wydawało, ale nie była pewna. Może naprawdę chciał powiedzieć, że jej zadanie nie jest ważne. Może dawał jej do zrozumienia, że nie może jej pomóc.

Przygotowując obiad wraz z Iziezi, nabrała pewności, że spanikowała, niesłusznie niepokoiła Tonga, ściągając w ten sposób uwagę na siebie i swoich przyjaciół. Czuła, że musi być ostrożna, więc nie wspomniała o zbezczeszczonym sklepie. Iziezi znała Maz Soty Ang od lat, ale także nie wspomniała o nim ani słowem. Nie dała po sobie poznać, że coś się stało. Pokazała Satti, jak należy kroić świeżą numiem, cienko i ukośnie, by wydobyć bogactwo smaku.

Był to wieczór, w który nauczała Elied. Po posiłku z Akidanem i Iziezi Satti wyszła samotnie w dół ulicy Rzeczej do biednej dzielnicy, miasta jur, gdzie Korporacja nie przyniosła elektrycznego kagańca oświaty i w ciemnościach migotały tylko słabe płomyki lamp naftowych w szałasach i namiotach. Wiało chłodem, ale nie było to przenikliwe, mordercze zimno zimy. Wilgotny, pachnący wiosną chłód, pełen nowego życia. Satti czuła, że serce jej ciąży, gdy zbliżała się do sklepu Elied; czy i on jest zamalowany wapnem, wypatroszony, zrujnowany, zgwałcony...

Mały uszczelkojad wrzeszczał wniebogłosy, ponieważ ktoś go oderwał od śrubokręta; siostrzeńcy i siostrzenice Elied uśmiechnęły się do Satti, gdy szła do pokoju na zaplecze. Zjawiła się zbyt wcześnie. W pokoju nie było nikogo z wyjątkiem maz i cichego chłopca, ustawiającego krzesła.

— Maz Elied Oni, czy wiesz, że Maz Soty Ang... zielarz... jego sklep... — wybuchnęła Satti.

— Tak — odparła stara kobieta. — Teraz mieszka z córką.

— Ale sklep... herbarium...

— Przepadło.

— Ale...

Bolało ją gardło. Siłą powstrzymywała łzy wściekłości i oburzenia, które napłynęły jej do oczu w obecności tej kobiety mogącej być jej babką, będącej jej babką.

— To przeze mnie.

— Nie. Nie zawiniłaś. Soty Ang nie zawinił. Nikt nie zawinił. Rzeczy potoczyły się źle. Nie zawsze można czynić dobrze, kiedy jest trudno.

Satti zamilkła. Rozejrzała się po małym pomieszczeniu o wysokim suficie, z czer-

wonym dywanem niemal niewidocznym pod krzesłami i poduszkami. Wszystko białe, czyste; bukiet papierowych kwiatów w brzydkim wazonie na niskim stoliku. Chłopiec delikatnie poprawiający poduszki do siedzenia. Stara, bardzo stara kobieta, ostrożnie, boleśnie siadająca na cienkiej poduszce przy stole. Na stole książka. Pożółkła, za-czytana.

— Wydaje mi się, joz Satti, że było całkiem inaczej. Zeszłego lata Soty powiedział nam, że jego sąsiad chyba poinformował policję o jego herbarium. Potem przybyłaś ty i nic się nie wydarzyło.

Satti usiłowała zrozumieć, co mówi do niej maz.

— Byłam ochroną?

— Tak sądzę.

— Ponieważ nie chcieli, żebym zobaczyła... co robią? Ale dlaczego... czemu teraz...

Elied wyprostowała chude ramiona.

— Oni nie uczą się cierpliwości.

— Więc powinnam tu zostać — powiedziała Satti powoli, usiłując zrozumieć. — Myślałam, że będzie dla was lepiej, jeśli odejdę.

— Sądzę, że mogłabyś pójść na Silong.

Nie potrafiła myśleć jasno. Gardło ją bolało.

— Na Silong?

— Jest tam ostatnie umjazu. — Po chwili namysłu maz dodała skrupulatnie: — Ostatnie, o którym mi wiadomo. Może na wschodzie zostały jeszcze inne, na Wyspach. Ale tu, na zachodzie powiadają, że Łono Silong jest ostatnie. Wysiano tam wiele, wiele książek. Dawno temu. Z pewnością jest tam wielka biblioteka. Nie taka jak Złota Góra, nie jak Czerwone Umjazu, nie jak Atangen. Ale to, co ocalono, przeważnie wysiano tam.

Spojrzała na Satti, przekrzywiając głowę na bok, mały stary ptak o przenikliwych oczach. Zakończyła ostrożne osuwanie się na poduszkę i ułożyła fałdy czarnej wełnianej kamizelki, ptak muskający pióra.

— Chcesz nauczyć się opowiadania, wiem o tym. Powinnaś tam pojechać. Tutaj nie ma prawie nic. Resztki, szczątki. To, co mam ja, co ma paru maz, niewiele. Zawsze mniej. Idź na Silong, córko Satti. Może znajdziesz swoją drugą połowę. Zostaniecie maz. Hm? — Jej twarz zmarszczyła się w nagłym, zachwycającym uśmiechu, bezzębnym i promiennym. Kobieta zatrzęsała się ze śmiechu. — Idź na Silong.

Zaczęli schodzić się ludzie. Elied położyła dłonie na podolku i zanuciła cicho; „Dwa z jednego, jeden z dwu... Zrodzony na wybrzeżach światła milion, który zginie w ciemnościach i powróci...”

6

Satti zwróciła się o radę do Odiedina Manma. Mimo enigmatycznych opowiadań, mimo niewiarygodnego wydarzenia podczas zajęć nie mogła nie zauważyć, że spomiędzy wszystkich maz jest najbardziej bywały w świecie i zorientowany w polityce. A ona potrzebowała praktycznych wskazówek. Doczekała do końca jego zajęć i poprosiła o rozmowę.

— Czy Maz Elied chce, żebym tam poszła, do tego umjazu, ponieważ myśli, że je ocalę dzięki mojej obecności? Wydaje mi się, że to nie tak. Wydaje mi się, że... niebiesko-brązowi ciągle mnie śledzą. To tajne miejsce, ukryte, prawda? Jeśli tam pójde, mogą za mną trafić. Mają najróżniejsze przyrządy namierzające...

Odiedin uniósł dłoń, łagodnie, lecz się nie uśmiechał.

— Nie sądzę, żeby się śledzili, joz. Mają rozkazy z Dowzy, żeby cię zostawić w spokoju. Nie chodzić, nie obserwować.

— Jesteś pewny?

Skinął głową.

Uwierzyła mu. Pamiętała o niewidzialnej sieci, którą wyczuła w pierwszych dniach swojego pobytu. Odiedin był jednym z pajaków.

— Poza tym drogę na Silong niełatwo znaleźć. A ty możesz wyjechać bardzo cicho. — Skubnął zębami wargę. Na jego ciemnej, surowej twarzy pojawił się cień uśmiechu, bardzo piękny. — Jeśli Maz Elied zaproponowała, żebyś tam poszła, a i ty tego chcesz, chciałbym wskazać ci drogę.

— Naprawdę?

— Byłem raz na Łonie Silong. Miałem dwanaście lat. Moi rodzice byli maz. To były złe czasy. Palono książki. Mnóstwo policji. Mnóstwo zniszczeń. Aresztowania. Strach. Więc wyjechaliśmy z Okzat, poszliśmy w góry, do górskich miast. A w lecie poszliśmy dalej, wokół Zubuam, na łono Matki... Chciałbym tam pójść jeszcze raz, zanim umrę, joz.

Satti starała się nie zwracać na siebie uwagi, nie zostawiać „śladów stóp w pyłe”

— Powiadomiła Tonga, że przez następne miesiące nie zamierza zajmować się niczym specjalnym, może najwyżej pozwoli sobie na rekreacyjne wycieczki w góry. Nie rozmawiała z żadnym ze znajomych, przyjaciół, nauczycieli z wyjątkiem Elied i Odiedina. Bała się o kryształ — teraz było ich już cztery, gdyż znowu oczyściła noter. Nie mogła ich zostawić w domu Iziezi, gdzie niebiesko-brązowi szukaliby ich w pierwszej kolejności. Usiłowała rozstrzygnąć, czy ma je zakopać i jak to zrobić, żeby nikt jej nie zobaczył, kiedy Ottiar i Uming powiedzieli od niechcenia, że ponieważ policja ostatnio się ożywiła, na jakiś czas umieszczą mandale w bezpiecznym miejscu, więc jeśli Satti ma coś do schowania... Ta intuicja zdumiała ją w pierwszej chwili; dopiero potem uświadomiła sobie, że maz także należą do sieci, a przez całe życie nauczyli się ukrywać wszystko, co miało dla nich jakieś znaczenie. Dała im kryształ. Powiedzieli jej, gdzie się znajduje owo bezpieczne miejsce.

— Na wszelki wypadek — wyjaśniła Ottiar łagodnie.

Satti powiedziała im o Tongu Ov i co mu mają przekazać, także na wszelki wypadek. Przy rozstaniu uścisnęli się serdecznie.

Wreszcie powiadomiła Iziezi o długiej wycieczce w góry.

— Akidan z tobą idzie — oznajmiła gospodyni z wesołym uśmiechem.

Były w domu same; jej siostrzeniec wyszedł z kolegami. Jadły wspólnie kolację przy stole w nieskazitelnie czystej kuchni. Była to „noc małego święta”: parę niewielkich dań, delikatnie intensywnych w smaku, otaczało kopczyk kremowego tuzi. Na jego widok Satti przypomniała sobie potrawy z odległego dzieciństwa.

— Smakowałyby ci ryż basmati — powiedziała. Potem dotarł do niej sens słów przyjaciółki. — W góry? Ale... Możemy długo nie wrócić...

— On tam już był, parę razy. Tego lata kończy siedemnaście lat.

— Ale jak sobie poradzisz? — Akidan załatwiał wszystkie sprawy, zakupy, zamiatał i sprzątał, dźwigał ciężary, pomagał się jej podnieść, kiedy źle postawiła kulę i upadła.

— Zamieszka ze mną córka mojej kuzynki.

— Mizi? Ona ma sześć lat!

— Jest bardzo pomocna.

— Iziezi, to chyba kiepski pomysł. Może mnie nie być bardzo długo. Mogę nawet zostać na zimę w jakiejś górskiej wsi.

— Kochana Satti, nie jesteś odpowiedzialna za Ki. Maz Odiedin Manma kazał mu iść ze sobą. Podróż na Łono Silong w towarzystwie nauczyciela to jego największe marzenie. Ki chce być maz. Oczywiście musi jeszcze dorosnąć i znaleźć swoją drugą połowę. Może to właśnie zaprzęta mu głowę. — Uśmiechnęła się słabo, bez radości. — Jego rodzice byli maz.

— Twoja siostra...?

— Nazywała się Maz Ariezi Meneng. — Iziezi użyła zakazanej formy czasownika,

„nazywała/ nazywał/ nazywali się”. Jej twarz ściągnęła się w maskę bólu. — Byli młodzi — dodała. Długa chwila milczenia. — Ojciec Ki, Meneng Ariezi... wszyscy go kochali. Był jak dawni herosi, jak Penan Teran, taki przystojny i dzielny.... Sądził, że bycie maz ochroni go jak zbroja. Wierzył, że nic nie zdoła jej/jego/ich skrzywdzić. Tak było przez jakiś czas. Mniej więcej przez trzy, cztery lata wszystko wyglądało tak jak dawniej. Nie aresztowali nikogo. Nie było już band młodych ludzi, wybijających okna, malujących wszystko na biało, krzyczących... Życie się uspokoiło. Policja nie zaglądała do nas często. Myśleliśmy... myśleliśmy, że już po wszystkim, że wróciło do normy... A potem nagle się od nich zaroilo. Tacy byli. Wpadali znienacka. Powiedzieli, że w mieście, rozumiesz, zbyt wielu ludzi łamie prawo, czyta, opowiada... Powiedzieli, że je oczyszczą. Zapłacili skuyen, żeby donosili. Wiem, którzy wzięli pieniądze. — Miała ściągniętą, twardą twarz. — Aresztowano wiele osób. Moją siostrę i jej męża. Zawieźli ich do Erriak. To daleko stąd, w dole. Może to wyspa. Tak, wyspa na morzu. Centrum Rehabilitacji. Po pięciu latach dowiedzieliśmy się, że Ariezi nie żyje. Powiadomili nas. Nie wiemy, co się stało z Menengiem Ariezi. Może nadal żyje.

— Kiedy to...

— Dwanaście lat temu.

— Ki miał cztery lata?

— Prawie pięć. Trochę ich pamięta. Pomagam mu nie zapomnieć. Opowiadam o nich.

Przez chwilę Satti siedziała w milczeniu. Sprzątnęła naczynia ze stołu, wróciła, usiadła.

— Iziezi, jesteś moją przyjaciółką. On jest twoim dzieckiem. Jednak jestem za niego odpowiedzialna. To może być niebezpieczne. Oni mogą nas śledzić.

— Nikt nie idzie na Górę za ludźmi Góry, kochana Satti.

Wszyscy oni mieli tę samą niezłomną, spokojną pewność, kiedy mówili o górach. Nie ma się czego bać. Może musieli tak myśleć, żeby w ogóle jakoś żyć.

Satti kupiła lekki jak piórko, bajecznie ciepły śpiwór dla siebie i drugi dla Akidana. Iziezi protestowała pro forma, ale Akidan przyjął prezent z zachwytem. Cieszył się jak dziecko i do wyjazdu spał tylko w śpiworze, opływając potem.

Satti znowu wyjęła wysokie buty i kozuch, spakowała plecak i wczesnym rankiem wyznaczonego dnia wyruszyła z Akidanem na miejsce spotkania. Była późna wiosna, prawie lato. W zmroku przedświtu uliczki nurzały się w błękicie, ale na północnym zachodzie wielka skalna ściana była już oświetlona słonecznymi promieniami, a szczyt siał oślepiające blaski. Więc jednak, więc jednak, pomyślała Satti i spojrzała pod stopy, żeby sprawdzić, czy stąpa po ziemi, czy po powietrzu.

Potężne zbocza wznosiły się ku zwisającym płatom lodowców i jasności ukrytych lo-

dowych pól. Ósmioosobowa grupka szła gęsiego, tak maleńka pomiędzy górskimi tytunami, że wydawała się dreptać w miejscu. Wysoko nad nimi krążyły dwa geyma, długoskrzydłe padlinożerne ptaki, żyjące wyłącznie w wysokich górach i fruujące zawsze parami.

Wyruszyło ich sześcioro: Satti, Odiedin, Akidan, młoda kobieta imieniem Kieri oraz para maz w okolicach trzydziestki, Tobadan i Siez. Po czterech dniach w pewnej górskiej wiosce dołączyli do nich dwaj przewodnicy, nieśmiali, łagodni mężczyźni o ogorzałych twarzach i trudnym do określenia wieku — pomiędzy trzydziestką i siedemdziesiątką. Nazywali się Ieyu i Long.

Wędrowali po falistych wzgórzach przez tydzień, zanim dotarli do tego, co tutejsi nazywali górami. Wtedy zaczęli się wspinać. I wspinali się uparcie, monotennie, przez jedenaście dni.

Świetlista ściana Silong nie przybliżyła się ani na centymetr. Parę pomniejszych gór na północy, sięgających może pięciu tysięcy metrów, jakby zmieniło miejsce i trochę się skurczyło. Przewodnicy i troje maz, uczeni zapamiętywania szczegółów i liczb, potrafili wymienić nazwy i wysokości wszystkich szczytów. Ich miarą wysokości był pieng; Satti przypominała sobie, że piętnaście tysięcy pieng równało się pięciu tysiącom metrów, ale ponieważ nie była tego całkowicie pewna, nie starała się przeliczać. Podobało się jej słuchanie o tych wielkich wysokościach, ale nie zamierzała ich zapamiętywać, podobnie jak nazw gór i przełęczy. Przed wyruszeniem postanowiła, że nigdy nie spyta, gdzie się znajdują, dokąd idą ani ile jeszcze drogi im zostało. Udało się jej dotrzymać tego postanowienia tym łatwiej, że otoczono ją opieką jak dziecko.

Z okolicy zniknęły ścieżki, jakie spotykało się w pobliżu wiosek, ale mieli mapy, opisujące drogę za pomocą obrazów: „kiedy północna skarpa Mień osunie się za Uszy Taziu...”. Odiedin wraz z parą maz i przewodnikami ślęczeli nad nimi co wieczór. Satti przysłuchiwała się poetyckim frazom. Nie spytała o nazwy maleńkich wioseczek, które mijali. Gdyby Korporacja albo nawet Ekumen zażądały od niej opisu drogi na Łono Silong, mogłaby powiedzieć z czystym sumieniem, że jej nie zna.

Nie znała nawet celu ich wędrowki. Góra, Silong, Łono Silong, Korzeń, Wysokie Umjazu, nazywano go wszystkimi tymi słowami. Być może istniało parę celów. Nie miała pojęcia. Powstrzymywała ciekawość, potrzebę nauczenia się wszystkich słów. Żyła pomiędzy ludźmi, dla których najwyższym celem było opisywanie świata słowami i którym zamknięto usta. Tutaj, w tej ciszy, gdzie wreszcie mogli przemówić, chciała się nauczyć ich słuchać. Nie pytać, tylko słuchać. Podzielili się z nią słodyczą zwykłego, poważnie przeżywanego życia. Teraz dzieliła z nimi trudną wspinaczkę na szczyt.

Martwiła się, czy jest w dobrej kondycji na taką wycieczkę. Z górami miała do czynienia tylko przez miesiąc w Ladakh i parę razy w chilijskich Andach, a i to nie chodziła na wspinaczki, tylko na zwykłe spacer. Teraz także się nie wspinali, ale niepokoila ją

wysokość. Jeszcze nigdy nie znalazła się wyżej niż cztery tysiące metrów. Na razie, choć z pewnością już dotarli do tej granicy, nie miała żadnych kłopotów z wyjątkiem zadyszki przy wyjątkowo stromych odcinkach drogi. Nawet Odiedin i przewodnicy pokonywali je powoli. Tylko Akidan i Kieri, wytrzymała krępa dziewczyna około dwudziestki, biegali po niekończących się zboczach i tańczyli na granitowych głazach ponad błękitną otchłanią, przy czym nigdy się nie zasapali. Pozostali nazywali ich „eberdibi”: kózki, cielątka.

Szli przez cały dzień, by dotrzeć do letniej wioski: sześć lub siedem kamiennych kręgów z osadzonymi na nich jurtami pomiędzy stromymi, kamienistymi pastwiskami, ukrytymi w zakątku ogromnej granitowej ściany. Satti nie spodziewała się, że tak wiele ludzi mieszka w okolicy, w której można żyć chyba samym powietrzem, lodem i kamieniami. Tymczasem jałowe ziemie nad Okzat-Ozkat tętniły życiem, pełne wiosek, pastwisk, małych pól ogrodzonych kamiennymi murkami. Nawet pomiędzy wysokimi szczytami znajdowało się ludzi. Pochodzili z niższych terenów i mieszkali tu aż do pierwszych śniegów, wypasając zwierzęta, rodzaj eberdynów, zwanych minulami. Rogate, prawie nieoswojone, o długich nogach i obfitym jasnym runie najlepiej czuły się w wysokich górach i tutaj rodziły młode. Ich jedwabista, miękka sierść była ceniona nawet w czasach sztucznego włókna. Ludzie z wiosek sprzedawali ich runo, pili mleko, wyprawiali skóry, z których robili buty i ubrania, a ich nawozu używali jako opału. Żyli w ten sposób od zawsze. Okzat-Ozkat, prowincjonalne miasteczko, było dla nich metropolią. Wszyscy pochodzili z plemienia Rangma. Ludzie mieszkający u podnóża gór mówili łamanym językiem dowzańskim. Satti potrafiła się porozumieć z Ieyu i Longiem, ale tutaj, chociaż przez zimę poczyniła znaczne postępy, zrozumienie górskiego dialektu sprawiało jej dużą trudność.

Na ich powitanie z jurt wylegli ludzie, tłum brudnych, opalonych i uśmiechniętych twarzy, dokazujące dzieci, ciche niemowlęta w skórzanych kokonach, wiszące na palikach jak myśliwskie trofea, ryczące minule z białymi, milczącymi źrebiętami. Życie, kwitnące życie w wysokich, pustych górach.

A nad nimi, jak zwykle, krążyły dwa geyma, leniwie poruszające smukłymi ciemnymi skrzydłami na tle oszałamiającego błękitu.

Odiedin i młodzi maz, Siez i Tobadan, zajęli się natychmiast błogosławieniem chat, noworodków i stad, leczeniem wrzodów i podrażnionych dymem oczu oraz opowiadaniem. Błogosławienie — jeśli można to było tak nazwać, gdyż słowo, którego używali, oznaczało raczej przyłączanie — polegało na zawodzeniu do rytmu bębienka oraz wręczaniu pasków czerwonego lub błękitnego papieru; na nim maz zapisywali imię i wiek delikwenta oraz wszelkie biograficzne fakty, które miały być utrwalone, na przykład: „Tej zimy wzięłam ślub z Temazi”. „Zbudowałam dom w wiosce”. „Zeszłej zimy urodziłam syna. Żył jeden dzień i jedną noc. Nazywał się Enu”. „W zeszłym sezonie w moim

stadzie urodziły się dwadzieścia dwa minuleta”. Jestem Ibiem. Na wiosnę kończę sześć lat”.

O ile się orientowała, ludzie z wioski nie potrafili pisać bądź znali zaledwie parę znaków. Przyjmowali skrawki papieru z czcią i głęboką satysfakcją. Długo przyglądali się im z każdej strony, składali je ostrożnie i chowali do specjalnych sakiewek lub pięknie zdobionych szkatulek w domu czy namiocie. Odiedin, Tobadan i Siez dokonywali rytuału błogosławienia lub przyłączenia w każdej wiosce, która nie miała własnych maz. W niektórych opowiadających pudełkach, przepięknie rzeźbionych i zdobionych, znajdowały się setki czerwonych i niebieskich skrawków papieru, mówiących o obecnym życiu, o życiu przeszłym.

Odiedin był zajęty spisywaniem owych karteczek dla pewnej rodziny, Tobadan aplikował zioła i maści innej, a Siez, skończywszy pieśń, usiadł z resztą mieszkańców wioski, by opowiadać. Ten poważny młodzieniec o wąskich oczach w wioskach stawał się niestrudzonym mówcą.

Zmęczona, trochę oszołomiona — dziś weszli jeszcze wyżej — i rozleniwiona popołudniowym słońcem Satti zasiadła po turecku na kamiennym podłożu w półkolu zasłuchanych mężczyzn, kobiet i dzieci.

— Opowiadanie! — zapowiedział Siez dobitnie i głośno. Zrobił pauzę.

Słuchacze wydali ciche westchnienie: ach, ach i zaczęli szeptać do siebie.

— Opowiadanie historii!

Ach, ach. Szepty.

— Historia o Drogim Takieki!

Tak, tak. Drogi Takieki, tak.

— Teraz historia się zaczyna! Historia się zaczyna., gdy drogi Takieki mieszka ze swą starą matką, dorosły, lecz niespełna rozumu. Jego matka umarła. Była biedna. Zostawiła mu tylko worek fasoli, który zostawiła na zimę. Przybył pan i wygonił Takieki z domu.

Ach, ach, zamruczeli słuchacze, kiwając ze smutkiem głowami.

— Więc Takieki poszedł drogą z workiem fasoli na plecach. Szedł i szedł, a za górą spotkał człowieka w łachmanach, który zbliżał się z, przeciwnej strony. Mężczyzna powiedział: „Cóż to za ciężki wór niesiesz, młodzieńcze? Pokaż mi, co jest w środku”. I Takieki spełnił jego prośbę. „Fasola!” — mówi obdartus.

— Fasola... — powtórzyło szeptem jakieś dziecko.

— „I jakaż piękna! Ale nie wystarczy ci na całą zimę. Ubiję z tobą interes, młodzieńcze. Dam ci za tę fasolę prawdziwy mosiężny guzik!”. „O, ho, ho — mówi Takieki — myślisz, że mnie oszukasz, ale nie jestem taki głupi”.

Ach, ach.

— I Takieki zarzucił worek na plecy i ruszył dalej. Szedł i szedł, aż za następną górą spotkał obdartą dziewczynę, która szła z przeciwnej strony. Dziewczyna powiedzia-

ła: „Cóż to za ciężki wór niesiesz, młodzieńcze? Musisz być bardzo silny. Pokaż mi, co w nim jest”. I Takieki pokazał jej zawartość worka. „Piękna fasola!” — mówi dziewczyna. „Jeśli się nią ze mną podzielisz, pójdę z tobą i będę się z tobą kochać, kiedy tylko zechcesz, dopóki fasola się nie skończy”.

Jakaś kobieta trąciła łokciem inną i uśmiechnęła się do niej.

— „O, ho, ho”, mówi Takieki. — Myślisz, że mnie oszukasz, ale nie jestem taki głupi”. Zarzucił worek na plecy i poszedł dalej. Szedł, szedł, szedł i za następną górą spotkał mężczyznę i kobietę.

Bardzo ciche ach achy.

— Mężczyzna był ciemny jak noc, a kobieta jasna jak dzień i byli ubrani w piękne szaty i klejnoty w jaskrawych kolorach, niebieskim, czerwonym. Spotkali się na drodze i piękni ludzie powiedziała/powiedział/powiedzieli: „Cóż to za ciężki wór niesiesz, młodzieńcze? Pokaż nam, co w nim jest”. I Takieki usłuchał. Wtedy maz powiedzieli: Jakaż piękna fasola! Ale nie wystarczy ci na całą zimę”. Takieki nie wiedział, co ma odpowiedzieć. „Drogi Takieki — mówią mu maz — jeśli dasz nam ten worek fasoli, który otrzymałeś od matki, dostaniesz gospodarstwo, które jest za tą górą. Jest tam pięć sąsieków pełnych ziarna, pięć spiżarni pełnych jedzenia i pięć stajni pełnych eberdynów. W domu jest pięć wielkich pokojów, a dach jest cały ze złotych monet. Czeka w nim pani, która pragnie zostać twoją żoną”. „O, ho, ho — mówi Takieki. — Myślicie, że mnie oszukacie, ale nie jestem taki głupi!”. I poszedł dalej, aż za górę, za gospodarstwo z pięcioma sąsiekami, pięcioma spiżarniami, pięcioma stajniami i dachem ze złota, i szedł dalej, dalej, drogi Takieki.

— Ach, ach, ach! — westchnęli słuchacze z głębokim zadowoleniem i odprężyli się po uważnym słuchaniu. Zaczęli rozmawiać, przynieśli kubek i dzbanek z gorącą herbatą, by Siez przepłukał gardło, po czym czekali z szacunkiem na to, co miał im jeszcze do powiedzenia.

Dlaczego Takieki jest „drogi”? — zastanowiła się Satti. Ponieważ był niespełna rozumu? (Bose stopy stojące na powietrzu). Ponieważ był mądry? Ale czy mądry człowiek nie zaufałby maz? Z pewnością okazał się głupi, skoro zrezygnował z domu, spiżarni i żony. Czy ta historia ma oznaczać, że dla świętego człowieka dom, spiżarnia i żona nie są warte worka fasoli? Czy też że święci, żyjący w ascezie, są głupi? Ludzie, których poznała, żyli latami w narzuconej wstrzemięźliwości, ale nie podziwiali ascezy. Nie mieli zamiłowania do postów i nie widzieli nic chwalebego w niewygodzie czy biedzie.

Gdyby to była terrańska przypowieść, Takieki najprawdopodobniej oddałby worek fasoli za mosiężny guzik, albo w ogóle za darmo, a po śmierci w nagrodę poszedłby do nieba. Ale na Ace, nagroda duchowa czy materialna, następowała natychmiast. Dzięki wykonywaniu obowiązków maz Siez nie powiększał ani swojego stanu posiadania, ani świętości. W zamian za opowiadanie historii otrzymywał pochwały, dach nad głó-

wą, posiłek, zapasy na dalszą podróż oraz świadomość wykonanego zadania. Ćwiczenia fizyczne wykonywano nie dla idealnego zdrowia ani długowieczności, lecz dla osiągnięcia natychmiastowego dobrego samopoczucia i dla przyjemności. Medytacje były nakierowane na terażniejszość i chwilową transcendencję, nie najwyższą nirwanę. Aka kierowała się filozofią gotówki, nie kredytu.

Stąd ich nienawiść do lichwiarstwa. Uczciwa transakcja i zapłata od ręki.

Ale w takim razie co z dziewczyną, która ofiarowała wszystko, co miała, jeśli Takieki się z nią podzieli? Czy to nie była uczciwa transakcja?

Satti zastanawiała się nad tym przez całą następną opowieść, słynny fragment „Bitwy w dolinie”, którą Siez opowiadał kilka razy w wioskach u podnóży gór. „Mogę ją recytować nawet przez sen”, mawiał. Po namyśle Satti doszła do wniosku, że bardzo wiele zależy od tego, do jakiego stopnia Takieki zdawał sobie sprawę z własnego ograniczenia. Czy wiedział, że dziewczyna może go oszukać? Czy wiedział, że nie potrafi zarządzać wielkim gospodarstwem? Może postępował słusznie, nie chcąc się rozstać z tym, co dostał od matki. A może nie.

Ledwie słońce zniknęło za ścianą gór na zachodzie, temperatura w gęstym cieniu spadła poniżej zera. Wszyscy schronili się w chatach — namiotach, dławiąc się dymem i smrodem. Ludzie z wioski spali nadzy, brudni, spleceni ze sobą pod stertami jedwabistych skór, zatłuszczonych i rojących się od pcheł. Podróżnicy rozbili swoje namioty tuż obok. Satti, ulokowana wspólnie z Odiedinem, rozmyślała o ludziach, którzy ich gościli. Agresywni, prymitywni, powiedział Pełnomocnik, opierając się o balustradę statku i spoglądając w długą ciemną krzywiznę terenu kryjącego Górę. Miał rację. Byli prymitywni, brudni, nieuczenni, ciemni, przesądni. Opierali się postępowi, ukrywali przed nim, nie wiedzieli o Marszu do Gwiazd. Kurczowo trzymali swój worek z fasolą.

Jakieś dziesięć dni później, w obozowisku rozbitym w długiej i płytkiej dolinie pomiędzy bladymi ścianami lodu, Satti usłyszała warkot silnika, samolotu lub helikoptera. Dźwięk był zniekształcony wiatrem i echem. Mógł dobiegać z bliska albo przybyć z oddali, odbijając się od jednej skalnej ściany do drugiej. Nad ziemią wisiała mgła, niebo zasłaniały gęste chmury. Ich ciemnobrązowe namioty mogły być niewidoczne w rozległym krajobrazie. Równie dobrze z góry mogły rzucać się w oczy z daleka. W chwili gdy wiatr przyniósł odgłos warkotu, wszyscy zastygli w bezruchu.

Ta długa dolina była dziwnym miejscem. Z lodowca spływało na nią mroźne tchnienie, które nieruchomiało na jej dnie. Upiory mgły wiły się po śmiertelnym całunieniu śniegu.

Ich zapasy żywności były na wykończeniu. Satti podejrzewała, że zbliżają się do celu.

Ale zamiast wspinać się w górę, w stronę wyjścia z doliny, tak jak przewidywała, ze-

szli w dół na szerokie zbocze pełne wielkich głazów. Wiatr dał nieprzerwanie i tak gwałtownie, że nieustannie słychać było chrzęst żwiru bębniącego o kamienie. Każdy krok, każdy oddech wymagał wysiłku. Kiedy spoglądali w górę, widzieli Silong niemal na wyciągnięcie ręki, ogromny mur zasłaniający niebo. Jednak olśniewający szczyt nadal pozostawał odległy. Tej nocy Satti śniła o głosie, który słyszała, lecz którego nie mogła zrozumieć, o klejnocie, który znalazła, lecz którego nie mogła dotknąć.

Nazajutrz zaczęli schodzić stromo w dół na południowy zachód. W oszołomionym umyśle Satti pojawiła się formuła: wrócić, by iść naprzód, przegrać, by wygrać. Zejść, żeby wejść, przegrać, żeby wygrać. Nie mogła się od niej uwolnić, zdanie powtarzało się przy każdym kroku, zejść, żeby wejść, przegrać, żeby wygrać.

Szli ścieżką prowadzącą przez kamieniste zbocze, potem drogą do kamiennej ściany, do kamiennego budynku. Czy to był cel ich podróży? Czy to Łono Matki? Ale okazało się, że to tylko schronisko, przystanek. Przez dwa dni i dwie noce pozostawali w tym cichym domu, odpoczywając, leżąc w śpiworach. Mogli gotować tylko na malutkich kuchenkach, została im wyłącznie wędzona ryba, którą wydzielali sobie małymi porcjami, mocząc ją w roztopionym śniegu, by przyrządzić coś w rodzaju zupy.

— Przyjdą — mówili. Nie pytała, kto ma przyjść. Była tak zmęczona, że mogłaby zostać w tym kamiennym domu na zawsze, tak jak mieszkańcy małych kamiennych domków w miastach zmarłych, które widziała w Ameryce Południowej, odpoczywający w pokoju. Jej rodacy palili swoich zmarłych. Zawsze bała się ognia. To było lepsze, ta lodowata cisza.

Trzeciego dnia rano usłyszała odległe dzwonki, słabe pobrzękiwanie.

— Chodź, Satti, zobacz — odezwała się Kieri i pomogła jej wstać, aby mogła wyjrzeć przez drzwi kamiennego domku.

Z południa nadchodzili ludzie, wyłaniali się pomiędzy szarych głazów, wyższych niż oni, ludzie z minulami, obładowanymi bagażami aż po łęki wysokich siodła. Na przywiązanych do siodła długich tyczkach trzepotały długie wstążki, czerwone i niebieskie. Wokół białych kudłatych szyj młodych, biegnących za swoimi matkami, brzęczały dzwoneczki.

Następnego dnia ruszyli w drogę w dół wraz z jeźdźcami do ich letniego obozowiska. Szli przez trzy dni, lecz droga była na ogół łatwa. Ich towarzysze nalegali, żeby Satti jechała na grzbiecie jednego z minuli, ale poza nią wszyscy szli pieszo, więc szła i ona. W pewnym miejscu musieli obejść występ skalny, pod którym ziała przepaść. Ścieżka była równa, lecz miejscami szeroka najwyżej na stopę, a śnieg zaczynał topnieć. Jeźdźcy puścili minule wolno i szli za nimi. Powiedzieli Satti, że powinna stawiać stopy w śladach zwierząt. Wybrała więc sobie jednego minula i podążała za nim krok w krok. Obrosnięte wełną pośladki zwierzęcia drgały nonszalancko; minul szedł niedbale, od czasu do czasu zatrzymując się, by spojrzeć ze znużeniem w mglistą otchłań. Nikt się nie

odezwał, dopóki wszyscy nie znaleźli się na bezpiecznym terenie. Wtedy zaczęto śmiać się i żartować, a parę osób zrobiło gest góry-serca w stronę Silong.

Z wioski rogaty szczyt był niewidoczny; widać było tylko wielki masyw bliższej góry i skrawek ściany od północnego zachodu. Wioska kipiała zielenią, otwarta na północ i południe, doskonałe letnie pastwisko, idylla. Nad rzeką rosły drzewa, Odiedin pokazał jej Satti. Były wielkości jej małego palca. W Okzat-Ozkat te same drzewa osiągały wielkość krzewów. W parkach Dowza City przechadzała się w ich cieniu.

W wiosce miał miejsce zgon; młody mężczyzna zaniedbał skaleczenie na stopie i umarł z powodu zakażenia krwi. Przechowywano jego zwłoki w śniegu, czekając na pojawienie się maz. Skąd wiedzieli, że zbliża się grupa Odiedina? Jak to wszystko zorganizowano? Satti tego nie rozumiała, ale nie łamała sobie głowy. W górach było wiele rzeczy, których nie pojmowała. Na razie była bezradna jak dziecko. „Bylibyśmy jak dzieci...”. Kto to powiedział? Cieszyła się, że może iść, siedzieć w słońcu, podążać za zwierzęciem. „Dokąd mnie w swej dobroci przewodnicy wiedą, tam idę, idę lekko...”.

Dwaj młodzi maz opowiedzieli pogrzeb. Tak się to tutaj nazywało. Jak wszystkie rytuały, i ten polegał na narracji. Przez dwa dni Siez i Tobadan siedzieli z rodziną zmarłego, jego ojcem, ciotką, siostrą, przyjaciółmi, kobietą, która od pewnego czasu była jego żoną — i wysłuchiwali wszystkich, którzy chcieli o nim mówić, opowiadać, kim był, czego dokonał. Następnie to oni opowiedzieli o wszystkim od nowa, uroczyście i w ceremonialnych zwrotach przy cichym tabat, tabat bębenka, śląc słowa nad ciałem owiniętym białym, cienkim, ciągle zamrożonym materiałem. Była to pieśń pochwalna, ubranie życia w słowa, uczynienie go częścią niezmiernego przestworu opowiadania.

Potem Siez o pięknym głosie wyrecytował zakończenie historii o Penan-Teran, mitycznej parze bohaterów, szczególnie ukochanych przez Rangma. Penan i Teran byli młodymi wojownikami z Silong, którzy ujeżdżali północny wiatr, zjeżdżając na nim z gór jak na eberdynie i rzucając się na nim w bitwę przy furkocie proporców, by walczyć z odwiecznym wrogiem Rangma, ludźmi morza, barbarzyńcami z zachodnich równin. Ale Teran poległ w walce, a Penan osiodłał południowy wiatr, wiatr od morza, pofrunął na nim w góry, rzucił się z niego w przepaść i zginął.

Ludzie słuchali i płakali, a w oczach Satti pojawiły się łzy.

Potem Tobadan uderzył w bębenek tak, jak jeszcze nigdy dotąd, nie cicho, w rytmie serca, lecz gwałtownie, nagłaco, na co ludzie podnieśli zwłoki i ruszyli z nim w procesji. Wynieśli je z wioski przy nieustającym bębnieniu.

— Gdzie go pochowają? — spytała Odiedina.

— W^T żołądkach geyma. — Maz wskazał na odległe kamienne wieżycy na jednym z potężnych skalnych wzniesień nad wioską. — Zostawią go tam, nagiego.

To lepsze niż leżenie w kamiennym domu, pomyślała. I o wiele lepsze niż ogień.

— Żeby mógł jeździć na grzbiecie wiatru — powiedziała.

Odiedin obrzucił ją spojrzeniem, a po chwili pokiwał w milczeniu głową.

Nie był zbyt rozmowny, a jeśli się odzywał, to na ogół sucho i surowo. Jednak do tej pory Satti czuła się już zupełnie swobodnie z jego towarzystwie, tak jak on w jej. Pisał na skrawkach niebieskiego i czerwonego papieru, którego niewyczerpane zapasy nosił w plecaku. Zapisywał imię i nazwisko zmarłego dla tych, którzy go opłakiwali, by mogli zabrać karteczki do domu i umieścić je w opowiadających pudełkach.

— Zanim Dowzanie doszli do władzy... — odezwała się — ...zanim zaczęli zmieniać wszystko, tworzyć maszyny, produkować przedmioty w wielkich fabrykach zamiast robić je ręcznie, wprowadzać nowe prawa... i tak dalej... — Odiedin skinął głową. — Minęło niespełna sto lat... odkąd przybyli wysłannicy Ekumenu. Kim do tego czasu byli Dowzanie?

— Barbarzyńcami.

Jako Rangma nie mógł się powstrzymać, by tego nie powiedzieć, głośno i wyraźnie. Ale wiedziała, że jest też rozważny i prawdomówny.

— Czy nie znali Opowiadania?

Milczenie. Odiedin odłożył pióro.

— Dawno temu, nie. W czasach PenanTeran, nie. W czasach gdy pisano „Drzewo”. Potem ludzie z centralnych równin, z Doy, zaczęli ich oswajać. Handlowali z nimi, uczyli ich. Nauczyli czytać, pisać i opowiadać. Ale oni nadal byli barbarzyńcami, joz Satti. Woleli walczyć niż handlować. A kiedy handlowali, to tak jakby walczyli. Pozwalali na lichwiarstwo, szukali wielkich zysków. Zawsze mieli gobey, przywódców, którym płacili daninę i którzy nimi rządzili. Byli bogaci. Potężni. Więc kiedy zaczęli mieć maz, uczynili ich przywódcami, którzy mogli rządzić i karać. Dali maz moc nakładania podatków. Wzbogacili ich. Sprawili, że zwykli ludzie stali się nikim. To było złe. Złe od samego początku.

— Maz Uming Ottiar o tym kiedyś wspominał.

Odiedin pokiwał głową.

— To były złe czasy. Ale nie takie złe jak teraz — dodał, parszkając krótkim, ostrym śmiechem.

— Ale te czasy... wywodzą się z tamtych. Jak z korzeni. Prawda?

Spojrzał na nią z powątpiewaniem, w zamyśleniu.

— Dlaczego o tym nie opowiadacie?

Brak odpowiedzi.

— Nie opowiadacie o tym. Nigdy nie włączacie tego do historii i podań, które toczą się na całym świecie we wszystkich wiekach. Opowiadacie o tym, co się zdarzyło w dalekiej przeszłości. I opowiadacie życie tych, którzy żyli w naszych czasach, na pogrzebach i kiedy dzieci mają swoje opowiadania. Ale nie wspominaliście o tych wielkich wydarzeniach. Ani słowa o tym, jak zmienił się świat przez ostatnie sto lat.

— To nie należy do Opowiadania — rzucił wreszcie Odiedin po długim milczeniu pełnym napięcia. — Opowiadamy o tym, co jest dobre, co idzie dobrze, jako powinno. Nie o tym, co idzie źle.

— Penan-Teran przegrali walkę, walkę z Dowzą. To nie poszło dobrze, a jednak o tym opowiadacie.

Przyjrzał się jej, bez niechęci czy urazy, ale jakby z wielkiej odległości. Nie miała pojęcia, o czym myśli, co może powiedzieć.

— Ach — odezwał się w końcu.

Wybuch miny? Cichy wyraz zgody? Nie wiedziała.

Pochylił głowę i napisał imię zmarłego, trzy śmiałe, eleganckie znaki na skrawku spłowiałego czerwonego papieru. Odłupał kawałek atramentu z bloku, który zawsze przy sobie nosił, zmieszał go z wodą z rzeki z malutkim kamiennym garnczku. Pióro, którym pisał, pochodziło ze skrzydeł geyma i było szare jak popiół. Równie dobrze mógłby tak siedzieć na kamieniach i trzysta lat temu. Albo trzy tysiące.

Nie powinna mu zadawać tego pytania. Źle, źle, źle.

Przez sześć dni pozostawali w wiosce w dolinie, odpoczywając. Potem znowu ruszyli w drogę, z nowym zapasami i dwoma innymi przewodnikami, na północ, w górę. W górę, w górę, w górę. Satti straciła rachubę czasu. Nadchodził świt, wstawali, wschodziło słońce, świeciło na nich i niekończące się skalne zbocza, a oni szli. Nadchodził zmrok, rozbijali obóz, szum płynącej wody cichł, gdyż małe strumyki znowu zamarzały, a oni zapadali w sen.

Powietrze było rozrzedzone, droga stroma. Po lewej stronie wznosiły się ściany góry. Za nimi, na prawo, z mgły wyłaniały się kolejne szczyty, nieruchome morze lodowatych fal, ciągnących się aż po horyzont. Słońce prażyło białym blaskiem z szafirowego nieba. Była pełnia lata, pora lawin. Starali się zachowywać bardzo cicho pomiędzy chwiejnymi olbrzymami. Milczenie ciągnęło się przez wiele dni, od czasu do czasu przerywane przeciągłym, wibrującym grzmotem, zwielokrotnionym echem, dochodzącym jakby ze wszystkich stron jednocześnie.

Satti usłyszała nazwę góry, na której się znajdowali. Zubuam. Słowo w dialekcie Rangma: „Władca Gromów”.

Nie widzieli Silong od czasu, gdy opuścili wioskę w dolinie. Ogromny masyw Zubuama zasłaniał niebo po zachodniej stronie. Posuwali się powoli naprzód, na północ, w górę, pracowicie pokonując gigantyczne fałdy na zboczu góry.

Oddychanie wymagało wiele wysiłku.

Pewnej nocy spadł śnieg. Następnego dnia padało nieustannie, słabo, lecz bez chwili przerwy.

Odiedin i dwaj nowi przewodnicy przysiedli przed namiotami i naradzili się, rysując na śniegu linie, ścieżki i zygzaki. Następnego ranka słońce wybuchnęło oślepiającym

blaskiem nad lodowatym morzeni szczytów na wschodzie. Ruszyli mozolnie dalej, na północ i w górę.

Pewnego ranka podczas marszu Satti zdała sobie sprawę, że słońce znalazło się za ich plecami. Przez dwa dni szli na północny zachód, powoli przemierzając ogromny masyw Zubuam. Trzeciego dnia w południe okrążyli występ z lodu i kamieni. Przed nimi stała gigantyczna ściana na tle świetlistej otchłani nieba: Silong, niczym biała fala przechodząca z mrocznej głębi do jaśniejących wyżyn. Dzień rozsiewał brylantowe blaski, olśniewające i ciche. A nad tym wszystkim wznosił się rogaty szczyt, od którego odebrała się cienka jak pajęczka nitka smużka srebra.

Wiał południowy wiatr, ten sam, z którego skoczył Penan, by znaleźć śmierć.

— Już niedaleko — odezwał się Siez, gdy brnęli z trudem na południowy zachód, w dół.

— Mogłabym tak iść przez całe życie — odparła Satti, a jej umysł powiedział: tak...

W czasie pobytu w wiosce w dolinie Kieri przeniosła się do jej namiotu. Przed pojawieniem się nowych przewodników były jedynymi kobietami w grupie. Aż do tego czasu Satti mieszkała razem z Odiedinem. Owidniały maz, milczący, zorganizowany, przestrzegający celibatu, stanowił dla niej wytchnienie i uspokojenie. Nie miała ochoty na zmianę, ale Kieri nalegała. Mieszkała z Akidanem i miała tego dość.

— Ki ma siedemnaście lat — wyjaśniła. — Przez cały czas jest w rui. Nie lubię chłopców! Lubie mężczyzn i kobiety! Chcę z tobą spać. A ty? Maz Odiedin może zamieszkać z Ki.

Mówiąc o wspólnym spaniu, miała na myśli połączenie śpiworów.

Satti zdała sobie z tego sprawę i zawahała się jeszcze bardziej, ale bierność, którą w sobie rozwinęła podczas tej podróży, okazała się silniejsza od obaw. Od śmierci Pao seks stracił dla niej znaczenie. Był czymś, czego pragnęli i potrzebowali inni. Czasami i jej ciało tęskniło za dotykiem, podnieceniem. Mogła się nim dzielić z kimkolwiek.

Kieri była silna, miękka, ciepła i tak czysta, jak to tylko możliwe w tych warunkach.

— Rozgrzejmy się! — mówiła co wieczór, gdy kładły się do połączonych śpiworów. Kochała się z Satti krótko i energicznie, a potem zasypiała wtulona w jej ciało. Jesteśmy jak dwa polana w płonącym ognisku, spalamy się, pomyślała Satti, osuwając się w ciepłą przepaść snu.

Akidan dostąpił zaszczytu mieszkania ze swoim mistrzem i nauczycielem, ale dezercja Kieri zirytowała go lub zawiodła. Wściekał się przez parę dni, po czym zaczął się zalecać do kobiety, która dołączyła do nich w wiosce. Nowi przewodnicy byli rodzeństwem, długonodzy, o okrągłych twarzach, niestrudzeni. Mieli jakieś dwadzieścia lat, a nazywali się Naba i Shui. Nie minął dzień i Ki wprowadził się do namiotu Shui, a cierpliwy Odiedin zaprosił Nabę, by zamieszkał razem z nim.

Co powiedział Diodi, mężczyzna na wózku, całe wieki temu, na ulicy, daleko w dole?

„Po seksie, który trwa trzysta lat, każdy potrafi latać!”

Mogę latać, pomyślała Satti, brnąc na południe, w dół. Świat składa się tylko z kamienia i światła. Wszystko inne rozplywa się w te dwie rzeczy, kamień, światło, a te znowu w jedno, latanie... I wszystko rodzi się na nowo, zawsze, w każdej chwili, ale przez cały czas istnieje tylko jedno, latanie... Brnęła naprzód przez zachwyty.

Przybyli do Łona Ziemi.

I choć wiedziała, że to niemożliwe i głupie, wydawało się jej, że celem ich podróży jest wielka świątynia, tajemnicze miasto na dachu świata, kamienne wieżycy, furkoczące chorągwie, śpiewający duchowni, złoto, gongi i procesje. Wszystkie wizje utraconego świata, Lhasa, Góry Smoka-Tygrysa, Machu Picchu. Wszystkie ruiny Ziemi.

Przez trzy dni szli stromo w do! ku zachodnim krańcom Zubuam. Było pochmurno i rzadko widzieli ścianę Silong, zasłaniającą niebo, na którym wicher przeganiał kłębiące się chmury i upiorne, nie sięgające ziemi śnieżne zadymki. Przez cały dzień szli za przewodnikami przez chmury i mgłę wzdłuż grani, długiego grzbietu ośnieżonej skały, gwałtownie spadającej w dół.

Pogoda nagle się poprawiła, chmury zniknęły, słońce zapłonęło. Satti poniosła wzrok, ale nie zobaczyła skalnej ściany zasłaniającej niebo. Odiedin stanął obok niej.

— Jesteśmy na Silong — powiedział z uśmiechem.

A więc przeszli. Ogromny masyw w dole to Zubuam. Daleko na jego pochyłym zboczu zeszła lawina. Jeszcze długo słyszeli jej głuchy ryk. Gromowładny mówił im to, co miał im do przekazania.

Zubuam i Silong także byli jednym i dwoma. Stare górymaz. Starzy kochankowie.

Podniosła wzrok. Ściany Silong górowały tuż nad nimi, ukrywając szczyt. Niebo było olśniewająco błękitne, ostro zakrzywiony kawał błękitu z północy na południe.

Odiedin wskazał na południe. Podążyła spojrzeniem za jego gestem i ujrzała samą skałę, lód, migotanie wody z rozpuszczającego się śniegu. Ani śladu wież czy proporców.

Wyruszyli dalej. Znajdowali się na ścieżce, równej i dość szerokiej, od czasu do czasu oznaczonej stertami płaskich kamieni. Na poboczu często pojawiały się suche, gładkie kulki odchodów minuli.

Późnym popołudniem wyrosły przed nimi dwie kamienne kolumny, wystawały z góry przed nimi jak kły. Ścieżka zwężała się stopniowo, aż wreszcie stała się skalną półką przy nagiej pionowej ścianie. Minęli zakręt i stanęli przed dwoma podobnymi do bramy czerwonawymi kamiennym kłami, pomiędzy którymi biegła ścieżka.

Tutaj się zatrzymali. Tobadan wyjął bębenek i zaczął w niego stukać. Wszyscy trzej maz mówili i śpiewali. Słowa były w języku Rangma, tak stare lub uroczyste, że Satti nie rozumiała ich znaczenia. Przewodnicy z wioski oraz ci, którzy szli z nimi od początku wyprawy, wygrzebali z bagaży małe wiązki patyków, obwiązane czerwoną i niebieską

nicją. Dali je maz, którzy podziękowali gestem góry-serca, stając twarzą w stronę Silong. Zapalili je i położyli na ścieżce pomiędzy kamieniami, czekając, aż się spalą. Wydzielały wonny dym jak kadzidło. Wił się leniwie, ulotny i błękitny, pomiędzy skalnymi kłami, wzdłuż ścieżki. Wiatr zawodził, silny porywisty prąd w wielkiej przepaści między dwoma górami, ale oni, osłonięci przez Silong, nie czuli go wcale.

Wzięli bagaże i znowu ruszyli gęsiego, przeszli pomiędzy kamiennymi kłami. Ścieżka zawróciła ku zboczcu góry; Satti dostrzegła, że prowadzi przez widoczną w oddali półkę, wyciętą w skalnej ścianie zatoczkę w kształcie półksiężyca. W niemal pionowym zboczcu o jakieś pół kilometra dalej widać było czarne dziury. W dolinie leżał śnieg, na którym rysowały się zawijasy śladów, prowadzących do owych dziur.

Groty, szepnęła w jej głowie Adien, były górnik, który tej zimy zmarł na żółtaczkę. Groty pełne życia.

Powietrze zgęstniało jak żelatyna, wydawało się drżeć, falować. Satti czuła zawroty głowy. Wiatr wył ogłuszająco, przenikliwie. Ale przecież byli przed nim osłonięci, powietrze trwało nieruchomo nad nasłonecznioną doliną. Odwróciła się, zdezorientowana; gwałtownie podniosła wzrok, gdy nad nią rozległ się przeraźliwy łomot.

Jakiś czarny cień przesunął się po niebie, ryk i warkot ogłuszały. Przykucnęła, zasłoniła głowę rękami.

Cisza.

Wstała, rozejrzała się. Inni także stali nieruchomo jak ona, nieruchome posągi w jasnym słonecznym świetle, kałuże czarnych cieni u ich stóp.

Za ich plecami, pomiędzy kamienną bramą z czerwonych kłów leżał jakiś zgruchotany kształt. Był czarny jak cień i lśnił oślepiająco. Helikopter. Jego złamane śmigło opierało się o kamienną wieżę.

— O, Ram — szepnęła.

— Matka Silong — mruknęła Shui, zaciskając obie dłonie na wysokości serca.

Ruszyli ku bramie, ku helikopterowi. Akidan biegł pierwszy.

— Poczekaj! — krzyknął Odiedin, ale chłopiec stał już nad wrakiem. Coś krzyknął. Odiedin ruszył biegiem.

Satti straciła oddech. Musiała się zatrzymać, żeby uspokoić galopujące serce. Starszy przewodnik z wioski u stóp gór, Long — dobry, nieśmiały mężczyzna, stanął obok niej, także dygocząc i łapiąc powietrze. Zeszli w dół, ale ciągle znajdowali się na wysokości osiemnastu tysięcy pieng, jak słyszała, sześciu tysięcy metrów. Rozrzedzone, straszliwie rozrzedzone powietrze. Przez jakiś czas powtarzała te liczby.

— Dobrze się czujesz, joz Long?

— Tak, a ty, joz Satti?

Ruszyli dalej.

Usłyszała głos Kieri:

— Widziałam, obejrzałam się... nie mogłam uwierzyć, chciał przelecieć między słupami...

— Nie, ja też widziałem, był tam, zbliżał się do nas, a potem jakby uderzył go wiatr, stracił równowagę i runął na kamienie! — To był Akidan.

— To jej dzieło — powiedział Naba, mężczyzna z wioski w dolinie.

Trzej maz obchodzili wrak. Shui klęczała nieopodal, uderzając w coś kamieniem, wściekle, z zapamiętaniem. Satti dostrzegła szczątki nadajnika. Zemsta ery kamienia, podpowiedział chłodno jej umysł.

Wydawał się bardzo zimny, jakby oddzielony od niej, zlodowaciały.

Podeszła bliżej, spojrzała na zgruchotany helikopter. Kadłub był rozplątany w bardzo dziwny sposób. Pilot zwisał bezwładnie, przypięty pasami, niemal do góry nogami. Przesiąknięty krwią wełniany szalik zasłaniał mu prawie całą twarz. Widziała tylko jego oczy, grudki galarety.

Na kamienistym gruncie pomiędzy Odiedinem i Siezem leżał drugi mężczyzna. Jego oczy żyły. Patrzył na nią. Poznała go dopiero po chwili.

Tobadan, uzdrowiciel, szybko i lekko przesuwając dłońmi po jego ciele i kończynach, choć gruba odzież z pewnością wykluczała dokładne badanie. Bez przerwy mówił, jakby nie chciał dopuścić, by mężczyzna zasnął.

— Możesz zdjąć hełm? — spytał.

Po chwili mężczyzna drgnął, zaczął z trudem rozpinąć sprzączki. Nie odrywał od Satti tępego, zdziwionego spojrzenia. Jego rysy, zawsze ściągnięte i twarde, teraz zmiękły.

— Jest ranny?

— Tak — powiedział Tobadan. — Kolano. Plecy. Ale bez złamań, tak mi się wydaje.

— Miałeś szczęście — odezwał się na głos zimny umysł Satti. Mężczyzna patrzył na nią przez chwilę, odwrócił wzrok, słabo poruszył ręką. Odiedin delikatnie przycisnął jego ramiona do ziemi.

— Spokojnie. Czekaj. Satti, uważaj, żeby nie wstał. Musimy wyjąć tamtego. Zaraz tu będą.

Obejrzała się w stronę jaskiń i ujrzała małe figurki pędzące ku nim przez śnieg.

Zajęła miejsce Odiedina, stanęła nad Pełnomocnikiem. Leżał bezwładnie na ziemi z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Od czasu do czasu dygotał gwałtownie. Ona także miała dreszcze. Zęby jej szczękały. Oplotła się ramionami.

— Pilot nie żyje — odezwała się. Nie odpowiedział. Zadrżał.

Nagle wokół nich zaroilo się od ludzi. Pracowali szybko i sprawnie. W ciągu paru minut przypięli Pełnomocnika do zaimprovizowanych noszy, unieśli go i ruszyli w stronę grot. Inni nieśli zmarłego. Paru zgromadziło się wokół Odiedina i młodych maz. Cichy szmer głosów wydawał się Satti niezrozumiały jak brzęczenie much.

Rozejrzała się w poszukiwaniu Longa i razem z nim przeszła przez półksiężyc pola-

ny. Do góry i jaskiń było dalej, niż się jej zdawało. Nad ich głowami krążyła leniwie para geym. Słońce wisiało tuż nad górskim masywem. Ogromny cień Silong zabarwiał Zubyte błękitem.

Jeszcze nigdy nie widziała nic, co by przypominało tutejsze jaskinie. Było ich wiele, bardzo wiele, setki, niektóre małe jak lisie nory, inne wielkie jak drzwi hangaru. Tworzyły koronkowe wzory, zachodzące na siebie w kamiennej ścianie. Wokół każdego wejścia widniały mniejsze otwory, srebrzysty kamień lśnił w kontraście z czernią, jak grona baniek w pianie lub mydlinach. Przy jednym z otworów stał mały płótek; zerknęła na niego, przechodząc. Odpowiedziało jej spojrzenie ciemnych spokojnych oczu w bielutkim pysku młodego minula. W⁷ wydrążonej kamiennej ścianie znajdowały się prawdziwe stajnie. Bił od nich mocny, ciepły, roślinny zapach. Wejścia do grot zostały poszerzone i zrównane z poziomem ziemi, jeśli to było konieczne, ale zachowały okrągły kształt. Ludzie, z którymi szła, zniknęli w jednym z nich, dużym i kolistym. Wchodząc w owe drzwi do góry, obejrzała się przez ramię. Niebo wyglądało jak promienny, idealny krąg w cmentarnej czerni.

7

Nie było to miasto z proporcami i złocistymi procesjami, brakowało świątyni, bicia w dzwony, werbli i śpiewów. Było bardzo zimno, bardzo ciemno, bardzo biednie. I cicho. Jedzenie, posłania, olej do lamp, kuchenki i grzejniki, wszystko, co umożliwiało życie w Łonie Silong, przywożono ze wschodu na grzbietach minuli lub ludzi, stopniowo, w maleńkich karawanach, które nie zwracały na siebie niczyjej uwagi, a szły przez wiele miesięcy. W lecie mieszkało tu trzydzieści lub czterdzieści osób. Żyli w grotach. Niektórzy przynieśli ze sobą książki, dokumenty, teksty Opowiadania. Zostali tu, by chronić książki, które tu znalazły schronienie, dziesiątki tysięcy tomów sprowadzanych od lat z wielkiego kontynentu. Zostali, by czytać i studiować, być z książkami, być w grotach pełnych życia.

W pierwszych dniach pobytu w grotach Satti miała wrażenie, że śni sen o ciemności. Same jaskinie były zdumiewające: nieskończone komnatybańki, łączące się ze sobą nawzajem, ciemne ściany, podłogi, sufity przechodzące jeden w drugi w tak mylący sposób, że wydawało się jej, iż fruwa w powietrzu. Dźwięki odbijały się echem, nie sposób było się zorientować, skąd dochodzą. I wiecznie zbyt mało światła.

Jej grupa rozbiła namioty w wielkiej komnacie. Spali, tuląc się do siebie, by się ogrzać. W pobliskich jaskiniach stały inne gromady namiotów. Para maz wybrała dla siebie trzymetrową dziurę w ścianie, niemal idealnie okrągłą, i urządziła sobie w niej prywatne gniazdko. Kuchenki i stoły stały w dużej jaskini o płaskim dnie; oświetlały ją słoneczne promienie, wpadające przez parę wysokich otworów. Wszyscy spotykali się w niej w porze posiłków. Kucharze sprawiedliwie rozdzielali żywność. Zawsze trochę za mało, w kółko to samo, słaba herbata, gotowana fasola, twarde ser, suche listki yoty, podobnej do szpinaku i ostrej w smaku. Zimowe jedzenie, choć było lato. Żywność dla korzeni, dająca wytrzymałość.

Maz, uczniowie i przewodnicy pochodzili z północy i wschodu, wielkich górzystych krajów i równin z centrum kontynentu — Amarezy, Doy, Kangnegne. Pochodzili z miasta i byli o wiele bardziej uczeni i wyrafinowani niż ci, których znała Satti. Nauczeni intelektualnej, cielesnej i duchowej dyscypliny, spadkobiercy ogromnej tradycji, niewy-

obrażalnie wspaniałej nawet teraz, gdy została zniszczona i zakazana, wydawali się jakby pozbawieni własnej osobowości, choć była z nich wielka godność. Nie udawali mędrców, ale nawet najzyczliwsi byli otoczeni rodzajem aury — Satti nie znosiła tego słowa, choć go używała — narzucającej dystans. Byli łagodni, roztargnieni, pochłonięci bez reszty opowiadaniem, księgami, skarbami jaskiń.

Następnego ranka po ich przybyciu powitali ich maz Igneba i Ikak, którzy zaprowadzili ich do Biblioteki, jak ją nazwali. Pokazali im mapę jaskiń; numery na niej odpowiadały numerom nagryzmołonym odblaskową farbą nad wejściami do poszczególnych pomieszczeń. Osoba, która zgubiła się w skalnym labiryncie — co wcale nie było takie trudne — mogła kierować się malejącymi numerami, dzięki czemu zawsze trafiła do wyjścia. Mężczyzna, Igneba Ikak, miał elektryczną latarkę, ale jak wiele akańskich produktów, często się psuła. Ikak Igneba niosła lampę oliwną. Parę razy zapalała od niej lampy wiszące na ścianach, by oświetlić jaskinie życia, okrągłe pomieszczenia pełne słów, gdzie spoczywało w milczeniu ukryte Opowiadanie. Pod kamieniem, pod śniegiem.

Książki, tysiące książek, oprawne w skórę, materiał, drewno i papier, manuskrypty w rzeźbionych i malowanych szkatułkach i wysadzanych klejnotami puzdrach, migoczące złotymi listkami urywki starych pism, zwoje w futerałach i skrzynkach lub po prostu związane sznurkiem, książki z cielejącej skóry, pergaminu, papieru z przemiału, pisane ręcznie, drukowane, książki na podłogach, w małych skrzynkach, na niskich półkach zbitych z byle jakiego drewna. W jednej wielkiej jaskini książki stały na wrytych w skalnej ścianie dwóch półkach, na wysokości pasa i oczu. To kosztowało wiele pracy, wyjaśniła Ikak. Wyrzeźbili je maz, gdy było to jeszcze całkiem małe umjazu z biblioteką mieszczącą się w jednym pomieszczeniu. Ci maz mieli czas i środki, by oddać się takiej pracy. Teraz mogli tylko zdobywać plastikowe płachty, by książki nie leżały na gołej ziemi czy skale. Mogli je uporządkować do pewnego stopnia i dbać o ich bezpieczeństwo. Chronić je, strzec, a w wolnym czasie także czytać.

Ale nikt nie zdołałby przeczytać choćby części ze zgromadzonych tu ksiąg, nawet gdyby poświęcił całe życie na zgłębienie tego zniszczonego labiryntu słów, tej okaleczonej, przzerwanej, niezmierzonej historii ludu i świata, liczącej setki, tysiące lat.

Odiedin siedział na podłodze w cichej, mrocznej jaskini, w której książki stały rzędami jak skoszona trawa, niknąc w ciemnościach. A on, pomiędzy dwoma rzędami, trzymał na kolanach małą książeczkę w zniszczonej płóciennej oprawie. Po policzkach płynęły mu łzy.

Wszyscy mogli swobodnie wchodzić do jaskiń z książkami. W ciągu następnych dni Satti coraz bardziej zagłębiała się w labirynt, wędrując przy słabym światełku oliwnej lampki. Siadała i czytała. Miała przy sobie noter, do którego skanowała wszystkie teksty, czasami nawet całe książki, których nie miała czasu przeczytać. Czytała błogosławień-

stwa, protokoły z ceremonii, przepisy, sposoby leczenia wrzodów oraz recepty na osiągnięcie podeszłego wieku, historie, legendy, roczniki, żywoty wielkich maz, żywoty zwykłych kupców, świadectwa ludzi, którzy żyli tysiące lat temu i całkiem niedawno, filozoficzne i matematyczne traktaty, medytacje, herbaria, bestiariusze, prace anatomiczne, geometrię rzeczywistą i metafizyczną, mapy Aki, mapy wyimaginowanych światów, historie o starożytnych krajach, wiersze. Wszystkie wiersze świata.

Uklękała przy drewnianej skrzynce, pełnej papierzysk i zniszczonych, robionych ręcznie ksiązek, ocalałych z jakiegoś małego umjazu lub miasta, uratowanych przed buldożerami i ogniem, niesionych przez wiele dni trudnej drogi, by były bezpieczne, by przetrwały, by opowiadały. Przy mdłym płomyku lampy otworzyła jedną z nich, elementarz. Ideogramy były duże i bez znaków określających ich odmianę, nastrój, liczbę i Żywioł. Na jednej stronie widniał prymitywny drzeworyt, przedstawiający mężczyznę łowiącego ryby z mostu. „Góra jest Matką Rzeki”, głosiły ideogramy pod rysunkiem.

Czytała, dopóki słowa martwego świata, głucha cisza, zimno, otaczający ją pęcherz ciemności nie stawały się zbyt niesamowite. Wtedy wracała ku dziennemu światłu i dźwiękowi żywych głosów.

Teraz już wiedziała, że wszystko, co jej opowiedzieli maz, stanowiło zaledwie źdźbło tego, co należało znać. Ale tak było dobrze, tak powinno być. Pod warunkiem że istniało miejsce takie jak to.

Jedna para maz sporządzała katalog ksiąg w akańskim odpowiedniku notera. Schoździli do jaskiń od dwudziestu lat. Satti rozmawiała z nimi i obiecała spróbować połączyć oba notery, by sporządzić kopię katalogu.

Choć maz traktowali ją z nieskazitelną uprzejmością i szacunkiem, rozmowy były przeważnie oficjalne, a nierzadko utrudnione. Wszyscy musieli mówić w języku, który nie był ich ojczystą mową. Choć wszyscy Akanie publicznie posługiwali się językiem dowzańskim, nie myśleli w nim ani nie opowiadali. Był to język wroga. Przeszkoda. Satti zdała sobie sprawę, że bardzo się zbliżyła do mieszkańców Okzat-Ozkat od czasu, gdy nauczyła się dialektu Rangma. Kilku maz z Biblioteki znało język hainisz, którego nauczano na uniwersytetach i uważano za dowód prawdziwego wykształcenia. Tutaj nie przydawał się do niczego, z wyjątkiem jednej rozmowy, która Satti odbyła z młodą maz Unroy Kigno.

Pewnego razu wyszły na przechadzkę, by odetchnąć świeżym powietrzem i zamieść ścieżki. Ponieważ helikopter zapuścił się tak blisko — pierwszy raz. w historii — teraz z większą dokładnością zacierano ślady na śniegu, mogące zwrócić uwagę pilotów. Przez jakiś czas zamiatały lekki, suchy puch, a potem usiadły na kamieniach koło stajni.

— Czym jest historia? — odezwała się niespodziewanie Unroy w języku hainisz.
— Kim są historycy? Jesteś jednym z nich?

— Hainiszowie tak twierdzą — odparła Satti i zagłębiły się w długą i zapalczywą lin-

gwistyczno-filozoficzną dyskusję, rozważając, czy historia i Opowiadanie mogą być rozumiane jako to samo zjawisko, czy też zjawiska pokrewne bądź wcale ze sobą niezwiązane. Czym zajmują się historycy, czym zajmują się maz i dlaczego to robią.

— Wydaje mi się, że historia i Opowiadanie to to samo — powiedziała wreszcie Unroy. — To sposób uświęcenia różnych spraw.

— Co to jest świętość?

— Święte jest to, co jest prawdziwe. To, co sprawiało cierpienie. To, co jest piękne.

— Więc Opowiadanie szuka prawdy w wydarzeniach. A może w bólu lub pięknie?

— Nie ma potrzeby jej szukać. Świętość po prostu jest. W prawdzie, w bólu, w pięknie. I opowiadanie też jest uświęcone.

Jej partner Kigno znajdował się w obozie w Doy. Został aresztowany i skazany za nauczenie ateistycznej religii i reakcyjnych antynaukowych dogmatów. Unroy wiedziała, że pracuje w ogromnej walcowni, gdzie robotnikami byli więźniowie. Jakakolwiek komunikacja nie wchodziła w grę.

— W Centrach Rehabilitacji są setki tysięcy ludzi — rzuciła Unroy. — Korporacja obniża koszty produkcji.

— Co zrobicie z więźniem?

Unroy pokręciła głową.

— Żałuję, że nie zginął jak tamten. Jest problemem, którego nie umiemy rozwiązać.

Satti zgodziła się z nią w milczeniu i z goryczą.

Pełnomocnik został otoczony troskliwą opieką; kilku maz było zawodowymi uzdrowicielami. Położono go w małym namiocie, dbano, by było mu ciepło i by nie głodował. Umieszczono w grocie pomiędzy siedmioma lub ośmioma namiotami przewodników i stajennych. Zawsze ktoś miał na niego oko i ucho, jak to określali. Nie było obawy, że zdoła uciec, dopóki nie wyleczy obrażeń.

Odiedin odwiedzał go codziennie. Satti nie mogła się do tego zmusić.

— Ma na imię Yara — powiedział maz.

— Ma na imię Pełnomocnik — odparła pogardliwie.

— Już nie. Ścigał nas z własnej woli. Jeśli wróci do Dowzy, wyślą go do Centrum Rehabilitacji.

— Do obozu pracy? Dlaczego?

— Urzędnicy nie mogą się kierować własną wolą.

— To nie był helikopter Korporacji?

Odiedin pokręcił głową.

— Był prywatną własnością. Pilot woził nim zapasy żywności ludziom, którzy wspinali się dla rozrywki. Yara go wynajął. Żeby nas znaleźć.

— To dziwne. Więc mnie szukał?

— Byłaś jego przewodnikiem.

— Tego się obawiałam.

— A ja nie — westchnął. — Korporacja jest taka wielka, a jej organa tak nieporadne, że my, szaraczkowie, nie ściągamy na siebie uwagi. Przemykamy się przez oka sieci. A przynajmniej tak było przez wiele lat. Dlatego się nie martwiłem... Ale on nie jest z policji. Działał w pojedynkę. Fanatyk.

— Fanatyk? — Parsknęła śmiechem. — Wierzy w slogany? Kocha Korporację?

— Nienawidzi nas. Maz, Opowiadania. Boi się ciebie.

— Jako Obcej?

— Wydaje mu się, że przekonasz Ekumen, żeby poparł maz przeciwko Korporacji.

— Dlaczego tak sądzi?

— Nie wiem. Jest dziwny. Powinnaś z nim porozmawiać.

— Po co?

— Żeby usłyszeć, co ma do powiedzenia.

Odkładała to, lecz sumienie nie dawało jej spokoju. Odiedin nie był uczonym mędrcem jak ci z nizin, ale miał czysty umysł i serce. Podczas długiej podróży nauczyła się mu całkowicie ufać, a kiedy zobaczyła, jak płacze na widok książek w Bibliotece, zrozumiała że go kocha. Chciała spełnić jego prośbę, nawet jeśli chodziło o rozmowę z Pełnomocnikiem.

Może powinna także powiedzieć, co sama miała do powiedzenia. W każdym razie wcześniej czy później musiała się z nim spotkać. I zastanowić się, co z nim zrobić. Spytać, czyjej obecność nie ma czegoś wspólnego z jego przybyciem.

Następnego dnia przed wieczornym posiłkiem zjawiała się w pieczarze, w której go położono. Paru stajennych grało przy świetle latarni, rzucając znaczony patyki. Na ścianie widniał czarny znak, symbol Drzewa, wykuty przez maz setki lat temu: pojedynczy pień, dwie gałęzie, pięć liści. W wyłobionych liniach nadal lśniło złoto i migotały okruszki kryształu, agatu i kamienia księżycowego. Oczy Satti przyzwyczyły się już do ciemności. Przyćmione światło małej lampki elektrycznej wydawało się jej jasne jak promienie słońca.

— Gdzie przybysz? — spytała grających. Jeden skinął głową w stronę oświetlonego namiotu.

Wejście do niego było zasłonięte klapą. Satti stała przez chwilę niezdecydowana. Wreszcie odezwała się: — Pełnomocniku...

Kłapa uniosła się. Satti zajrzała ostrożnie do środka. W namiocie było ciepło i jasno. Pełnomocnik spoczywał na łóżku z przymocowaną podpórką pod plecy, dzięki której pólleżał. W zasięgu ręki miał sznurek od klapy wejściowej, elektryczną lampkę z korbką, malutki grzejnik olejowy, butelkę wody i mały noter.

Podczas upadku odniósł wiele obrażeń. Fioletowoczarne siniaki pokrywały całą pra-

wą stronę jego twarzy, prawe oko było opuchnięte i na wpół zamknięte, na obu rękach rozlewały się ogromne brązowosine plamy. Satti nie patrzyła na niego, tylko na notera.

Weszła do namiotu na czworakach, wzięła urządzenie i przyjrzała mu się uważnie.

— To nie nadajnik — odezwał się Pełnomocnik.

— Tak mówisz — mruknęła i uruchomiła notera. Po chwili dodała ironicznie: — Przepaszam, że grzebię w prywatnych plikach. Nie interesują mnie, ale muszę sprawdzić, co z tym można zrobić.

Nie odpowiedział.

Urządzenie było zwykłym noterem, dość efektownym, lecz nie pozbawionym paru poważnych błędów konstrukcyjnych, jak wiele akańskich produktów. Nie miało funkcji nadajnika arii odbiornika. Odłożyła go w miejsce, którego Pełnomocnik nie mógł dosięgnąć.

Zaniepokojenie nieco zelżało, ale pozostało zażenowanie i rozdrażnienie, jakie budziła w niej konieczność przebywania w zamkniętym namiocie z tym człowiekiem, wymuszona fizyczna bliskość. Myślała tylko o tym, żeby zaznaczyć dystans między nimi. Mogła to osiągnąć jedynie za pomocą słów.

— Co chciałeś zrobić?

— Śledzić cię.

— Twój rząd ci tego zakazał.

— Nie mogłem się na to zgodzić — powiedział po chwili milczenia.

— Trybik mądrzejszy od maszyny, co?

Nie odpowiedział. Od chwili jej wejścia nie zrobił żadnego ruchu. Ta sztywna postawa prawdopodobnie oznaczała ból. Przyjrzała się mu beznamiętnie.

— Co byś zrobił, gdyby helikopter się nie rozbił? Wróciłbyś do Dowzy i zdał raport... co? Że w górach są groty?

Brak odpowiedzi.

— Co wiesz o tym miejscu?

Już zadając to pytanie, zdała sobie sprawę, że Pełnomocnik nie widział nic z wyjątkiem tej groty, paru stajennych, kilku maz. Mógłby się nie dowiedzieć, gdzie trafił. Mogli zawiązać mu oczy... prawdopodobnie nawet nie musieli. Wystarczy, jeśli go stąd usuną, kiedy tylko będzie w stanie się ruszać. Na razie widział jedynie obóz wędrowców. Nie miał nic, o czym mógłby zaraportować.

— To Łono Silong — powiedział. — Ostatnia Biblioteka.

— Dlaczego tak sądzisz? — rzuciła, zła i rozczarowana.

— Ponieważ tu przybyłaś. Biuro Czystości Etycznej od dawna szuka tego miejsca. Miejsca, w którym chowają książki. To tutaj.

— Kim są „oni”?

— Wrogami Państwa.

— O Ram! — parsknęła. Cofnęła się, jak mogła najdalej, i objęła kolana. — Przejęliście wszystkie nasze błędy, ale nie przejęliście żadnego z prawdziwych osiągnięć. Żałuję, że tu przybyliśmy, ale ponieważ już się stało, gdyż dopuściliśmy do tego, zadufani w sobie, powinniśmy przynajmniej odmówić warn informacji, o które prosiliście, albo powiedzieć warn o terrańskiej historii. Ale oczywiście byście nas nie wysłuchali. Nie wierzycie w historię. Własną wyrzuciliście jak śmieć.

— Bo była śmieciem. — W miejscach pomiędzy czarnymi siniakami jego skóra była szara jak popiół. Mówił ochryple, z trudem.

Cierpi i jest bezradny, pomyślała bez współczucia i wyrzutów sumienia.

— Wiem, kim jesteś — powiedziała. — Jesteś moim wrogiem. Fanatykiem. Cnotliwym obywatelem ze słuszną misją. Jednym z tych, co skazują ludzi za czytanie, a książki palą. Co wysyłają ludzi do więzienia za to, że inaczej się gimnastykują. Niszczą herbaria i sikają na nie. Naciskają guziki, które uruchamiają bomby. I kryją się w bunkrach, żeby nic się im nie stało. Zawsze pod opieką Boga. Albo Państwa. Czy jakiegoś innego kłamstwa, za którym kryją własną zazdrość, chciwość i tchórzostwo. Dobrze się na mnie poznałeś. Wiedziałeś, że jestem twoim wrogiem. Że nie należę do was, cnotliwych ludzi. Skąd to wiedziałeś?

— Wysłali cię w góry. — Do tej pory patrzył nieruchomo przed siebie, ale teraz z trudem odwrócił głowę, by spojrzeć jej w oczy. — Tam gdzie mogłaś spotkać maz. Nie chciałem, żeby zrobili ci krzywdę, joz.

Na chwilę odebrało jej mowę.

— Joz! — powtórzyła.

Znowu odwrócił głowę. Spojrzała w jego obrzmiałą, nieprzeniknioną twarz.

Sięgnął zdrową ręką po lampkę i parę razy zakręcił korbką. Po chwili zabłysło słabe światełko, a Satti po raz setny zastanowiła się mimochodem, dlaczego Akanie produkują kanciaste żarówki.

Teraz ważniejszy był dla niej gniew, uraza, nienawiść.

— Czy twoi rodacy wysłali mnie do Okzat-Ozkat jako przynętę? Miałam być waszym narzędziem? Mieli nadzieję, że ich tu doprowadzę?

— Tak myślałem — odezwał się po kolejnej chwili milczenia.

— Ale kazałeś mi się trzymać z daleka od maz!

— Sądziłem, że są niebezpieczni.

— Dla kogo?

— Dla... Ekumenu... Mojego rządu... — Użył starego słowa i zaraz się poprawił:
— Dla Korporacji.

— To bez sensu.

Puścił korbkę. Znowu zapatrzył się w pustkę przed sobą.

— Pilot powiedział „są” i skierowaliśmy się nad ścieżkę. Potem krzyknął i zobaczy-

łem ciebie. A za tobą dym, dym powstający ze skał. Nagle rzuciło nas w bok, na górę. Na kamienie. Ktoś nas rzucił. Popchnął.

Ścisnął zdrową ręką poranioną lewą dłoń. Usiłował opanować drżenie.

— Zabłąkany podmuch wiatru, joz — odezwała się cicho po chwili. — I zbyt duża wysokość dla helikoptera.

Skinął głową. Pewnie powtarzał sobie to samo. Wielokrotnie.

— To miejsce jest dla nich święte — dodała. Dlaczego użyła tego słowa? Dlaczego się nad nim znęcała? Źle, źle.

— Słuchaj, Yara... tak się nazywasz?... Nie daj się wciągnąć w te reakcyjne przesady. Matka Silong nie zwraca na nas uwagi.

Pokręcił głową w milczeniu. Może to także sobie powtarzał.

Nie miała pojęcia, co jeszcze mogłaby mu powiedzieć. Zapadła długa cisza.

— Zasluguję na karę — rzucił niespodziewanie.

Udało mu się nią wstrząsnąć.

— Więc ją otrzymałeś — mruknęła. — I to pewnie jeszcze nie koniec. Co z tobą zrobimy? Trzeba będzie się nad tym zastanowić. Lato się już kończy. Za parę tygodni mieliśmy stąd odejść. Do tego czasu możesz sobie odpuścić. I staraj się chodzić, bo, nie sądzę, żebyś zdołał stąd odlecieć na południowym wietrze...

Spojrzał na nią, najwyraźniej przerażony. Czymś, co powiedziała? Ponieważ sądził, że zasługuje na karę? Czy też tylko dlatego, że bezsilne przebywanie między wrogami budziło w nim strach?

Skinął głową, ostrożnie, z grymasem bólu.

— Kolano wkrótce się zagoi.

Kiedy wracała przez jaskinie, przyszło jej do głowy, że było w nim coś z dziecka, aczkolwiek groteskowego. Coś czystego i prostego. Prostackiego, skorygowała się natychmiast, i co do cholery znaczy ten „czysty”? Święty, niewinny i tak dalej? Prostak, fanatyk, jak powiedział Odiedin. Terrorysta. Czysty i prosty.

Ta rozmowa zepsuła jej humor. Żałowała, że się z nim spotkała. Rozdrażniona, rozjątrzona, straciła cierpliwość do przyjaciół.

Kieri, z którą dzieliła namiot, lecz ostatnio już nie śpiwór, była wesoła i czuła, ale jej prymitywna pewność siebie mogła budzić niechęć. Wiedziała wszystko, co chciała wiedzieć. Interesowały ją tylko historie i przesady. Nie chciała się uczyć od maz, nigdy nie zaglądała do jaskiń z książkami. Przyszła tu dla samej przygody.

Z kolei Akidan padł ofiarą uwielbienia, nieszczęśliwie zmieszanego z pożądaniem. Shui tuż po przybyciu na miejsce wróciła do wioski i Akidan został sam. Natychmiast zakochał się w maz Unroy Kigno. Włóczył się za nią jak małe minule za matką, spoglądał na nią rozkochanym wzrokiem, zapamiętywał każde jej słowo. Niestety, maz byli jedynymi ludźmi, których życie seksualne podlegało ścisłym regułom starego systemu.

Byli zobowiązani do bezwarunkowej wierności jednemu partnerowi, nawet jeśli byli z nim rozdzieleni. Maz, których znała Satti, przestrzegali tej reguły bez żadnych wyjątków. Akidan, chłopiec bardzo szlachetny, nie zamierzał jej podważyć. Po prostu zadurzył się po uszy, nieszczęsna ofiara hormonów i uwielbienia.

Unroy współczuła mu, ale nie dała mu tego odczuć. Odtrąciła go brutalnie, kwestionując jego opanowanie i zdolności do bycia maz. Kiedy zanadto zdradził się ze swoimi uczuciami, zacytowała znany wers z „Drzewa”: „Dwoje, co są jednym, nie są dwojgiem, lecz jeden, co jest dwojgiem, jest jednym...”. Była to dość łagodna reprimenda, ale Akidan pobladł ze wstydu i cofnął się gwałtownie. Od tego czasu chodził jak struty. Kieri rozmawiała z nim często i chyba nabrała ochoty, żeby go pocieszyć. Satti miała nadzieję, że tak zrobi. Nie chciała być świadkiem wybuchów niedojrzałych emocji. Tęskniła za radą kogoś dorosłego, za pewnością płynącą z doświadczenia. Czuła, że musi iść przed siebie, ale znalazła się w ślepej uliczce. Musiała podjąć decyzję, lecz nie wiedziała, czego ona dotyczy.

Łono Silong było całkowicie odcięte od świata. Nie dopuszczano tu żadnych przekazników, by nie wykryto choćby najsłabszego sygnału. Wieści przynosili ludzie ze wschodu lub w południowego zachodu, przychodzący tą samą trudną i długą drogą, którą pokonała grupa Satti. Lato się kończyło i nie spodziewano się już nowych gości; tak jak powiedziała Pełnomocnikowi, raczej wszyscy rozmawiali już o wyruszeniu w drogę powrotną.

Przysłuchiwała się tym dyskusjom. Zwyczaj nakazywał, by grupy liczyły parę osób, a na rozstajnych drogach rozchodziły się w przeciwne strony. Wówczas mogły dołączać do małych karawan ludzi z letnich obozowisk, wracających do wiosek u podnóży gór. W ten właśnie sposób pielgrzymi od czterdziestu lat odwiedzali Łono Silong, nie budząc niczyich podejrzeń.

Teraz już za późno, powiedział Odiedin, by wracać drogą na południowy zachód, którą tu przyszli. Przewodnicy z wioski w dolinie odeszli, a i tak na Zubuam szaleją burze i śnieżyce. Mogli zejść do Amarezy, górskiego regionu na północny wschód od Silong, a potem obejść Okręg Wysokich Źródeł i dojść do Okzat-Ozkat. Pieszko szliby w ten sposób przez parę miesięcy. Odiedin sądził, że powinni korzystać z ciężarówek, choć w tym celu musieliby się podzielić na pary.

Wszystko to wydawało się jej zbyt trudne i przerażające. Wspinaczka z przewodnikami, wędrówka tajną ścieżką przez chmury do świętego miejsca to jedna rzecz, błaganie kierowców o podwiezienie, bezbronni i nieznani w wielkim, obcym kraju to zupełnie co innego. Tak, ufała Odiedinowi, ale okropnie tęskniła za kontaktem z Tongiem Ov.

Poza tym, co mieli zrobić z Pełnomocnikiem? Wypuścić, żeby doniósł ministerstwu o ostatnim wielkim skarbcu zakazanych książek? Może i zostałby skazany na

niełaskę, ale zanim szefowie wysłaliby go do kamieniołomów, z pewnością wysłuchaliby tego, co ma do powiedzenia.

A właściwie co miałyby powiedzieć Tongowi, gdyby się z nim skontaktowała? Zlecił jej odnalezienie historii Aki, zaginionych, zakazanych informacji, jej prawdziwego życia. Znalazła je. Co teraz?

Maz wymagali od niej jednego, jasno i wyraźnie: miała ocalić ich skarb. Tylko to wydawało się pewne w wirze uczuć i myśli, który ją ogarnął od rozmowy z Pełnomocnikiem.

Ona sama chciała — chciałyby, gdyby to było możliwe — zostać tutaj. Życ w jaskiniach życia, czytać, słuchać Opowiadania, w tym miejscu, gdzie nadal było kompletne lub prawie kompletne, jedna nienaruszona historia. Życ w lesie słów. Słuchać. Do tego była stworzona, tego pragnęła i tego nie mogła osiągnąć.

Tak jak wszyscy maz.

— Byliśmy głupi, joz Satti — powiedziała Goiri Engnake, maz z wielkiego miasta Kangnegne w głębi kontynentu, specjalizująca się w filozofii. Przez czternaście lat pracowała w rolniczym obozie za szerzenie reakcyjnej ideologii. Była sterana, twar da, szorstka. — Zanieśliśmy wszystko aż tutaj. Powinniśmy to rozsiać wszędzie. Zostawić książki z ich posiadaczami i zrobić ich kopie. Przepisywać wszystko, co się da, zamiast przynosić w jedno miejsce, żeby tamci mogli je zniszczyć za jednym zamachem. Ale widzisz, jesteśmy staroświeccy. Myśleliśmy, że kopiowanie zajmuje dużo czasu, a tajne drukarnie są łatwe do wykrycia. Nie spojrzeliśmy nawet na urządzenia, które zaczęła produkować Korporacja — te, co powielają książkę w ułamku chwili. Nie wiedzieliśmy, że w komputerze mieszczą się całe biblioteki. I przenieśliśmy nasz skarb w miejsce, gdzie nie możemy skorzystać z technologii. Nie możemy tu przynieść komputerów, a nawet gdyby nam się udało, jak mielibyśmy je zasilać? Ile by nam zajęło powielenie tego wszystkiego?

— Wiele lat... z akańską technologią. Z tym, co jest dostępne Ekumenowi, może jedno lato.

Spojrzała na Goiri i powoli dodała:

— Gdybyśmy dostali zezwolenie... Od Korporacji... I Stabili Ekumenu...

— Rozumiem.

Znajdowały się w „kuchni”, jaskini, w której gotowano i spożywano posiłki. Została uszczelniona do tego stopnia, że panowało w niej przyjemne ciepło. Ludzie zbierali się w niej i godzinami prowadzili dyskusje i rozmowy. Satti i Goiri zjadły już śniadanie i popijały teraz bardzo słabą herbatę bezit. „Rozpoczyna przepływ i połączenie”, szepnęło wspomnienie Iziezi.

— Czy poprosiłabyś Posła, by postarał się o takie zezwolenie, joz?

— Tak, oczywiście — powiedziała Satti. A po namyśle dodała: — To jest poprosiła-

bym, gdyby uznał to za możliwe lub sensowne. Gdyby taka prośba naprowadziła rząd na trop Biblioteki, z pewnością by ją zniszczono, maz.

Goiri uśmiechnęła się pod nosem, słysząc dobór słów. Rozmawiały oczywiście po dowzańsku.

— Ale może fakt, iż wiesz o Bibliotece, a Ekumen się nią interesuje, mógłby ją ocalić. Może nie przysłałiby policji, żeby ją zniszczyła.

— Może.

— Egzekutywa bardzo szanuje Ekumen.

— Tak. I zezwala jego posłom na kontakt wyłącznie z ministrami i biurokratami. Dają im wiele użytecznych informacji. Oraz mnóstwo bezużytecznej propagandy.

Goiri zastanowiła się głęboko.

— Skoro o tym wiecie, dlaczego na to pozwalacie?

— Ekumen jest dalekowzroczny. Tak bardzo, że zwykłym ludziom trudno to znieść. Podstawowym jego założeniem jest to, iż ukrywanie wiedzy zawsze stanowi błąd — na dłuższą metę. Więc mówimy o wszystkim, jeśli ktoś nas zapyta. Pod tym względem przypominamy maz.

— Już nie — mruknęła gorzko Goiri. — My naszą wiedzę ukrywamy.

— Nie macie wyboru. Wasi urzędnicy są niebezpieczni. To fanatycy... — Satti pociągnęła łyk herbaty. W gardle jej zaschło. — W moim świecie, w czasach gdy dorastałam, istniała bardzo wpływowa grupa fanatyków. Wierzyli, że ich poglądy są jedynie słuszne, że nie istnieje inna droga. Atakowali agencje informacyjne, niszczyli biblioteki, uczelnie na całym świecie. Oczywiście nie zniszczyli wszystkiego. Zdołano coś odratować. Ale... zło się stało. Takie zło jest czasem jak zawał. Na ogół odzyskuje się zdrowie, do pewnego stopnia. Zresztą wy też to wiecie.

Zamilkła. Powiedziała zbyt wiele, głos jej drżał. Za bardzo się zbliżyła do niebezpiecznego tematu. Nie powinna podchodzić tak blisko. Źle.

Goiri także była wstrząśnięta.

— Wiem o twoim świecie tylko to, że...

— Podróżujemy w statkach kosmicznych, niosąc oświecenie zacofanym światom — warknęła Satti. Potem uderzyła jedną dłonią w stół, a drugą w usta.

Goiri otworzyła szeroko oczy.

— W ten sposób Rangma przypominają sobie, żeby trzymać buzię na kłódkę — wyjaśniła Satti z uśmiechem. Ręce jej drżały.

Przez chwilę obie siedziały w milczeniu.

— Myślałam, że wy... wy, z Ekumenu... jesteście bardzo mądrzy... nieomylni. Jakie to dziecinne — odezwała się Goiri. — Jakie niesprawiedliwe.

Znowu cisza.

— Zrobię, co w mojej mocy, maz. Jeśli i kiedy wrócę do Dowza City. Chyba nie po-

winnam kontaktować się z Mobilem telefonicznie. Mogłabym najwyżej powiedzieć, z myślą o podsłuchu, że zgubiliśmy drogę, usiłując dostać się na Silong, i wyszliśmy wschodnią ścieżką. Ale jeśli zatelefonuję z Amarezy, gdzie nie wolno mi przebywać, będę musiała się tłumaczyć. Mogę milczeć, lecz chyba nie potrafię kłamać. To znaczy, w przekonujący sposób... No i pozostaje problem Pełnomocnika.

— Tak. Chciałabym, żebyś z nim porozmawiała, joz Satti.

„I ty, Brutusie?” — odezwał się wujek Hurree, unosząc sarkastycznie brwi.

— Dlaczego?

— Ponieważ należy do, jak to nazywasz, fanatyków. I jak mówisz, jest przez to niebezpieczny. Powiedz mu to, co mnie, o Ziemi. Powiedz mu więcej niż mnie. Powiedz, że wiara jest raną, którą leczy wiedza.

Satti dopiła ostatnie krople herbaty. Była gorzka i delikatna.

— Nie pamiętam, gdzie to słyszałam. Nie przeczytałam tego. Ktoś mi opowiedział.

— Słowa Terana do Penana. Kiedy został ranny w walce z barbarzyńcami.

Teraz sobie przypomniała: kółko żałobników w zielonej dolinie pod wielkimi masami kamienia i śniegu, ciało młodego mężczyzny w cienkim, białym jak śnieg całunie, głos maz opowiadającego historię.

— Teran umierając rzekł: „Mój bracie, mój mężu, moja miłości, połowo mego ciała, obaj wierzyliśmy, że pokonamy wroga i sprowadzimy pokój na kraj. Ale wara jest raną, którą leczy wiedza, a śmierć zaczyna opowiadanie naszego życia”. Wtedy zmarł w ramionach Penana.

„Grób, joz. Tu wszystko się zaczyna”.

— Zaniosę tę wiadomość — odezwała się Satti po chwili. — Choć fanatycy mają małe uszy.

8

Jedynym źródłem światła w namiocie był nikły płomyk grzejnika. Kiedy Satti odchyliła klapę, Pełnomocnik zaczął kręcić korbką latarni. Trzeba było trochę czasu, zanim się rozświetliła, mdłym i migotliwym blaskiem.

Satti usiadła po turecku blisko wejścia. Twarz Pełnomocnika nie była już opuchnięta, choć nadal znaczyły ją ciemne sińce. Podpórkę pod plecy uniósł tak wysoko, że prawie siedział.

— Leżysz tu w ciemnościach, dniem i nocą — odezwała się. — To chyba bardzo dziwne uczucie. Jak deprywacja sensoryczna. Odmienny stan świadomości. Jak zabi-
jasz czas?

— Śpię. Myślę.

— Ach, czyżby? Powtarzasz slogany? Wyżej, dalej, lepiej? Myśl reakcyjna twoim wrogiem?

Nie odpowiedział.

Obok posłania leżała książka. Satti zajrzała do środka. Był to szkolny podręcznik, zbiór wierszy, historii, życiorysów i tak dalej, przeznaczony dla dzieci z młodszych klas. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że patrzy na ideogramy, nie litery. Prawie zapomniała, że w świecie Pełnomocnika, w nowoczesnej Ace posługiwano się literami, a ideogramy były zakazane, nielegalne, wykluczone z życia, zapomniane.

— Potrafisz to czytać? — rzuciła ostro, wstrząśnięta i nie wiadomo dlaczego wytrącona z równowagi.

— Dostałem ją od Odiedina Manma.

— Potrafisz to czytać?

— Powoli.

— I kiedyż to nauczyłeś się tego prymitywnego, zacofanego, reakcyjnego pisma?

— W dzieciństwie.

— Kto cię nauczył?

— Ludzie, z którymi mieszkałem.

— Czyli kto?

— Rodzice mojej matki.

Odpowiadał zawsze po chwili milczenia, cicho, prawie szeptem, jak zawstydzony chłopiec wezwany przed oblicze dyrektora. Nagle ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Policzki zaczęły ją palić, zaszumiało jej w uszach.

Źle, znowu źle. Gorzej niż źle.

Po paru minutach niezręcznej ciszy powiedziała spokojnie:

— Przepraszam, nie powinnam tak do ciebie mówić. Nie podobał mi się sposób, w jaki mnie traktowałeś, na statku i w Okzat-Ozkat. Zaczęłam cię nienawidzić, ponieważ winiłam cię za zniszczenie herbarium maz Soty, dumy jego życia. I za prześladowanie moich przyjaciół. Oraz mnie. Nienawidzę fanatyzmu. Ale staram się nie nienawidzić ciebie.

— Dlaczego? — Miał zimny głos, tak jak zapamiętała.

— Nienawiść ma dwustronne ostrze — zacytowała znany tekst z Opowiadania.

Siedział nieruchomo, jak zwykle spięty. Za to ona poczuła ulgę. Wyznanie uwolniło ją nie tylko od wstydu, ale i rozpaczliwej nienawiści, którą zawsze odczuwała w jego obecności. Ułożyła nogi w wygodniejszej pozycji półłotosu, wyprostowała plecy. Wreszcie zdołała spojrzeć mu prosto w oczy. Przez jakiś czas przyglądała się jego zlodowaciałej twarzy. Pełnomocnik nie mógł albo nie chciał z nią rozmawiać, ale ona nie zamierzała zwracać na to uwagi.

— Mam z tobą pomówić — oznajmiła. — Mam ci powiedzieć, jak wygląda życie na Terze. Opowiedzieć o tych smutnych i brzydkich prawdach, jakie na was czekają pod koniec Marszu do Gwiazd. A wszystko po to, żebyś zadał sobie to niemiłe pytanie: czy wiem, co robię? Choć pewnie ci się nie zechce... A ja jestem ciekawa, jak wygląda życie kogoś takiego jak ty. Dlaczego ludzie stają się Pełnomocnikami. Wyjaśnisz mi to? Dlaczego mieszkałeś z dziadkami? Dlaczego uczyłeś się starego pisma? Masz mniej więcej czterdzieści lat. \V czasach twojego dzieciństwa to pismo było już nielegalne, prawda?

Pokiwał głową. Odłożyła książkę. Wziął ją i spojrzał na faliste znaki tytułu na okładce: „Drogocenne owoce z Drzewa Nauki”.

— Opowiedz — powtórzyła z naciskiem. — Gdzie się urodziłeś?

— W Bólów Jeda. Na zachodnim wybrzeżu.

— I nazwali cię Yara. Silny.

Pokręcił głową.

— Nazwali mnie Azyaru.

Azya Aru. Czytała o nich parę dni temu w „Historii o Zachodnich Krajach”, którą Unroy pokazała jej podczas kolejnej wyprawy w labirynt Biblioteki. Para maz, żyjących jakieś dwieście lat temu. Azya Aru byli założycielami i apostołami Opowiadania w Dowzie. Pierwsi wielcy maz. Bohaterzy dowzańskiej kultury... przed nadejściem nowych czasów. Pod rządami Korporacji bez wątpienia przedstawiono ich jako czarne charak-

tery, a wreszcie wymazano z historii, wykasowano, a ślad po nich zamalowano białą farbą.

— Więc twoi rodzice byli maz?

— Dziadkowie. — Ścisnął książkę tak mocno, jakby to był talizman. — Moim pierwszym wspomnieniem jest dzień, w którym mój dziadek uczył mnie pisać słowo „drzewo”. — Narysował palcem na okładce ideogram z dwóch kresek. — Siedzieliśmy na ganku, w cieniu, w oddali widzieliśmy morze. Nadpływały rybackie łodzie. Bólów Jeda leży na wzgórzach nad zatoką. Największe miasto na wybrzeżu... Dziadkowie mieli piękny dom. Na ganku rosła winorośl, aż po dach, gruba łodyga i żółte kwiaty. Codziennie organizowali Opowiadanie. Wieczorami szliśmy do umjazu.

Użył zakazanej formy czasownika, szedł/szła/szliśmy. Chyba nie zdaje sobie z tego sprawy, pomyślała Satti. Głos mu się zmienił, stał się miękki, ochryply, zamyślony.

— Moi rodzice byli nauczycielami. Nauczyli mnie nowego alfabetu, ale stary podobał mi się bardziej. Lubiłem pismo, książki. Te, z których uczyli mnie dziadkowie. Uważali, że jestem urodzonym maz. Babcia mówiła: Och, Kiem, daj się dziecku pobawić. Ale dziadek wolał, żebym się uczył, a ja zawsze chciałem go zadowolić. Poznawać wszystko... Babcia uczyła mnie rzeczy mówionych, Opowiadania, z którym zapoznawano dzieci. Ale pismo podobało mi się bardziej. Umiałem je kaligrafować tak, że wyglądało pięknie. I zostawało na długo. Słowa ulatywały z wiatrem, trzeba było je ciągle powtarzać, żeby żyły. A pismo pozostawało i można było się nauczyć, jak je kaligrafować, żeby wyglądało jeszcze lepiej. Jeszcze piękniej.

— Więc mieszkałeś z dziadkami, uczyłeś się od nich?

Odpowiedział po krótkiej pauzie, w zamyśleniu, jakby we śnie.

— Kiedy byłem mały, wszyscy mieszkaliśmy razem. Potem ojciec został szkolnym administratorem. A matka zaczęła pracować w Ministerstwie Informacji. Przeniesiono ich do Tambe, potem do Dowza City. Matka musiała dużo podróżować. Oboje szybko awansowali. Stali się ważnymi urzędnikami. Aktywistami. Moi dziadkowie powiedzieli, że będzie lepiej, jeśli pozostanę z nimi, skoro rodzice muszą tak często wyjeżdżać i ciężko pracować. Więc zostałem.

— I chciałeś zostać?

— Och, tak — powiedział z prostotą. — Byłem szczęśliwy. Dźwięk tych słów wstrząsnął nim, wytrącił go z transu. Odwrócił głowę, gwałtownym ruchem, który przypominał jej plastycznie chwilę na ulicy w Okzat-Ozkat, gdy zwrócił się do niej gniewnie i prosił, mówiąc „Niech nas pani nie zdradzi!”

Przez jakiś czas nie odzywali się. W Grocie Drzewa panowała cisza. Nikt nie rozmawiał, nie rozbrzmiewały kroki. Głuche milczenie Łona Silong.

— Dorastałam w wiosce — odezwała się Satti. — Z wujkiem i ciocią. Tak naprawdę to byli moi cioteczni dziadkowie. Wujek Hurree był chudy i bardzo śniady, miał białe

rozwichrzone włosy i krzaczaste brwi... straszne brwi. Kiedy byłam mała, wydawało mi się, że z tych brwi syją się iskry. Ciocia wspaniale gotowała i zarządzała domem. Potrafiła wszystko zorganizować. Nauczyłam się gotować, zanim zaczęłam czytać. Ale wujek wreszcie zdecydował się mnie uczyć. Był profesorem na uniwersytecie w Kalkucie. To wielkie miasto w mojej części Terry. Uczył literatury. Mieszkaliśmy na wsi w pięciopokojowym domu, wszędzie książki, z wyjątkiem kuchni. Ciocia nie pozwalała trzymać ich w kuchni. Poza tym były w moim pokoju, pod ścianami, pod łóżkiem, pod stołem. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam Bibliotekę, przypomniał mi się mój pokój.

— Twój wujek nauczał w wiosce?

— Nie, ukrywał się. Wszyscy się ukrywaliśmy. Moi rodzice byli gdzie indziej. W bezpiecznym miejscu. Wybuchła rewolucja. Taka jak u was, lecz chodziło o coś dokładnie przeciwnego. Ludzie, którzy... ale wołałabym słuchać ciebie. Powiedz, co się wydarzyło. Musiałeś opuścić dziadków? Ile miałeś lat?

— Jedenaście.

Teraz ona słuchała, a on mówił.

— Moi dziadkowie też byli aktywistami — powiedział z trudem, ponuro, choć bez wahania. — Ale niejako producenci-konsumenci. Zostali przywódcami bandy działaczy reakcyjnego podziemia. Podzegli przeciwko państwu, szerzyli wsteczne nauki. Ja tego nie rozumiałem. Zabierali mnie na zebrania. Nie wiedziałem, że są nielegalne. Umjazu zostało zamknięte, lecz nie wyjawili mi, że to policja je zamknęła. Nie wysłali mnie do państwowej szkoły. Trzymali mnie w domu, uczyli zabobonów i zбочzonej moralności. Wreszcie ojciec zorientował się, co się dzieje. On i moja matka żyli już w separacji. Nie widział mnie od dwóch lat, ale po mnie przysłał. Przybył jakiś człowiek. W nocy. Słyszałem, jak babcia mówi bardzo głośno, z gniewem, jak nigdy dotąd. Wstałem i poszedłem do dużego pokoju. Dziadek siedział w fotelu, bez ruchu, nie spojrzał na mnie, nie odezwał się. Babcia i ten mężczyzna stali po obu stronach stołu, naprzeciw siebie. Spojrzeli na mnie, potem mężczyzna spojrzał na nią. Powiedziała: ubierz się, Azyaru, ojciec chce się z tobą spotkać. Ubrałem się, a kiedy wróciłem, wszyscy stali tak jak poprzednio: dziadek w fotelu, jak stary, głuchy i ślepy starzec, wpatrujący się przed siebie, babcia z pięściami opartymi na blacie stołu, obcy mężczyzna naprzeciw niej. Zaczęłem płakać. Powiedziałem, że nie chcę jechać, chcę tu zostać. Wtedy babcia mnie objęła, ale potem popchnęła mnie w stronę mężczyzny. Powiedział: chodź. A ona powiedziała: Idź, Azyaru! I... poszedłem z nim...

— Dokąd? — spytała szeptem.

— Do mojego ojca w Dowza City. Chodziłem tam do szkoły. — Długie milczenie.
— Opowiedz mi o... twojej wiosce... Dlaczego się ukrywaliście...

— Dobrze, coś za coś. Ale to długa historia.

— Wszystkie historie są długie — mruknął. Użyźniacz także powiedział kiedyś coś

podobnego. „Krótkie historie to tylko fragmenty dłuższej”, tak właśnie to brzmiało.

— Trudno mi wyjaśnić, kim w moim kraju jest Bóg.

— Znam Boga — powiedział natychmiast. Musiała się uśmiechnąć. Na chwilę jej twarz się rozświetliła.

— Na pewno. Ale tutaj trudno zrozumieć, kim Bóg jest tam, u nas. Tutaj jest tylko słowem, niczym więcej. W twoim państwie Teizm oznacza to, co jest dobre. Słuszne. Mam rację?

— Bóg jest Rozumem, tak — przyznał dość niepewnie.

— Na Terze słowo „Bóg” ma ogromne znaczenie dla tysięcy osób, wielu narodów. I zwykle nie oznacza rozumu, ale tajemnicę. To, co niepoznawalne. Więc istnieje wiele wyobrażeń Boga. Jednym z nich jest to, że Bóg stworzył wszystko i jest odpowiedzialny za wszystkie istoty i zdarzenia. Jest takim wszechświatem, wieczną Korporacją.

Słuchał uważnie, lecz ze zdumieniem.

— W wiosce, w której dorastałam, znaliśmy takiego Boga, ale mieliśmy jeszcze wielu innych. Miejscowych. Całe tłumy. Choć tak naprawdę byli do siebie dość podobni. Byli wśród nich wielcy, lecz jako dziecko nic o nich nie wiedziałam. Tylko o tych, z którymi wiązało się moje imię. Pewnego razu ciocia wyjaśniła mi, skąd się wzięło. Spytałam: dlaczego nazywam się Satti? A ona powiedziała: Sad była żoną boga. Więc spytałam: czy Ganesa? Ponieważ Ganesa znałam najlepiej i lubiłam go. Ale ona powiedziała: nie, żoną Siwy.

Wtedy wiedziałam tylko, że Siwa ma długie, tłuste włosy i jest najlepszym tancerzem na całym świecie. Tańcząc, przywołuje światy do życia i odsyła je w niebyt. Jest bardzo dziwny, brzydki i zawsze pości. Ciocia powiedziała, że Sad kochała go tak bardzo, iż wyszła za niego wbrew woli swojego ojca. Wiedziałam, że w tamtych czasach to było prawie niemożliwe, więc pomyślałam, że Sad była bardzo odważna. Ale potem ciocia powiedziała, że Sali poszła spotkać się z ojcem, który wyrażał się obraźliwie o Siwie i zachowywał się wobec niego wyjątkowo niegrzecznie. Sati zaś była tak rozgniewana i zawstydzona, że umarła. Nie zrobiła niczego, tylko... umarła. I od tego czasu wierne żony, które umierają razem ze swoim mężem, nazywane są tak jak ona. Kiedy ciocia mi to opowiedziała, spytałam: dlaczego nazwałaś mnie imieniem takiej głupiej kobiety? Wujek przysłuchiwał się nam i powiedział: ponieważ Sati jest Siwą, a Siwa jest Sati. Jesteś tą, która kocha i która opłakuje. Jesteś gniewem. Jesteś tańcem. Wtedy uznałam, że skoro muszę być Sati, to nią będę, pod warunkiem że będę także Siwą...

Spojrzała na Yarę. Słuchał jej z zapartym tchem, kompletnie zdezorientowany.

— No, nieważne. To strasznie skomplikowane. Ale wydaje mi się, że łatwiej mieć mnóstwo bogów niż jednego. Na poboczu pewnej drogi, pomiędzy korzeniami wielkiego drzewa mieliśmy boży kamień. Ludzie z wioski pomalowali go na czerwono i karmili masłem, żeby zrobić mu przyjemność... jemu i sobie też. Ciocia codziennie składała u

stóp Ganesa stokrotki. To był taki mały metalowy bóg z głową zwierzęcia. Stał w mniejszym pokoju. Był synem Siwy, o wiele miłszym od niego. Ciocia recytowała przed nim różne teksty i śpiewała mu pieśni. To pooja. Ja też jej pomagałam. Śpiewałam niektóre pieśni. Lubiłam zapach kadzidła i stokrotki... Ale ludzie, o których mam ci opowiedzieć, przed którymi się ukrywaliśmy, nie mieli małych bogów. Twierdzili, że ich Bóg jest najlepszy. Wielki Bóg. Jeśli ktoś się z nimi nie zgadzał, mówili, że ich Bóg go potępia. Wierzyło im wielu ludzi. Nazwali się Unitami. Jeden Bóg, Jedna Prawda, Jedna Ziemia. I... i narobili mnóstwo kłopotów.

Ostatnie słowo zabrzmiało irytująco prymitywnie, głupio, dziecinnie.

— Widzisz, my wszyscy, mam na myśli Ziemian, zniszczyliśmy naszą planetę, wykorzystaliśmy ją, zakazaliśmy. Przez wiele lat panował głód, zaraza, bieda. Ludzie pragnęli pociechy i pomocy. Chcieli wierzyć, że robią coś słusznie. Kiedy wstępowali do Unitów, zyskiwali wiarę, że racja jest po ich stronie.

Skinął głową. Najwyraźniej to rozumiał.

— Ojcowie Unici powiedzieli, że całe zło ściągnęła na nas zła wiedza. Gdyby nie ona, ludzie byłiby dobrzy. Złą wiedzę należało zniszczyć, żeby zrobić miejsce dla dobrej wiary. Nienawidzili nauki, edukacji, wszystkiego z wyjątkiem tego, co było w ich książkach.

— Jak maz.

— Nie. Nie, to nie tak. Nie zauważyłam, żeby Opowiadanie wykluczało jakąkolwiek wiedzę czy nazywało cokolwiek złą wiedzą. To prawda, że nie wspomina o tym, czego Akanie nauczyli się w ciągu ostatniego stulecia dzięki kontaktowi z innymi cywilizacjami. Tak, rzeczywiście. Ale to chyba dlatego, że maz nie mieli czasu, by zacząć sobie przyswajać nowe informacje. Korporacja Państw zajęła ich miejsce jako główna społeczna instytucja, zastąpiła ich biurokratami, a potem zakazała Opowiadania. Musieli zejść do podziemia, gdzie nie mogli się już rozwijać. To Korporacja nazwała Opowiadanie złą wiedzą. Nie rozumiem, dlaczego państwo uważało, że konieczna jest taka brutalność, taka przemoc.

— Ponieważ maz mieli wszystkie bogactwa, całą władzę. Trzymali ludzi w ciemnocie, otumaniali ich przesadami i zabobonami.

— Nieprawda, nikogo nie trzymali w ciemnocie! Czymże jest Opowiadanie, jeśli nie uczeniem każdego, kto tylko zechce słuchać?

Zawahał się, potarł wargi dłonią.

— Może tak było... dawniej. Kiedyś. Ale nie zawsze. W Dowzie maz uciskali biednych. Wszystkie ziemie należały do umjazu. Uczyli tylko wstecznych, zacofanych idei. Zakazywali nowej sprawiedliwości, nowej nauki...

— Siłą?

Znowu się zawahał.

— Tak. W Belst tłum reakcjonistów zabił dwóch urzędników Korporacji Państw. Wszędzie nieposłuszeństwo. Bezprawie.

Potał twarz ręką, choć posiniaczona skroń i policzek musiały pulsować bólem.

— Tak było — ciągnął. — Potem przybyliście i przywieźliście ów) świat. Obietnicę, że nasz także może się zmienić, stać się lepszy. Chcieliście nam ją dać. Ale ludzi, którzy pragnęli takiego świata, powstrzymali inni, zwolennicy dawnego porządku. Maz mamrotali w kółko o rzeczach, które się wydarzyły przed dziesiątkami tysięcy lat temu i twierdzili, że wiedzą wszystko. Nie chcieli się nauczyć niczego nowego, nie pozwalali się nam wzbogacić, zabraniali rozwoju. Byli źli. Samolubni. Lichwiarze wiedzy. Trzeba było ich usunąć, żeby zrobić miejsce dla przyszłości. A skoro upierali się stać nam na drodze, trzeba było ich ukarać. Musieliśmy pokazać innym, że maz są źli. Tak jak moi dziadkowie. Byli wrogami państwa. Nie chcieli tego przyznać. Nie chcieli się zmienić.

Zaczął mówić spokojnie, ale pod koniec z trudem łapał powietrze i zaciskał dłonie na książeczce, wbijając przed siebie martw wzrok.

— Co się z nimi stało?

— Wkrótce po moim wyjeździe zostali aresztowani. Przez rok byli w więzieniu w Tambe. — Długie milczenie. — Do Dowza City przywieziono wielu reakcjonistów na publiczny proces. Ci, którzy się wyrzekli swoich poglądów, zostali skierowani do pracy rehabilitacyjnej w korporacyjnych gospodarstwach rolnych. — Jego głos nie wyrażał żadnego uczucia. — Tych, którzy się nie zgodzili, skazano na egzekucję. Wykonali ją producencikonsumenty Aki.

— Rozstrzelali ich?

— Przyprawiono ich na Wielki Plac Sprawiedliwości. — Urwał raptownie.

Satti przypomniała sobie ten plac, wielką połąć asfaltu, otoczoną czterema masywnymi budynkami Centralnego Sądu. Zwykle roili się na niej piesi i stały sznury samochodów.

Yara podjął opowiadanie, wpatrując się przed siebie, w to, o czym mówił.

— Wszyscy stali na środku placu, otoczeni liną, pilnowani przez policjantów. Ludzie przybyli zewsząd, żeby zobaczyć, jak się dokonuje sprawiedliwość. Na placu były tysiące osób. Otaczały przestępców. Stały na ulicach prowadzących na plac. Ojciec przyprawdził mnie, żebym to zobaczył. Były tam sterty kamieni, kamieni ze zburzonego umjazu, wielkie sterty wokół placu. Nie rozumiałem, dlaczego je przywieziono. Potem policja wydała rozkaz i wszyscy zaczęli się przeciskać do przestępców, rzucali w nich kamieniami. Ramiona podnosiły się i opadały... Mieli ich ukamienować, ale było ich zbyt wielu. Setki policjantów i ci wszyscy ludzie... Więc zatłukli ich na śmierć. Długo to trwało.

— A ty musiałeś patrzeć?

— Ojciec chciał mi pokazać, że byli źli.

Mówił dość spokojnie, ale zdradziła go dłoń i wargi. Nigdy nie przestał patrzeć przez

okno wychodzące na plac. Do końca życia miał pozostać dwunastoletnim chłopcem przy tym oknie.

Sprawiedliwość wieku kamienia.

Więc dowiedział się, że jego dziadkowie byli źli. Czego jeszcze musiał się dowiedzieć?

Znowu milczenie. Obopólne.

Zakopać ból głęboko, głęboko, żeby się go nie czuło. Zakopać pod wszystkim, jakby go nie było. Bądź dobrym synem. Bądź dobrą dziewczynką. Omiń te groby, nie patrz na nie. Ale tam nie było grobów. Zmasakrowane twarze, pęknięte czaszki, zlepione krwią siwe włosy na stercie ciał. Odpryski kości, wybite zęby, rozerwane ciała, smród gazu. Śwąd spalenizny w ruinach na deszczu.

— Więc potem mieszkałeś w Dowza City... I pracowałeś dla Korporacji. W Biurze Kulturalno-Społecznym.

— Ojciec wynajął mi nauczycieli. Żeby naprawili krzywdy, jakie mi wyrządziła tamta edukacja. Dobrze zdałem egzaminy.

— Jesteś żonaty?

— Byłem. Dwa lata.

— Miałeś dzieci?

Pokręcił głową.

Ciągle patrzył daleko przed siebie. Siedział sztywno, bez ruchu. Śpiwór nad jego kolanem unosił się na rodzaju rusztowania, które skonstruował Tobadan, by unieruchomić nogę i zmniejszyć ból. Tuż obok jego dłoni leżała książeczka, „Drogocenne owoce z Drzewa Nauki”.

Pochyliła się, żeby odciążyć mięśnie ramion, znowu się wyprostowała.

— Goiri chciała, żebym ci opowiedziała o moim świecie. Może to możliwe, ponieważ w pewnym stopniu moje życie nie różniło się tak bardzo od twojego... Wspominałam już o Unitach. Przejęli rządy nad naszą częścią kraju. Przystąpili do oczyszczania, tak to nazywali. Groziło nam coraz większe niebezpieczeństwo. Ludzie mówili, że powinniśmy ukryć nasze książki, utopić je w rzece. Wujek Hurree umierał. Mówił, że serce mu się zmęczyło. Prosił ciocię, żeby się pozbyła jego książek, ale tego nie zrobiła. Umarł wśród nich.

Potem moi rodzice zdołali wydostać z Indii ciocię i mnie. Wysłali nas na drugi koniec świata, inny kontynent, na północ, do miasta, gdzie w rządzie nie było duchownych. Istniało parę takich miast, na ogół tam Ekumen założył szkoły Nauczania Hainisz. Unicy nienawidzili Ekumenu i usiłowali nie dopuścić przybyszy na Ziemię, ale bali się zrobić to otwarcie. Dlatego zachęcali do aktów terrorystycznych na Enklawy, instalacje nadawcze i wszystko, za co były odpowiedzialne pozaziemskie demony.

Użyła angielskiego słowa „demon”, ponieważ w języku dowzańskim nie istniało ta-

kie pojęcie. Zamilkła, zaczerpnęła powietrza w płuca. Yara siedział nieruchomo, skupiony i uważny.

— A więc poszłam do liceum i na studia, zaczęłam się przygotowywać do pracy dla Ekumenu. Mniej więcej wtedy Ekumen przysłał na Terrę nowego Posła, niejakiego Dalzula, który urodził się na Terze. Przybył, by zdobyć poparcie Ojców Unitów. Wkrótce rzeczywiście mu się poddali, przyjmowali jego rozkazy. Twierdzili, że jest aniołem... czyli posłańcem Boga. Niektórzy zaczęli mówić nawet, że jest Zbawicielem i... — Ale Akanie nie znali słowa „modlić się”. — Padali przed nim na twarz, wychwalali go i błagali, żeby był dla nich dobry. I byli mu absolutnie posłuszni, ponieważ sądzili, że tak być powinno — należy przyjmować rozkazy Boga. A wydawało im się, że Dalzul mówi do nich w imieniu Boga. Lub nawet nim jest. I tak w ciągu jednego roku skłonił ich, by rozwiązali reżim teokratyczny. W imię Boga. Większość dawnych regionów czy państw wróciło pod demokratyczne rządy — to znaczy, że sami wybierali swoich przywódców. Na nowo przywrócono Wspólnotę Terrańską i powitano ludzi z Ekumenu. To były wspaniałe czasy. Wspaniałe było patrzeć, jak Unizm rozpada się na kawałki, sypie w gruzy. Fanatycy wierzyli, że Dalzul jest Bogiem, ale byli też tacy, którzy uznali go za... przeciwieństwo Boga, wcielone zło. Niektórzy, tak zwani Pokutnicy, chodzi w procesjach, posypywali sobie głowy popiołem i smagali się batami, żeby ukarać się za to, że nie zrozumieli intencji Boga. Była też duża grupa, która odcięła się od wszystkich pozostałych i ustanowiła własnego Zbawiciela, Ojca Unitów lub przywódcę terrorystów. Byli niebezpieczni, groźni. Dalzulici chcieli bronić Dalzula przed antydalzulitami, którzy zamierzali go zabić. Wszędzie podkładali bomby, gotowi poświęcić własne życie, byleby tylko wypełnić misję. Wszyscy. Ich wiara usprawiedliwiała zabijanie, więc zabijali. Sądzili, że Bóg nagrodzi tych, którzy uwolnią świat od niewierzących. Przeważnie jednak zabijali się nawzajem, rozszarpywali się na strzępy. Nazywali to Świętymi Wojnami... To były straszne czasy, choć wydawało się, że nie mamy się czym przejmować. Unizm sam sobie zadawał śmierć.

Ale zanim do tego doszło, kiedy Wyzwolenie dopiero się zaczynało, moje miasto zostało oswobodzone. Tańczyliśmy na ulicach. Zobaczyłam pewną tańczącą kobietę. I zakochałam się w niej.

Zamilkła.

Do tej chwili było łatwo. Poza tę granicę jeszcze nigdy nie wyszła. Historia, którą opowiadała samej sobie, w milczeniu, przed snem, kończyła się w tym punkcie. Gardło zaczęło się jej ścisnąć, boleć.

— Wiem, uważasz, że to coś złego.

— Ja... — zaczął, zawahał się i dodał: — Ponieważ z takiego związku nie rodzą się dzieci, Komitet Higieny Moralnej ogłosił...

— Wiem, Ojcowie Unici ogłosili to samo. Ponieważ Bóg stworzył kobiety na naczy-

nia dla nasienia mężczyzn. Ale po Wyzwoleniu nie musieliśmy się ukrywać ze strachu, że ześlą nas do Obozów Odrodzenia. Tak jak maz, których wysyłacie do Centrów Rehabilitacji.

Spojrzała na niego wyzywająco.

Nie podjął wyzwania. Przyjął do wiadomości jej słowa i słuchał dalej.

Nie mogła się wykręcić, nie mogła tego ominąć. Musiała wszystko wyjawić.

— Żyłyśmy ze sobą przez dwa lata. — Mówiła tak cicho, że lekko pochylił się w jej stronę. — Była o wiele ładniejsza ode mnie i bardziej inteligentna. I miłsza. I lubiła się śmiać. Czasami śmiała się przez sen. Miała na imię Pao.

Z imieniem pojawiły się łzy, ale zdołała je powstrzymać.

— Byłam od niej starsza o dwa lata, w szkole wyprzedzałam ją o rok. Zostałam w Vancouverze jeden rok, żeby być razem z nią. Potem musiałam rozpocząć naukę w Centrum Ekumenicznym w Chile. To daleko na południu. Pao miała do mnie przyjechać, kiedy tylko skończy studia. Zamierzałyśmy razem pracować jako Obserwatorzy. Razem poznawać nowe światy. Bardzo płakałyśmy, kiedy musiałam wyjechać, ale w końcu okazało się, że nie jest tak źle. Tak naprawdę wcale nie było źle, bo mogłyśmy rozmawiać przez telefon i Internet, a poza tym wiedziałyśmy, że w zimie znowu się spotkamy, a na wiosnę Pao miała do mnie przyjechać i od tej pory miałyśmy się nie rozstawać. Byłyśmy razem. Byłyśmy jak maz. Dwie, ale jak jedność. Nawet tęsknota była przyjemna, ponieważ ją miałam, ponieważ miałam za kim tęsknić. Ona też to czuła, bo powiedziała w zimie, kiedy ją odwiedziłam, że będzie tęsknić za tą tęsknotą...

Płakała, lecz łzy nie sprawiały jej bólu. Pociągnęła nosem, wytarła oczy i nos.

— Na święta przyjechałam do Vancouveru. W Chile panowało lato, ale tam była zima. I... uściskałyśmy się, ucałowałyśmy i zrobiłyśmy obiad... poszłyśmy do moich rodziców i rodziców Pao, spacerowałyśmy po parku, gdzie rosły wielkie drzewa, stare drzewa. Padało. Tam często pada. Kocham deszcz.

Łzy przestały płynąć.

— Pao poszła do biblioteki w centrum. Chciała znaleźć coś potrzebnego do egzaminu, który zdawała po świętach. Miałam zamiar z nią pójść, ale się zaziębiłam, więc powiedziała: Zostań, tylko się przemoczysz. A ja miałam ochotę poleżeć i poleniuchować, toteż zostałam w mieszkaniu i zasnęłam.

Była taka grupa, która nazywała się Uzdrawicielami Ziemi. Uważali, że Dalzul i Ekumen są sługami anty-Boga i zasługują na śmierć. Wielu z nich należało do armii Unitów. Mieli broń, którą gromadzili Ojcowie. Celem ich Świętej Wojny były szkoły.

Słyszała własny głos, równie suchy i wysilony, jak głos Yary.

— Ostrzelali szkołę pociskami. Wystrzelili je z Dakoty, o setki kilometrów od Vancouveru. Ukrywali się pod ziemią. Naciskali guzik i wysyłali pociski. Wyszadzili w powietrze szkołę, bibliotekę, wiele ulic i domów wokół. Zginęły tysiące ludzi. Coś takiego

przydarzało się bez przerwy. Pao była tylko kolejną ofiarą. Nikim, niczym, jedną osobą. Mnie tam nie było. Słyszałam huk.

Gardło ją bolało, jak zawsze. Już na zawsze.

Przez chwilę nie mogła powiedzieć nic więcej.

— Czy twoi rodzice zginęli? — spytał Yara cicho.

Wzruszył ją. Znalazł temat, o którym mogła mówić.

— Nie. Nic się im nie stało. Przez jakiś czas z nimi mieszkałam. Potem wróciłam do Chile.

Siedzieli w milczeniu. W łonie góry. w jaskiniach pełnych życia. Satti była śmiertelnie zmęczona. Na twarzy Yary także widziała zmęczenie, zmęczenie i ból. Po tylu słowach milczenie było kojącym balsamem, zasłużonym błogosławieństwem.

Po jakimś czasie usłyszała ludzkie głosy i otrząsnęła się z odrętwienia.

Przed namiotem odezwał się Odiedin.

— Wejdz — odezwał się Yara.

Satti odsłoniła klapę.

— Ach — mruknął maz. W słabym światełku latarni jego smagła twarz o wysokich kościach policzkowych wydawała się twarzą dobrego goblina.

— Rozmawialiśmy — wyjaśniła Satti. Wyczołgała się z namiotu, stanęła obok Odiedina, przeciągnęła się.

— Pora na ćwiczenia — zwrócił się maz do Yary, klękając w wejściu.

— Kiedy będzie mógł chodzić?

Odwrócił się do niej.

— Na razie nie może chodzić o kulach, ponieważ uszkodził sobie mięśnie pleców. Niektóre muszą się zrosnąć. Ale robimy, co w naszej mocy.

Wszedł na czworakach do namiotu.

Odwróciła się, lecz po chwili zawróciła. Nie mogła odejść bez słowa po takiej rozmowie.

— Jutro przyjdę znowu — rzuciła. Yara powiedział coś cicho. Wyszła, przyglądając się ścianom groty, widocznym przy słabym świetle z innych namiotów. Nie widziała Drzewa na ścianie w głębi, zaledwie parę maleńkich migoczących klejnotów w jego koronie.

Grota Drzewa miała wyjście na zewnątrz, nieopodal namiotu Yary. Droga wiodła przez mniejszą jaskinię do krótkiego korytarza, który kończył się otworem tak niskim, że trzeba było z niego wypełzać na czworakach.

Wyszła tą właśnie drogą, podniosła się z klęczek. Włożyła ciemne okulary, spodziewając się, że światło ją oślepi, ale słońce, przez całe popołudnie kryjące się za ścianą Si-long, zachodziło lub już zaszło. Świetliste niebo nabrało fioletowego odcienia. W ciągu paru ostatnich godzin spadł lekki śnieg. Półksiężyc skalnej półki, przypominający scenę

widzianą od strony kulis, rozciągał się jasny i nieskalany. Tu, pod osłoną góry, panowała cisza i spokój, ale na skraju półki, jakieś sto metrów dalej, wiatr podrywał i porzucał lekki śnieżny pył, krążący w nieustających wirach.

Satti tylko raz podeszła do krawędzi płaszczyzny. Skalna ściana spadała pionowo w dół, przepaść była głęboka na pół kilometra. Od samego patrzenia kręciło się w głowie, a wiatr chwycił zdradziecko za ubranie i popychał w plecy.

Teraz podziwiała niezmordowany taniec śnieżynek nad przepaścią. Zubuam był biały, ledwie widoczny. Długo patrzyła, jak zapada zmrok.

Od tej pory codziennie po południu rozmawiała z Yarą, wróciwszy z dalszych części Biblioteki, gdzie pracowała z maz, którzy tworzyli katalog książek. Nigdy nie nawiązywała do tego, co powiedzieli w czasie tej pierwszej rozmowy, ale wszystko leżało pomiędzy nimi jak mroczny fundament.

Raz spytała go, czy wie, dlaczego Korporacja zgodziła się na prośbę Tonga, dlaczego wypuścili przedstawiciela Ekumenu z chronionego środowiska Dowza City.

— Byłam egzemplarzem eksperymentalnym? Może przynętą?

Z trudem pokonywał nawyk urzędnika: osiągać władzę przez zatrzymywanie informacji tylko dla siebie oraz udawanie, że wie nawet to, o czym nie miał pojęcia. Przez całe dorosłe życie stosował się do tej reguły i pewnie nie zdołałby jej złamać, gdyby jako dziecko nie poznał Opowiadania. A i teraz odpowiadał z wyraźnym trudem. Satti obserwowała go ze skrucą. Leżał bezwładny, okaleczony, zdany na łaskę wrogów, nie zostało mu nic poza milczeniem. Odrzucenie go, swojej ostatniej ucieczki, wymagało prawdziwej odwagi.

— Mój departament nie został poinformowany — zaczął, przerwał i po chwili ciągnął dalej. — Sądzę, że podjęto... — I wreszcie, ochryple, z wyraźnym przymusem, szukając pomocy w oficjalnym żargonie: — Od paru lat odbywały się dyskusje na wysokim szczeblu, dotyczące polityki zagranicznej. Ponieważ statek akański zmierza na Hain, a zostaliśmy poinformowani, że statek Ekumenu ma przybyć w przyszłym roku, niektórzy członkowie Rady sugerowali podjęcie polityki odprężenia. Podobno otworzenie się na wzajemny przepływ informacji miało zaowocować znacznymi zyskami. Inni twierdzili, że dysydenci są zbyt niebezpieczni, by można było doradzać odprężenie. W końcu... obie strony dyskusji osiągnęły pewien... kompromis.

Satti dokonała szybkiego tłumaczenia skomplikowanych konstrukcji.

— Więc tym kompromisem byłam ja? A zatem jednak eksperyment. A ty zostałeś wyznaczony do obserwowania mnie i składania raportów.

— Nie — rzucił z nagłą desperacją. — Sam o to prosiłem. Pozwolono mi. Początkowo. Myśleli, że kiedy zobaczysz nędzę i zacofanie, wrócisz do miasta. Ale kiedy zamieszkałaś w Okzat-Ozkat, Egzekutywa nie wiedziała, jak ma sprawować nad tobą kontro-

łę, nie obrażając Ekumenu. Mój departament znowu musiał ustąpić. Nawet zwierzchnicy nie chcieli czytać raportów, które im wysyłałem. Rozkazali mi wracać. Nie słuchali tłumaczeń. Nie wierzyli w potęgę maz w miastach i wsiach. Uważają, że Opowiadania już nie ma!

Mówił z rozgoryczeniem i bólem, uwięziony w matni złożonego, nieuleczalnego bólu. Satti nie wiedziała, co mu odrzec.

Siedzieli w milczeniu, stopniowo coraz mniej krępującym, gdy poddali się czystszej ciszy jaskiń.

— Miałaś rację — odezwała się wreszcie.

Pokręcił głową niecierpliwie, z pogardą. Ale kiedy wyszła, mówiąc, że jutro znowu do niego zajrzy, szepnął:

— Dziękuję, joz Satti.

Służalczy nawyk, pozbawiony znaczenia rytuał. Prosto z serca.

Od tej chwili ich rozmowy stały się łatwiejsze. Yara chciał słuchać o Ziemi, ale zrozumienie przychodziło mu z trudem, a często, choć wydawało się jej, że zrozumiał, zaprzeczał.

— Opowiadasz tylko o zniszczeniach, okrutnych ludziach, niepowodzeniach. Nienawidzisz swojej Ziemi.

— Nie — zaprotestowała. Spojrzała na płócienną ścianę namiotu. Ujrzała zakręt drogi tuż przy wjeździe do wioski, piasek w którym bawiła się z Motim. Czerwony piasek. Mód pokazał jej, jak się robi małe wioski z błota i kamyków, obsadzone wokół kwiatami. W palących, upalnych promieniach wiecznego lata kwiaty więdły w mgnieniu oka. Omdlewały, osuwały się na ciemnoczerwone błoto, wysychające na jedwabisty piasek.

— Nie, nie — powtórzyła. — Mój świat jest nieopisanie piękny i kocham go. Usiłuję ci wyjaśnić, dlaczego twój rząd powinien najpierw sprawdzić, kim jesteśmy, zanim zaczął nas naśladować. I powinien się przekonać, czego dokonaliśmy, co uczyniliśmy samym sobie...

— Ale tu przybyliście. I wiedzieliście o wiele więcej od nas.

— Wiem, wiem. W naszym przypadku tak samo było z Hainiszami. Usiłowaliśmy ich naśladować, dorównać im od pierwszej chwili, gdy nas znaleźli... Może Unizm był także protestem przeciwko temu. Domaganiem się danego nam przez Boga prawa, by być zadufanymi w sobie, przesadnymi głupcami i postępować zgodnie z naszymi okrutnymi obyczajami.

— Lecz my musieliśmy się uczyć. I sama twierdzisz, że Ekumen potępia ukrywanie jakiegokolwiek wiedzy.

— Tak. Ale Historycy Usiłują się dowiedzieć, jak należy uczyć, żeby ludzie zyskali prawdziwą wiedzę, nie oderwane fragmenty, które do siebie nie pasują. Istnieje taka haińska przypowieść o Lustrze. Jeśli tafla jest cała, odbija cały świat, ale rozbita ukazu-

je tylko fragmenty i rani dłonie, które je trzymają... Terra podarowała Ace kawałek zbi-
tego lustra.

— Może to dlatego Egzekutywa odesłała Legatów.

— Kogo?

— Ludzi z drugiego terrańskiego statku.

— Z drugiego statku? — powtórzyła, jednocześnie przypominając sobie ostatnią roz-
mowę z Tongiem Ov. Spytał wtedy, czy według niej Ojcowie Unici mogli wysłać misjo-
narzy na Akę, nie informując o tym Ekumenu. — Opowiedz mi o tym. Nikt z nas nie
wie o tym statku.

Zauważyła, że odrobinę się cofnął, wyraźnie walcząc z oporami. Musiała to być taj-
na informacja, znana tylko urzędnikom wysokiego szczebla i nie włączona do oficjal-
nej historii Korporacji. Ale oczywiście Akanie uważali, że wysłannicy Ekumenu o tym
wiedzą.

— Ten statek wrócił na Ziemię?

— Można się tego spodziewać.

Spojrzała z desperacją na jego wyniosły profil. Och, nie stawaj się znowu biurokrata!
Nie odezwała się. Po chwili dodał:

— Istnieją nagrania tej wizyty. Ja ich nie widziałem.

— Co ci powiedziano o statkach z Terry? Możesz mi to zdradzić?

Zamyślił się.

— Pierwszy przybył w roku Trzydziestego Szańca. Siedemdziesiąt dwa lata temu.
Wylądował pod Abazu, na wschodnim wybrzeżu. Na jego pokładzie było osiemnaścio-
ro ludzi, kobiet i mężczyzn. — Zerknął na nią; skinęła głową. — Rządy prowincji, które
wówczas jeszcze dzierżyły władzę, dały obcym swobodę ruchów. Przybysze powiedzieli,
że przybyli, żeby nas poznać i zaprosić do Ekumenu. Opowiadali o Terze i innych świa-
tach, ale przybyli niejako opowiadacze, lecz słuchacze. Jako joz, nie maz... Zostali przez
pięć lat. Przyleciał po nich statek, z którego wysłali na Terrę opowiadanie o tym, czego
się o nas dowiedzieli. — Znowu na nią spojrzął, szukając potwierdzenia.

— Większość tego opowiadania zaginęła.

— Czy wrócili na Terrę?

— Nie wiem. Opuściłam ją sześćdziesiąt lat temu, teraz już sześćdziesiąt jeden. Jeśli
wrócili w czasach rządów Unitów albo Świętych Wojen, mogli trafić do więzienia albo
zginąć... Ale potem przyleciał drugi statek?

— Tak.

— Ekumen sponsorował wysłanie tego pierwszego, ale nie miał nic wspólnego z dru-
gą ekspedycją. Unici przejęli rządy. Ograniczyli łączność z Ekumemem do absolutnego
minimum. Zamykali porty kosmiczne i centra nauczania, straszili przedstawicieli Eku-
menu wygnaniem, pozwalali, by terroryści niszczyli nadajniki. Jeśli ten statek przybył z

Terry, należał do Unitów. Nigdy o nim nie słyszałam. Z pewnością nie informowano o tym zwykłych ludzi.

Przyjął to do wiadomości.

— Przybyli dwa lata po pierwszym statku. Na pokładzie było pięćdziesiąt osób z wielkim maz, przywódcą. Nazywał się Fodderdon. Wylądowali w Dowzie, w południowej części. I od razu skontaktowali się z Egzekutywą Korporacji. Powiedzieli, że Terra przekaże Ace swoją wiedzę. Przywieźli wszelkie możliwe informacje, techniczne, technologiczne. Pokazali nam, że możemy porzucić dawne, zacofane życie i zmienić myślenie, nauczyć się nowego. Przywieźli plany, książki, inżynierów i teoretyków. Mieli na statku przekaźnik, więc mogli ściągać z Terry wszelkie potrzebne wiadomości.

— Wspaniały kufer z zabawkami — szepnęła.

— Od tej pory wszystko się zmieniło. Korporacja urosła w siłę. To był pierwszy krok Marszu do Gwiazd... a potem... — Zamilkł. — Potem nie wiem, co się stało. Powiedziano nam tylko, że Fodderdon i inni początkowo dawali nam wszystkie informacje, a potem zaczęli je racjonować i wyznaczyli za nie nieuczciwą cenę.

— Wyobrażam sobie. Spojrzał na nią pytająco.

— Zażądali waszej nieśmiertelnej części — dodała. Akanie nie znali pojęcia „dusza”. Yara milczał wyczekująco. — Sądzę, że powiedział coś w rodzaju: Musicie zacząć wierzyć. Wierzyć w Boga Jedyne. Musicie wierzyć, że ja, Ojciec John, jestem Bożym Głosem. Tylko moje historie są prawdziwe. Jeśli będziecie posłuszni Bogu i mnie, opowiemy wam wszystkie wspaniałości świata. Ale cena za nasze Opowiadanie jest wysoka. Bardzo wysoka. Nie da się jej spłacić pieniędzmi.

Yara skinął głową z powątpiewaniem. Zamyślił się.

— Fodderdon rzeczywiście powiedział, że Egzekutywa ma być posłuszna jego rozkazom. Dlatego nazwałem go wielkim maz.

— Którym był.

— Nie wiem nic więcej. Powiedziano nam, że wystąpił konflikt interesów i statek z Legatami wrócił na Terrę. Ale... nie jestem pewien, czy to prawda... — Poruszył się niespokojnie i długo się zastanawiał nad następnymi słowami. — Znałem w Nowej Alyunie inżyniera, który pracował na „Ace 1”. — Był to statek, który Aka wysłała na Hain przed pięciu laty, duma Korporacji. — Powiedział, że wzorowali się na terrańskim statku. To mogło znaczyć, że mieli jego plany. Ale zabrzmiało to tak, jakby naprawdę go widział od środka. Zresztą nie wiem, był pijany. Nie wiem.

Pięćdziesięciu misjonarzy-konkwistadorów prawdopodobnie znalazło śmierć w korporacyjnych obozach pracy. Teraz sama Dowza została zdradzona za zdradę reszty planety.

Ta historia przejęła ją smutkiem do głębi serca. Wszystkie stare błędy, powtarzane ciągle od nowa. Westchnęła głęboko.

— Więc nie mogąc odróżnić Legatów od Obserwatorów Ekumenu, od tej pory traktowaliście nas z najwyższą nieufnością... wiesz, wasi przywódcy postąpili mądrze, odrzucając propozycję Ojca Johna. Być może wydawało im się, że to tylko próba sił. Nie tak łatwo dostrzec, że nawet dar wiedzy ma swoją cenę.

— Tak, oczywiście. Ale nie wiemy, co to za cena. Dlaczego ją ukrywacie?

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Nie wiem. Nie zdawałam sobie sprawy... Muszę się nad tym zastanowić.

Yara opadł ciężko na podpórkę za plecami. Potarł oczy, zamknął je.

— Darem jest błyskawica — powiedział cicho, najwyraźniej cytując zdanie z Opowiadania.

Przed oczami Satti stanęły piękne, łukowate ideogramy na zaciemnionej białej ścianie. „Podwójnie rozwidlone drzewo błyskawicy wyrasta z ziemi...”. Zobaczyła zniszczone, smagłe dłonie Soty Anga, stykające się w kształcie górskiego szczytu na wysokości jego serca. „A ceny nie ma...”

Siedzieli w milczeniu, pogrążeni w myślach.

Minęło sporo czasu, zanim się odezwała.

— Znasz opowieść o Drogim Takieki?

Zwrócił na nią spojrzenie szeroko otwartych oczu. Skinął głową. Najwyraźniej było to wspomnienie z dzieciństwa, które musiał przywołać z niepamięci.

— Znam.

— Czy Drogi Takieki rzeczywiście był głupcem? Wiesz, w końcu ten worek dała mu matka. Może miał rację, nie chcąc go oddać, choć mógł mieć za niego wszystko.

Yara zamyślił się głęboko.

— Tę historię opowiedziała mi babka. Powiedziałem... pamiętam, że bardzo chciałem wędrować jak on, żeby nikt mnie nie szukał. Byłem jeszcze mały, dziadkowie nigdy mnie nie puszczali samego. Więc powiedziałem, że pewnie pragnął wędrować dalej. Nie chciał się osiedlić w gospodarstwie. A babcia spytała: Ale co by zrobił, gdyby skończyło mu się jedzenie? A ja odparłem: Może zamierzał handlować. Oddać maz trochę fasoli i przyjąć parę złotych monet. Wtedy mógłby iść dalej i miałby za co kupić jedzenie na zimę.

Uśmiechnął się blado, ale wyraz strapienia nie zniknął z jego twarzy.

Ta twarz zawsze była strapiona. Pamiętała ją z czasów, gdy była także twarda, zimna, zamknięta.

Miał powody do zmartwienia. Chodzenie ciągle sprawiało mu duże kłopoty. Kolaro nie mogło utrzymać ciężaru ciała dłużej niż przez parę minut, a obrażenia pleców wykluczały bezpieczne używanie kuł. Odiedin i Tobadan ćwiczyli z nim codziennie z anielską cierpliwością. Yara znosił to z zaciśniętymi zębami, nieodmiennie znękany.

Dwie grupy już opuściły Łono Silong. Ludzie wymykali się przed świtem, z paroma obładowanymi minulami. Nie było karawan z łopoczającymi proporcami.

Życie w jaskiniach rządziło się demokratycznymi prawami. Satti zauważyła, że wszyscy skrupulatnie unikają podkreślania hierarchii. Wspomniała o tym w rozmowie z Unroy.

— To właśnie było błędem przed przybyciem Ekumenu — wyjaśniła maz.

— Wielcy maz — powiedziała niepewnie Satti.

— Wielcy maz — potwierdziła Unroy z uśmiechem. Nieodmiennie śmieszył ją slang, którego używała Satti, oraz archaizmy Rangma. — Dowzańska Reformacja. Hierarchia władzy. Walka o władzę. Wielkie, bogate umjazu nakładające podatki na wioski. Finansowe i duchowe lichwiarstwo! Przybyliście w złych czasach, joz.

— Statki zawsze pojawiają się w złych czasach — mruknęła Satti. Unroy zerknęła na nią z zaciekawieniem.

Jeśli można było znaleźć kogoś zarządzającego Łonem Silong, należeli do nich maz Igneba i Ikak. Po osiągnięciu ogólnej zgody to oni podejmowali konkretne decyzje i czuwali nad wykonaniem zadania. Jedną z takich decyzji było wyznaczenie dnia i godziny wyjazdu dla poszczególnych grup. Pewnego wieczora w czasie kolacji do Satti podeszła Ikak.

— Joz Satti, za pozwoleniem, twoja grupa wyjedzie za cztery dni.

— Wszyscy z Okzat-Ozkat?

— Nie. Ty, maz Odiedin Man ma, Long i Ieyu. Mała grupa z jednym minulem. Będziecie szli szybko i zejdziecie na dół, zanim nastaną jesienne chłody.

— Dobrze. Serce mi pęka, że zostawiam te książki nieprzeczytane.

— Może wrócisz. Może ocalisz je dla naszych dzieci.

Ta pałaca, nagłaca nadzieja, którą wszyscy czuli, nadzieja pokładana w niej i Ekumencie! Za każdym razem, gdy ujawniała swoją moc, Satti miała ochotę uciec.

— Spróbuję tego dokonać — powiedziała. — Ale... co z Yarą?

— Trzeba go nieść. Uzdrowiciele mówią, że przed zmianą pogody nie zdoła iść o własnych siłach. Dwoje waszych młodych znajdzie się w jego grupie, oni i Tobadan Siez, dwaj nasi przewodnicy i trzy minule z poganiaczem. Duża grupa, ale nie da się tego uniknąć. Wyjdą jutro rano, dopóki utrzymuje się pogoda. Szkoda, że nie wiedzieliśmy, iż nie będzie mógł chodzić. Wysłalibyśmy ich wcześniej. Ale pójda Ścieżką Reban, najłatwiejszą.

— Co z nim zrobicie?

Ikak rozłożyła ręce.

— Co możemy z nim zrobić? Będziemy go więzić! Musimy! Mógłby doprowadzić policję prosto do grot. Wysłaliby tu swoich, podłożyli materiały wybuchowe, zniszczyli wszystko. Tak jak zniszczyli Wielką Bibliotekę Marang i wszystkie inne. Korporacja

nie zmieniała polityki. I nie zmieni, dopóki ich nie przekonasz, joz Satti... Niech zostawia książki w spokoju... żeby ludzie z Ekumenu mogli je badać i ocalić. Jeśli tak się stanie, oczywiście go wypuścimy. Ale nawet wtedy aresztują go za samowolne działanie. Biedak, nie czeka go nic dobrego.

— Więc możliwe, że nie zwróci się na policję.

Zaskoczona Ikkak spojrzała na nią pytająco.

— Wiem, że uparł się znaleźć i zniszczyć Bibliotekę. Uznał to za swoją prywatną misję. Prawdę mówiąc, to obsesja. Ale... wychowali go maz. I...

Zawahała się. Nie mogła zdradzić Ikkak jego tajemnicy, tak jak nie mogła wyjawić swojej.

— Musiał się stać tym, kim się stał — dodała tylko. — Sądzę jednak, że tak naprawdę rozumie Opowiadanie. Wydaje mi się, że do niego wraca. Na pewno nie życzy źle Odiedinowi ani nikomu z tu obecnych. Może mógłby zamieszkać w Amareza? Niejako więzień. Z dala od wszystkiego.

— Może — powiedziała Ikkak, nie bez współczucia, ale i bez przekonania. — Tylko, joz Satti, trudno jest ukryć kogoś takiego. Ma wszczepiony ZIL. I jest bardzo ważnym urzędnikiem, przydzielonym do śledzenia Obserwatora Ekumenu. Będą go szukać. A kiedy go znajdą, zmuszą do wyznania wszystkiego, choćby nawet nam sprzyjał.

— Może mógłby się ukrywać w wiosce przez zimę. Niech nie schodzi do Amarezy. Muszę mieć czas, Poseł musi mieć czas, żeby porozmawiać z innymi w Dowza City. A jeśli w następnym roku przybędzie statek, tak jak zostało zaplanowane, możemy porozmawiać przez przekąznik ze Stabilami z Ekumenu. Ale trzeba nam czasu.

Ikkak pokiwała głową.

— Porozmawiam z innymi. Zrobimy, co będzie można.

Zaraz po kolacji Satti poszła do namiotu Yary.

Zastała tam Akidana i Odiedina. Akidan przyniósł ciepłe ubrania, których Yara potrzebował na czas podróży. Odiedin zapewniał go, że wszystko będzie dobrze.

Akidan nie mógł usiedzieć w miejscu, ożywiony przed podróżą. Satti ze wzruszeniem przekonała się, że zwracał się do Yary z prawdziwą serdecznością. Jego przystojna młodzieńcza twarz promieniała.

— Nie martw się, joz — mówił poważnie. — Droga jest łatwa, a my mamy bardzo silną grupę. Za tydzień będziemy na dole.

— Dziękuję — mruknął Yara głosem bez wyrazu. Jego twarz znowu przypominała maskę.

— Będzie z tobą Tobadan Siez — dorzucił Odiedin.

Yara skinął głową.

— Dziękuję — powtórzył.

Nadeszła Kieri z ocieplonym poncho, którego zapomniał Akidan i wcisnęła się do

namiotu, nieustannie trajkocząc. Wewnątrz panował straszny ścisk. Satti uklękła w wejściu i położyła rękę na dłoni Yary. Do tej pory nie dotknęła go ani razu.

— Dziękuję za to, co mi powiedziałaś — odezwała się, zażenowana i niepewna. — I za to, co pozwoliłaś mi powiedzieć. Mam nadzieję, że jeszcze... że będzie dobrze. Do widzenia.

Podniósł na nią oczy, skinął szybko głową i odwrócił wzrok.

Wróciła do siebie. Była zaniepokojona, ale czuła, że z serca spadł jej ciężar.

W namiocie panował potworny bałagan. Kieri wyrzuciła wszystkie swoje rzeczy na sam środek, przygotowując je do spakowania. Satti nie mogła się już doczekać, kiedy wróci do Odiedina, do spokoju, porządku, celibatu.

Była zmęczona. Przez cały dzień pracowała nad katalogiem. Zawodne, zawieszające się akańskie programy nie ułatwiały zadania. Poszła spać, postanawiając wstać bardzo wcześnie i pożegnać przyjaciół. Zasnęła, ledwie zamknęła oczy. Prawie nie słyszała Kieri, krzającej się przy pakowaniu. Wydawało się jej, że minęło najwyżej pięć minut, po czym lampa znowu zapłonęła i Kieri zaczęła się ubierać, wychodzić. Satti wygrzebała się ze śpiwora.

— Zjem z wami śniadanie — wymamrotała.

Ale kiedy dotarła do kuchni, nie zastała w niej członków odchodzącej grupy. Nikt nie spożywał gorącego śniadania, by dobrze rozpocząć dzień. W grocie znajdował się tylko Long, na którego przypadał dziś dyżur przy gotowaniu.

— Gdzie są wszyscy? — spytała z nagłym niepokojem. — Chyba jeszcze nie wyszli?

— Nie.

— Coś się stało?

— Tak mi się zdaje, joz Satti. — Był wyraźnie strapiiony. Skinął głową w stronę zewnętrznych jaskiń. Zrobiła parę kroków w stronę wyjścia. Z przeciwnej strony nadchodził Odiedin.

— Co się stało?

— Och, Satti... — Odiedin zrobił niedokończony, rozpaczliwy gest.

— Co?

— Yara...

— Ale co?

— Chodź ze mną.

Poszła za nim do Groty Drzewa. Minął namiot Yary. Wokół niego stało wiele osób, ale jego samego nie było wśród nich. Odiedin przemierzył całą jaskinię, skręcił w krótki korytarz prowadzący na zewnątrz i wypełził na czworakach na dwór.

Wyprostował się. Satti wyłoniła się z jaskini tuż za nim. Zostało jeszcze wiele czasu do wschodu słońca, ale po bezdennej czerni grot blade niebo wydawało się cudownie promienne.

— Zobacz, gdzie poszedł — odezwał się maz.

Spojrzała tam, gdzie wskazywał. Na płaszczyźnie w kształcie półksiężyca leżał świeży śnieg do kostek. Ślady butów prowadziły do jego krawędzi i z powrotem, ślady trzech ludzi, pomyślała.

— Nie patrz na ślady butów — powiedział Odiedin. — Są nasze. On czołgał się na czworakach. Nie mógł chodzić. Nie rozumiem, w jaki sposób zdołał się dowlec tak daleko. Z tym kolanem...

Teraz je zobaczyła, ślady na śniegu, głębokie podłużne bruzdy. Wszystkie ślady butów trzymały się na lewo od nich.

— Nikt go nie słyszał. Musiał wyjść po północy.

Blisko skały, gdzie na czarnym kamieniu leżała cienka warstwa śniegu, dostrzegła zamazany ślad dłoni.

— Na krawędzi zdołał się podnieść — odezwał się Odiedin. — Żeby skoczyć.

Z krtani wyrwał się jej cichy dźwięk. Osunęła się na ziemię, przykucnęła, kołysząc się w przód i tył. Nie uroniła arii jednej łzy, ale gardło ją bolało, bardzo ją bolało i nie mogła złapać oddechu.

— Penan Teran — wykrztusiła. Odiedin nie zrozumiał. — Na wietrze.

— Nie musiał tego robić. — Głos maz był głuchy z bólu. — Tak nie wolno.

— Jemu się wydawało, że tak trzeba — powiedziała.

9

Korporacyjny samolot, który zabrał ją z Soboy w Amarezie do Dowza City, nabrał wysokości nad wschodnim Okręgiem Wysokich Źródeł. Wyjrzała przez okienko wychodzące na zachód i ujrzała wielką, skalistą, surową i kostropatą górę — Zubuam, a za nią biel ściany Silong, kryjącej gdzieś w oślepiającej jasności półkę w kształcie półksiężyca i jaskinie życia. Ponad pofałdowaną krawędzią ściany, mniej więcej na wysokości jej oczu, wznosił się szczyt, białozłoty pazur na tle błękitu. Tym razem wreszcie widziała go w całości, wyraźnie. Północny wiatr zwiewał ze szczytu cienki welon śniegu, wieczny proporzec.

Podróż na południe okazała się trudna, zajęła dwa tygodnie. Szło im się dobrze, ale pogoda była kiepska prawie przez cały czas, a w Soboy nie mogli wypocząć. Policja obserwowała każdą drogę wychodzącą z Okręgu Wysokich Źródeł. Urzędnicy, bardzo grzeczni, bardzo spięci, powitali ich grupę tuż za granicami miasta. „Poleca się niezwłocznie skierować Obserwatora do stolicy”.

Zażądała rozmowy telefonicznej z Posłem; pozwolono jej zadzwonić z lotniska.

— Przybywaj jak najszybciej — powiedział Tong. — Było dużo hałasu. Wszyscy się cieszymy, że wróciłaś bezpiecznie. Akanie i obcy. A zwłaszcza ten obcy.

— Muszę dopilnować, żeby moim przyjaciołom nic się nie stało.

— Przywieź ich ze sobą.

I tak Odiedin i dwaj przewodnicy z podgórskiej wioski zasiedli wraz z nią w samolocie. Nie miała pojęcia, co z tego zrozumieli Long i Ieyu. Odiedin wyjaśnił im coś, a może tylko uspokoił; weszli na pokład całkiem bez emocji. Wszyscy czworo byli nieprzytomni ze zmęczenia.

Samolot skierował się na wschód. Kiedy znowu spojrzała w dół, ujrzała żółcień bezśnieżnej ziemi, srebrną nitkę rzeki. Ereha. Córka Góry. Kierowali się za srebrną nicią, a ona stopniowo rozlewała się i przygasała, a koło Dowza City stała się szara jak popiół.

— Kultura podstawowa, poza wpływami dowzańskimi, nie jest wojownicza, agresywna ani postępową — powiedziała Satti. — Jest oparta na handlu, dyskusji i homeostazie. Wydaje mi się, że w czasach kryzysu do niej wracają.

Napoleon Bonaparte nazwał Anglików narodem sklepikarzy, powiedział w jej pamięci wujek Hurree. Może to nie takie złe?

Za dużo chodziło jej po głowie. Za dużo, by mogła to powiedzieć Tongowi. Za dużo, by go wysłuchać. Mieli dla siebie nieco ponad godzinę. W każdej chwili mogli się zjawić członkowie Egzekutywy i ministrowie.

— Układ? — spytał Mobil. Rozmawiali po dowzańsku, ponieważ przysłuchiwał się im Odiedin.

— Są nam coś winni.

— Winni?

Kultura chiffewariańska nie była ani wojownicza, ani oparta na handlu. Pewnych rzeczy, mimo całej rozległości doświadczeń i wnikliwości umysłu, Chiffewarianie po prostu nie rozumieli.

— Będziesz musiał mi zaufać.

— Ufam ci. Ale proszę, wyjaśnij mi, choćby w skrócie, na czym polega ten układ.

— Jeśli zgadzasz się ze mną, że powinniśmy bronić Biblioteki Silong...

— Tak, oczywiście, ogólnie rzecz biorąc. Lecz to oznacza ingerencję w akańską politykę...

— Ingerujemy w nią od siedemdziesięciu lat.

— Ale czy możemy samowolnie odmawiać im informacji, skoro nie możemy anulować tego pierwszego wspaniałego daru danych technicznych?

— Chodzi o to, że to nie był dar. Wyznaczono za niego cenę: nawrócenie.

— Misjonarze — mruknął Tong, kiwając głową. Wcześniej, podczas pospiesznej rozmowy okazał normalne ludzkie zadowolenie na wieść, że jego podejrzenia się potwierdziły.

Odiedin słuchał, poważny i skupiony.

— Akanie uznali to za lichwiarstwo. Nie zgodzili się zapłacić tej ceny. Od tej pory dawaliśmy im więcej informacji, niż nas prosili.

— Chcąc im pokazać, że istnieją metody inne niż rabunkowe.

— Chodzi o to, że zawsze dawaliśmy im to za darmo, jako dar.

— Oczywiście.

— Ale Akanie zawsze płacą za otrzymywany towar. Gotówką, natychmiast. Według nich nie zapłacili za plany Marszu do Gwiazd i wszystko inne. Czekali latami, aż im powiemy, ile są nam winni. Dopóki tego nie zrobimy, nie będą nam ufać.

Tong zdjął kapelusz, podrapał się po brązowej, lśniącej niczym atlas głowie i nasadził kapelusz głębiej na czoło.

— Więc w zamian poprosimy ich... o informacje?

— Otóż to. Daliśmy im skarb. Oni mają skarb, którego pragniemy. Coś za coś, jak mówimy na Ziemi.

— Ale dla nich to nie skarb! To relikty przeszłości, reakcyjne przesady. Nie?
— Cóż, tak i nie. Chyba wiedzą, że to skarb. Gdyby nie wiedzieli, dlaczego by z takim uporem go niszczyli?

— Więc nie musimy im tłumaczyć, że Biblioteka Silong jest cenna?

— Chcemy, żeby wiedzieli, iż jest równie cenna jak wszystkie informacje, które im daliśmy. A jej wartość zależy od tego, czy będziemy mieli do niej swobodny dostęp. Taki sam, jaki oni mieli do wszystkich naszych informacji.

— Ktoś za coś — powiedział Tong, pojmując ideę, choć nie sam zwrot.

— Chcę powiedzieć jeszcze, to bardzo ważne, że nie chodzi tylko o książki z Łona Silong, ale wszystkie, wszędzie, i wszystkich ludzi czytających książki. Chodzi o cały system. O Opowiadanie. Muszą je na powrót zalegalizować.

— Satti, oni się na to nie zgodzą.

— W końcu się zgodzą. Musimy spróbować. — Spojrzała na Odiedina, wyprostowanego i czujnego obok niej. — Mam rację, maz?

— Może nie wszystko naraz, joz Satti — powiedział. — Po kolei. Będzie więcej rzeczy do wymiany.

— Parę złotych monet za trochę fasoli?

Trochę potrwało, zanim odpowiedział.

— Mniej więcej — przyznał w końcu z niejakim powątpiewaniem.

— Jakiej fasoli? — spytał Poseł, spoglądając kolejno na nią i Odiedina.

— To cała historia. Musimy ci ją opowiedzieć — odparła.

W sali konferencyjnej pojawili się już pierwsi urzędnicy. Dwaj mężczyźni i dwie kobiety, wszyscy w błękitach i brązach. Oczywiście nie było powitań, żadnych służalczych nawyków; mimo to trzeba było dokonać prezentacji. Gdy wymieniano ich nazwiska, Satti spoglądała w każdą twarz z osobna. Twarze urzędników. Twarze ludzi u władzy. Pewne siebie, gładkie, twarde. Zamknięte. Niezliczone odmiany twarzy Pełnomocnika. Ale przed oczami stała jej nie twarz Pełnomocnika, lecz Yary.

Jego życie, oto co za nią stało, gdy przystąpiła do negocjacji. Jego życie, życie Pao. Nienaruszalne, niepoliczalne wartości. Pieniądze spalone na popiół, rozrzucone złoto. Ślady stóp na wietrze.

SPIS TREŚCI

1	3
2	17
3	25
4	42
5	63
6	78
7	95
8	107
9	127